

Jeśli kupię 12 róż, to być może pojedę do Magdaleny na wesele Violetty Villas...

Prawdy i mity o artystce, która mogła zrobić oszalamiającą karierę

BOHDAN GADOMSKI

czytaj strona 7

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5048

Łódź Odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 3 (1555)

ROK XXXI

16 STYCZNIA 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ

- **Gieorgij Żukow i Siemion Timoszenko** — str. 13
- **Zgiełk wokół elektrowni jądrowej** — str. 5
- **Specjalista od czarnej magii** — str. 7
- **Świat nostalgicznej zadumy** — str. 9
- **Spojrzenie do wewnątrz** — str. 12

Jak powstawała filmowa Łódź.

Na rubieżach Grand Hotelu

EDWARD ZAJIČEK

Oddziały Armii Czerwonej, wkraczając do Łodzi, obsadziły przede wszystkim punkty strategiczne i instalacje wojskowe. Oficerowie Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego, którzy 19 stycznia 1945 roku wjechali do wyzwolonej Łodzi, zajęli z marszu Grand Hotel. Manewr zakończył się pełnym sukcesem. Zasobne piwnice i znakomita kuchnia stały do dyspozycji zwycięzców. Radość z odzyskania wolności i wdzięczność dla wyzwolicieli była tak wielka, że wytraceni kelnerzy serwowali bezpłatne posiłki wraz z żądanymi alkoholami. Niektórzy nawet chcieli płacić, ale nie mogli — nie było cen. Była wolność.

Beztroski nastrój zmącił przewodniczący Zarządu Miejskiego Jan Waltrafus. Zanim — po kilku dniach urzędowania — ustąpił na rzecz pierwszego prezydenta m. Łodzi Kazimie-

rza Witaszewskiego, zaprowadził pełny rozrachunek gospodarczy i odpłatność usług, także w Grand Hotelu.

Wiwaty i toasty nie przeszkodziły filmowcom w operatywnym działaniu. Pocztowcy przejmowali urzędy pocztowe, aktorzy — teatry, milicjanci — komisariaty, dziennikarze — lokale redakcyjne. Łódź miała przedwojenne tradycje filmowe, ale żadnych hal zdjęciowych i laboratoriów. Energetyczny pełnomocnik mjr Aleksandra Forda, por. por. Turbowicz, Reich i inni musieli zagospodarować wytwórnię od podstaw. Nie dali się wyprzedzić ani wysłannikom kpt. Aleksandra Zabłudowskiego (Centralny Dom Żołnierza), ani przedstawicielom ppłk. Władysława Krasnowieckiego (Teatr Wojska Polskiego). Ustallili kształt filmowej Łodzi. Chybił tylko raz. Obojętnie minęli, opustosza-

li po ucieczce Niemców, nowoczesne kamienice przy ulicy ks. Bandurskiego. Nie wiedzieli jeszcze, że w pobliżu — przy Łąkowej — powstanie wkrótce centrum filmowe Polski. Po kilku dniach się zreflektowali. Było jednak za późno. Emisarz mjr Jerzego Borejszy (Czytelnik) urządził Dom Literatów.

Zainteresowanie „Czołówek” budziła ulica Gabriela Narutowicza. Budynki oznaczone numerami 67 i 69 przeznaczono na mieszkania oraz na biura Polskiej Kroniki Filmowej, a także służb programowych i produkcyjnych wytwórni. Przy tej samej ulicy, w domach nr 86 i 90, urządzono laboratorium obróbki taśmy oraz dalsze mieszkania służbowe. Początkowo, zanim adaptowano na biura pałacyk Kona przy Targowej 61, w laboratorium urzędowało kierownictwo kinema-

tografii: jej szef mjr Aleksander Ford i cywilny sekretarz mgr praw Jerzy Toeplitz. Tereny przy ul. Kilińskiego 210 i budynek przy Sienkiewicza 33 znalazły się także w gestii wytwórni. Cóż to jednak za wytwórnia bez atelier?

I filmowcy zainteresowali się sportem.

Odebrać miastu jedyną halę sportową nie było łatwo. Kierownictwo wytwórni nawet tego nie postulowało. Marzyło się im nowoczesne, funkcjonalne filmowe miasteczko... w Warszawie. Pożyczili więc — jak wspomina Jerzy Toeplitz — „od Zarządu Miasta” kryty stadion, sportowy przy ulicy Łąkowej 29, obiecując oddać go, gdy zostanie wybudowane atelier. Albo — jeżeli okaże się to bardziej opłacalne — wybudować dla miasta inny stadion sportowy. Mówiło się, dość zresztą nieobowiązkowo, że nastąpi to za rok.

Piętnaście lat później Łódź wybudowała sobie sama wielką, krytą halę sportową. I nikt już nie wspomina filmowcom pożyczki.

Ekspansja „Czołówek” nie ograniczała się do nieruchomości. Okresowe koncentracje kadry odbywały się w „Klubie Piekwicka” obok Hotelu Savoy przy ulicy Romualda Traugutta. Związek wytwórni docierał także pod plac Wolności, zajmując dogodne punkty obserwacyjne wśród pięknych łódzianek w „Caré Mocco”.

W tym krótkim, intensywnie przeżywanym okresie, dole i niedole koczowania w Grand Hotelu — tydzień, dwa przed otrzymaniem mieszkań — znosili także liczni literaci i plastycy. Wśród nich zastępcą dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych Centralnego Domu Żołnierza kpt. Stanisław Jerzy Lec, porucznicy Leon Pasternak, Jan Rojewski, Jerzy Zaruba, a także cywil — Janusz Minkiewicz. Obserwowali i podziwiali osiągnięcia „Czo-



Foto: Chwałisław Zieliński

Co dzieje się w Domu Aktora przy ulicy Gabriela Narutowicza w Łodzi? — Plotki i prawda.

Akademik, który udaje hotel

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Wiesie gminna niesie, że dom ten jest siedliskiem cyganerii artystycznej, miejscem pijackich rozrób i skandali obyczajowych, a restauracja „Orfeusz” — ostoją homoseksualistów łódzkich, choć nie tylko. Jeszcze dobrze po północy okoliczni mieszkańcy narażeni są na pijackie pienia, loskot dobijających się do drzwi. Spacer po ojeździe ostatniego tramwaju nie jest tu wskazany dla zdrowia.

Dom Aktora jest 7-piętrowym „plombowcem” na ul. Gabriela Narutowicza, niemal naprzeciw Teatru Wielkiego, który administruje tym hotelem. Zapewnia swym pracownikom większość spośród 75 apartamentów: 13-, 20- i 27-metrowych. Reszta lokatorów to filharmonicy, artyści z operetki, ze scen dramatycznych oraz z Estrady Łódzkiej.

Marudzą ludziska, że do kawalerki od ulicy dochodzi przez większą część doby wielkomejski hałas, szczególnie dokuczliwy latem. W sumie jednak lokalizacja była przemyślana — do najbardziej oddalonego teatru jest najwyżej pół godziny drogi.

Dyrektor administracyjny opery zachwala swego pupila jako hotel niepospolitej klasy w skali kraju. Ale rzeczywistość bywa brutalna. Standard tutejszy odpowiada co najwyżej nowo budowanemu akademikom. Dwunastu mieszkańców zaadaptowanej dla potrzeb hotelarskich oficyny, wegetuje w kłitkach nie zasługujących na miano mieszkań dla elity artystycznej, bo tylko taka może ubiegać się o przydział locum przy ul. Narutowicza.

Kierownik hotelu Mirosława Szepliń opowiada, że skromne wyposażenie na korytarzach nigdy długo nie nacieszy niczyich oczu. Artyści nie mają pamięci o takich drobiazgach, jak choćby to, skąd pożyczili fotele dla zbyt licznych danego dnia gości. Znikają oprócz obrusów, krzeseł, foteli, także całe meblotki.

Lokatorzy za symboliczną opłatą 2250—3500 zł miesięcznie — czyli za czwartą część faktycznych kosztów utrzymania — wchodzi w posiadanie apartamentu z kompletnym wyposażeniem. Jeśli mają fantazję, a jej brak w środowisku cyganerii uważany jest za patologię, oraz pieniądze, zachowywane nie dłużej niż do 10 każdego miesiąca — mogą wedle uznania dostawiać swoje rzeczy, natomiast nie mogą się pożywiać z pokoiów hotelowych sprzętów, bo od pewnego czasu nie ma ich gdzie składować.

Gdy jakiś esteta pogwałci regulamin zmuszony do wystawienia zawalidrogi na korytarz, sąsiad dysponujący nadwyżką przestrzeni życiowej, skwapliwie korzysta z okazji. Takie akcje przybrały na sile, gdy niedawno w domu wymieniano segmenty pokojowe na nowe. Jednak prawdziwy kabaret zaczyna się w dniu wymiany bielizny pościelowej i stołowej na świeżą. Wbrew panującym opiniom o artystach, stać ich na własną bieliznę zamiast tej z uroczym monogramem Teatru Wielkiego, ale co miesiąc muszą grzecznie wymienić obowiązkowy, nie używany komplet na nowy.

Marzeniem wielu mieszkańców jest zdjęcie żyrandoli — przed 7 laty należących do ostatniego szepu mody oświetleniowej — w których powypalały się po 2—3 niepowtarzalne żarówki. Regulamin stanowi, iż przydzielonych żyrandoli nie wymienia się z powodu widzimisię lokatorów. Własny można oczywiście mieć, ale w... szafie. Aldona Wójt z administracji przypomina sobie, że złośliwcy rozkręcają ją, a płytek osłonowych używają do krojenia chleba.

Twórczą inwencję obracają również przeciwko innym martwym naturom. Demontują tapczany, fotele, żeby zmieścić własne sprzęty, albo żeby z kilku sfatygowanych mebelków skrócić jeden jak nowy. Zdarzało się niesfor- nym młodzieńcom traktować drzwi w charakterze tarczy do rzucania nożem. Jeden ze znanych aktorów śred-



Foto: Grzegorz Galosiński

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wróńska,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadowski,

Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzeminski,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skróto-
wania. Za treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach wojewód-

zkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

tów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

— siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

— siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

Przegląd prasy

Profesor Jan Szczepański już
kilka razy przewidywał traf-
nie bieg wydarzeń w naszym
kraju. Na pytanie — co się
zdarzy w 1988 roku? — od-
powiada w „PRZEGŁADZIE

TYGODNIOWYM” (nr 1).
„Teoretycy organizacji a
także zdrowy rozsądek mó-
wią nam, że następny okres
reorganizacji zawsze musi
być okresem dezorganizacji.
Rok 1988 będzie więc w gos-
podarce okresem występowania
krócej lub dłużej trwających
dezorganizacji, a oczekiwane
pozytywne skutki reformy u-
jawnią się w niewielkim za-
kresie. Można przewidzieć, że
w roku tym zostaną położone
podstawy pojawienia się po-
zytywnych skutków reformy
w następnych latach”.

Zwolennicy reform domaga-
li się przede wszystkim re-
formy centrum administracji
państwowej. Czy przeprowa-
dzone zmiany doprowadzą do
oczekiwanych rezultatów? Jan
Szczepański jest raczej pesy-
mista.

„Tutaj również sądzę, że
pozytywne skutki będą się
zjawiały powoli. Skurczony i
zreorganizowany instytut
centralny będą się w tym ro-
ku przystosowywały do swoich
nowych możliwości działania.
szukały wewnętrznej równo-
wagi, harmonizowały nowe za-
dania z dawnymi nawykami.
Skurczony centrum będzie
działał tak i czynił to, co
umieją i do czego są przy-
zwyczajeni ludzie w nim za-
trudnieni. Poświęci więc naj-
pierw ogromny, powolny, ale
systematyczny wysiłek dla
odbudowania swojego dawne-
go składu i dawnych funkcji.
Obawiam się więc, że 1988
może być rokiem stopnio-
wej odbudowy dawnego
kształtu centrum”.

CZY BĘDĄ JAKIEŚ PROTESTY?

Czy grożą nam kolejne kon-
flikty społeczne i demonstra-
cje? Wybitny socjolog, czło-
nek Rady Konsultacyjnej przy
Przewodniczącym Rady Pań-
stwa przedstawia ciekawą pro-
gnozę:

„Tendencje w tym kierunku
będą narastały, ale będą też
neutralizowane przez swobo-
dę wypowiedzi, dyskusji, mo-
żliwości gadania. Otwarte
wzrosty nie pozwolą na więk-
sze sprężenie ciśnienia w
kotle. Zbyt duży odsetek tej
energii ujdzie w postaci gwa-
stawa. Jak zwykle, zgodnie z
polską tradycją, gadanie i dys-
kusja zostaną ułożone z
działaniem. Zwiększy się więc
liczba czasopism, wydawnictw,
grup dyskusyjnych, które o-
czyniście stanowią czynnik
napięcia społecznego w polity-
ce, ale nie przyczyniają się do
wyławiania przywódców dzia-
łających. Stwarzają one je-
dnak podstawy do tworzenia
się w przyszłości sił zorganizo-
wanych. Ważniejsze dla pol-
tyki będzie rosnące zróżnico-
wanie w partiach i stronnict-
wach wynikające z odmien-
nych postaw wobec politycz-
nych wskazówek i politycznych.
Jak wiemy z przeszłości, te
zróżnicowania prowadziły do
zmian w metodach działalności
politycznej i sprawowania
władzy. Zarzucając się e-
wolucja polityki partii od IX
Zjazdu do dziś wchodzi w o-
kres krytyczny i staje przed
możliwościami wyboru dalszej
drogi, budzącymi także w par-
tych i stronnictwach wahania i
niepokoje”.

Na temat najbliższej przy-
szłości Polski wypowiedział się
również prymas Józef Glemp.
W słowie na Boże Narodze-
nie i Nowy Rok 1988 opu-
blikowanym w tygodniku
„LAD” (nr 1) czytamy mied-
zy innymi:

„Rok, który nadchodzi, be-
dzie — za wolą Boga — ro-
kiem dużych przemian, nas
jako chrześcijan, nas — to zna-
czy kapłanów, osoby zakon-
ne i świeckie. Chcemy spraw-
dzić się jako wyznawcy Chry-
stusa, jako ci, którzy całko-
wicie zawierzili Matce Naj-
świętszej. Zapatrzeni w Zło-
bek nie zapomniamy o sprawie
Narodu, nad którym kiedyś
załł się poeta, że jego „duch
zepsuty”. Potrzebna jest re-
forma, czyli zmiana postawy,
sposobu życia i wadliwych

struktur społecznych. Nikt te-
mu nie przeczył. Powstaje je-
dnak podstawowe pytanie: kto
ma naprawę zacząć odnowę
i od czego? Kościół świadom
swej odpowiedzialności za
rozwoj moralności według za-
sad wiary będzie z uporem
powtarzał: zacząć trzeba od
siebie, każdy od siebie, od po-
praw obyczajów, czyli od u-
suwania grzechu i zła moral-
nego w sobie. Odpowiedzą
zgorzkniali: przecież to sa-
moskonalenie nie będzie
miało żadnych skutków spo-
łeczno-gospodarczych, bo sy-
stem jest błędny. Odpowiem
pytaniem: czy błędny system
może się utrzymać, gdy lu-
dzie będą trzeźwi, odpowie-
dzialni, odważni, pracowici,
siłni moralnie i duchowo?
Przecież to dobrej rzeczy
zwyczaj”.

ZGUBNE WADY POLAKÓW

znakomicie przedstawił już
Stanisław Wyspiański w „We-
sela”. Zdaniem Adama Hana-
szkiewicza, nie jest to dra-
mat, lecz pamflet polityczny,
groteska, swoista karykatura.
W rozmowie z Agatą Tu-
szyńską na łamach „ZYCIA
LITERACKIEGO” (nr 1) zna-
ny reżyser i aktor broni swej
ostatniej wersji „Wesela” ja-
ko zgodnej z intencjami poe-
ty.

„Choć jest sztychtem
gestem Wyspiańskiego. W
przeciwieństwie do Becketta,
który Godota nie sprowadza,
pozostawiając najbardziej na-
turalnym nadzieję. Wyspiański
sprowadza tych Godotów je-
dnego po drugim i miazdzą
nimi po kolei Dziennikarza,
Poetę, Dziada, Pana Młode-
go. Gospodarza śmieje, co i
ja sobie pozwolę zrobić.
Bo Wernyhora to kapcan, u-
krutniński diabeł przebrany za
polskiego magnata, w deli na
konie ze złotymi podkowi-
mi. Przecież to Mrozek. Już
mówię, że na czele Kozaków,
ale o tym później. Przecież to
rzucający ręką polską szlach-
tę w humanistycznej rzezi. I to
z nim mamy iść na czele pol-
skiego powstania? A te ty-
tuły koni do kogo należą? Do
Kozaków, więc co, z Kozaka-
mi na Kozaków? Przecież to
ten absurd”.

Niektórzy mówią, że teraz
nie czas na ukazywanie za-
szech wad, nie czas na pa-
mfiety. Adam Hanauskiewicz
sądzi jednak, że w Polsce ni-
gdy nie było odpowiedniego
czasu i jeszcze długo nie be-
dzie. Powstała więc problem,
czy nie grać „Wesela” czy je
falszować? Po sześćdziesiątce
nie wolno już kłamać nawet
w złośliwych celach. Trzeba
przedstawić gorzka prawdę
Wyspiańskiego o Polakach.
Także o naszym piśnieniu.

„Ja to piśnieniu pokazałem
w tym ostatnim „Weselu”, bo
sprawa alkoholu, sprawa pi-
jaństwa jest w „Weselu” nie-
zwycie istotna. Przypominam,
że Gospodarz, w chwili po-
wstania Wernyhora, a na
chwile przed powstaniem
„lega” w niemocy, dosłownie.
„Kiedyś ty leżał w niemocy”
— powie mu cztery godziny
później, przed skutem, Poeta.
I dodamy, niczego nie pamię-
ta. Istnieje granica nawet
alicerzy. Jeżeli ktoś naprawdę
do powstania chciał iść i do-
stał wiadomość, że ono się roz-
poczyna i że ma stanąć na
czele oddziałów z okolicznych
wsi, to przeprasza bardzo,
nawet w największym upo-
jeniu alkoholowym taki czło-
wiek w tym momencie trze-
źwieje. On nie tylko nie o-
trzeźwieje, ale zważy się z
pijany i zapominał. W tym
widac jego stosunek do powsta-
nia. Nie daje się apoteozować
tych ludzi i to nie tylko on
nie pamięta. Również Poeta
nie pamięta. Młody nie pamię-
ta, Rachel pierwsza zapomina-
ła Chochola”.

Adam Hanauskiewicz nie
rozumie, dlaczego niektórzy
wciąż utożsamiają się z po-
staciami „Wesela”. Dlaczego
identyfikują się z kłopotli-
wym Gospodarzem, który za-
prasza ukraińskiego rzeźnika
do polskiego powstania.

Niedawno relacjonowałem
w tej rubryce wrażenia dzien-
nikarzy, którzy odwiedzili
Łwów. A tym razem odno-
tuje artykuł Tadeusza Fili-
powskiego z tygodnika „OD-
RODZENIE” (nr 1). Autor był

PÓŁTORA DNIA W WILNIE

Na przełomie XVI i XVII
stulecia miasto to należało do
dziesięciu największych w Eu-
rope. Natomiast obecnie ma

550 tysięcy mieszkańców. W
tym jest 180 tysięcy Litwi-
nów oraz 100 tysięcy Polaków.

„Mimo tak dużej liczebnie-
ści polskiej — naszego ja-
zyka nie słyszy się powszech-
nie na ulicy. Aczkolwiek ró-
wnie powszechnie — jest ro-
zumiany. Na zadane po pol-
sku pytanie, w czterech przy-
padekach na pięć otrzymam ta-
ką odpowiedź. Rządziej wy-
powiedziane z uśmiechem słowa
— »Przepraszam, nie mówię po
polsku — jestem Litwinem». W
sklepie jestem świadkiem
jak ekspedientka rozmawia-
jąca z klientem po rosyjsku
przyjmuje równoległy telefon
po litewsku, by dalsza kon-
wersacja prowadziła już w
świeżej, kresowej polszczy-
źnie. Ale w prywatnym mie-
szkanie pani Stanisławy (mie-
szkanin, którego żemożność
przerasta metraż) matka-Polka
rozmawia ze swoim dorastają-
cym synem już po rosyjsku, a
z młodszym po litewsku. —
Chłopak idzie na studia — u-
sprawdźmy się — musi znać
język wykładów. — A matu-
cha posyła do litewskiej
szkoły, bo takich mam sasia-
dów”.

Jeden spośród czynnych ko-
ściół — Dominikański —
służy wyłącznie liturgii pol-
skiej. U Świętej Teresy, Świę-
tego Piotra i Pawła i w Ostrzej-
Bramie nabożeństwa odbywają
się po polsku i po litewsku, u
Świętej Anny i Świętego Mi-
kołaja — wyłącznie po litew-
sku. Wierni — choć raczej
zaawansowani wiekami — do-
mniują. Przed Ostrą Bramą,
na obecnej ulicy Górskiego widac
pojedyncze modlące się oso-
by, niektórzy przechońnię ze-
gnają się, także prawosławni.
W kaplicy wiele kwiatów i
nieustanny szepot żarliwych
modłów, po wytarłych wie-
kowych schodach oraz to
ktoś wspina się w górę na
klekkałach, na każdym stopniu
inną modlitwę odmawiając”.

Z kolei w tygodniku „KIE-
RUNKI” (nr 1) Aleksandra
Ziółkowska opisuje swoją
pielgrzymkę do Ziemi Świętej.
Statkiem pływają po Jeziorze
Genezaret i kapłaś się w Mo-
rze Martwym. To ostatnie na-
zywane jest również Morzem
Słonym i Jezioro Asfaltow-
ym, a przez Arabów Morzem
Lota. Związane jest bowiem z
biblijną historią Lota i za-
głada grzesznych miast Sodo-
my i Gomory. Z powodu du-
żego zasolenia w jego wodach
nie ma życia. A jak wygląda
kapieć?

ŻYDZI A CHRZEŚCIJANIE

Od wyznawców Kościoła
Ewangelicko-Reformowanego w
PRL (ok. 4500 członków) o-
trzymałem bardzo interesują-
ce wydanie miesięcznika re-
ligijno-społecznego „JEDNO-
TA” (nr 9-10). Podwójny nu-
mer poświęcony jest w całości
stosunkowi chrześcijaństwa
(ewangelicznego) do Żydów i
judaizmu. Karol Karel przed-
stawia poglądy Marcina Lutra,
Horst Krüger z NRD — Jana
Kalwina, Bożdan Tranda sta-
nowisko teologii reformowanej
wobec judaizmu, Michał Czaj-
kowski interpretuje teksty
„antysemickie” Nowego Testa-
mentu, Michał Lubanski pisze
o Żydach na ziemiach polskich
w XIX i XX wieku.

Prezentowany miesięcznik
zawiera także zapis rozmo-
wy członków redakcji (ss. Bo-
gdan Tranda, Ewa Pokorska
i Wojciech Krieglseisen) z dwo-
ma polskimi Żydami urodzo-
nymi po wojnie: psychologiem
Konstantym Gebertem i ma-
tematykiem Stanisławem Kra-
jewskim. Ten ostatni podaje,
że Żydów należało do ja-
kieś organizacji żydowskiej
jest obecnie w Polsce 5-6 ty-
sięcy. Przeważnie są to ludzie
starzy. W stolicy i paru na-
jwiększych miastach są koszer-
ne stołówki, które częś je-
dzenia muszą sprowadzać z
zagranicy. W żydowskich do-
mach prywatnych nie utrzy-
muje się już koszerności. Wie-
kszość polskich Żydów ma nie-
żydowskich współmałżonków.

NA WŁASNY RACHUNEK

W kolejności przemian...

Do tempa zachodzących u nas zmian w przebudowie mecha-
nizmów gospodarczych i politycznych, tak już przywykliśmy, że
chwila już ich nie zauważamy i to co wydawało się niedawno
nieziszczalnym pragnieniem, a przynajmniej celem odległym staje
się raptiem rzeczywistością. Weźmy choćby tak istotną dziedzinę
z zakresu życia wewnątrzpolitycznego, jak wybory do rad naro-
dowych.

Jakże wielu obywateli w ciągu całego czterdziestolecia Polski
Ludowej miało zastrzeżenia do obowiązującej ordynacji wybor-
czej! Uważano, że nie dość demokratycznym trybem odbywa się
zarówno wyłanianie kandydatów na radnych, jak i ustalanie list
wyborczych, a wreszcie i system preferowania miejsc tzw. man-
datowych. Zdawano sobie bowiem sprawę, że poufna akceptacja
uzyskiwają niekiedy ludzie, których poślusność przesądza o tym, iż
nie zdobędą się, gdy zajdzie potrzeba na zdecydowaną krytykę
działalności władz administracyjnych.

Ponadto tryb głosowania, zazwyczaj demonstracyjny i jawny
wykluczał z reguły wyniki odbiegające od przewidzianych, co
zresztą przypieczętowały preferencje dla miejsc mandatowych
(ponad połowa wyborców musiałaby je skreślać, by uac szansę
następnym na liście). To wszystko decydowało o składzie perso-
nalnym rad, a ci kandydaci co stawali z rory na straconych po-
zycjach mogli w gruncie rzeczy czuć się upokorzeni, jak gdyby
mniej godni zaufania od kandydatów „mandatowych”.

Byłoby jednak znacznym uproszczeniem, gdybyśmy wszystkim,
zarówno zasiadającym w komisjach wyborczych, jak i kandyda-
tom na radnych, jak wreszcie wyborcom przypisywali cyniczny
oportunizm. W ówczesnym bowiem rozumieniu metod realizacji
socializmu mnóstwo ludzi najzupełniej szczerze, w trosce o po-
myślność państwa i społeczeństwa, uznawało ten system zabez-
pieczeń za niezbędny, mający chronić ustroj przed przemianami
elementów niepowinnych politycznie do ciał przedstawicielskich, co
wydawało się całkowicie spójne z panującą ówczesną teorią o
zastrzeżeniu się walki klasowej w miarę umacniania się budow-
nictwa socjalizmu.

A jak niewiele nieraz trzeba było, by w zwolennikach nowego
ustroju posiać nieufność do czyichś przejawów odrębnego widze-
nia problemów kraju, jako do wrogich. Nikogo nie chce uspra-
wiedliwiać, co najwyżej tłumaczyć dla pełniejszego obrazu prze-
szłości...

Chyba miałyby się z celem szczegółowsze omawianie opubli-
kowane „Założeń zmian ordynacji wyborczej do rad naro-
dowych”. Należy jednak przypomnieć, że zamierza się min. zwięk-
szyć społeczny charakter i reprezentatywność komisji i kolegów
wyborczych, czyli rozszerzyć krąg organizacji uprawnionych do
zgłaszania kandydatów i udziału w komisjach, proponuje się też
(co bezwzględnie konieczne), aby nie można było łączyć kandy-
dowania z udziałem w kolegium, a zamiast wspomnianej pre-
ferencji wprowadzić alfabetyczny układ kandydatów i konieczność
skreślenia jednego z dwu kandydatów. Sugeruje się też, żeby tylko
wyborcy byli władni odwoływać radnego na zebraniach samo-
rządów mieszkańców i to przy poparcu jednej platformy uprawnio-
nych z okręgu stópki podstawowego lub jednej dziesiątej z
okręgu wyborczego do WRN

I chyba jak najszlachetniej stwierdza się w dokumencie: „Oce-
kiwać należy rywalizacji wyborczej między dwoma kandydatami
ubiegającymi się o mandat”. Pamiętam iż kiedyś na wniosek
by kandydaci do zarządu jednej z organizacji społecznych przed-
stawili swój program działania, padła autorytatywna odpowiedź:
„Wszyscy mamy przecież jeden cel i program!”. A więc jeszcze
jedno novum, które uchodziłoby niemal za „heresję”.

Po publikowaniu „Założeń” zabrało publicznie głos wiele osób
mniej czy bardziej znanych, przy czym zamyślna wydaje mi się
wyrażona obawa, że nie doszło do niepożądanego, zdaniem nie-
których, leżącego dominacji członków partii i w ogóle stronnictw
politycznych nad kandydatami „niestowarzyszonymi”, i że należy
pomyśleć o ustawowych zapórach. Co do mnie, to nie lekcewa-
zyłbym zwłaszcza obaw, że niezależność radnych nie stała się
fikcją, gdyż nie służąłoby to dobrze autorytetowi radnych i sa-
mei instytucji rad, stanowiących ważną ośrodek ustroju socjalis-
tycznego.

Ale nie wolno też traktować lekceważąco obaw, żeby radom
nie zagroziła infiltracja obcych socjalizmowi sił. Obawy te są
przecież wyrazem troski o państwo, same jednak dobre intencje
nie stwarzają dostatecznej gwarancji bezpieczeństwa. Otóż wbrew
tym obawom skłaniam się do poglądu, że zwiększenie uczest-
nictwa obywateli w życiu publicznym czyli demokratyzacja ustroju
socjalistycznego jest najwłaściwszą, na długą metę, rekojmia
utożsamiania się obywateli z ustrojem.

Toteż dlatego uważam, że należałoby społeczeństwu stworzyć
jak największe możliwości spontanicznego wyłaniania kandyda-
tów spośród siebie — czy to z koleżeńkiego grona pracowników
danego przedsiębiorstwa, czy spośród współmieszkańców danego
osiedla — na zasadzie zebrania tytu to a tytu, powiedzmy pięć-
dziesięciu podpisów. Ludzie na ogół lepiej orientują się w mo-
ralnych walorach i społecznej przydatności osób znanych, niż
zwierzchnicy w takich wartościach osób sobie podległych. A tym-
czasem w „Założeniach” mówi się o uprawnieniach w tym
względzie tylko organizacji politycznych, społecznych i zawodow-
ych.

Zakładając, iż opinie personalne zapadające w tych gremiach
zapewniają lub powinny zapewniać wysoki stopień politycznego
rozmowań do osoby kandydata, należy też, moim zdaniem,
brać pod uwagę, że ogół społeczeństwa w miarę demokraty-
zacji stosunków będzie coraz lepiej pojmować, iż zakres swobód
obywatelskich może się zwiększać jedynie przy umacnianiu się
ustroju, gdyż to jedynie, (a nie działania antysocjalistyczne)
wspiera demokratyczny nurt przemian.

A tego przecież pragnie znaczna większość biorących udział
w niedawnym referendum.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Lubie przebywać w tłumie. Nie boję się ludzi. Nie boję się
chodzić po nocach. Najbardziej boję się być sama w nocy w
pustym mieszkaniu — mówi o sobie i swym życiu AGNIESZKA
OSIECKA.

— Oglądanie w lokalu gastronomicznym nagiej kobiety uważam
za coś obrzydliwego. Pogardzam mężczyznami, którzy szukają
takiej podniety. Może nieświadomie popychają ich ku temu
niechętne żony... — wyznaje MIROSLAWA SARBINSKA.

— Zajmowane stanowisko, jak każde tego rodzaju, jest pod
silnym ostrzałem. Więcej przez wiele lat odrzucałem nawet in-
teresujące propozycje autorskie. Musiałem dbać o dobre imię
własne i urzędu. Taki już jestem. We własnej, oczywiście, oce-
nie. Jak mnie widzą inni? Trudno powiedzieć — mówi dyrektor
Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łódź, RYSZARD CZUBA-
CZYŃSKI.

łowski". Za ich sprawą w filmowcy dotarli do Berlina, ale ich główny szlak wiódł „od Oku do Mokki”.

Zanim osiągnięto rubież Grand Hotelu należało rozstrzygnąć

kształt odrodzonego przemysłu filmowego.

Najstarsze tradycje miała koncepcja upaństwowienia kinematografii Władysława Jędrzejewskiego, że już w 1919 roku kilku posłów zgłosiło wniosek o nacjonalizację polskiego filmu. Powoływali się przy tym na przykład Rosji Radzieckiej. Nie były to jednak czasy, w których radziecki wzorzec był pozytywnym argumentem. W Sejmie Ustawodawczym wniosek przepadł. Później idea upaństwowienia przewijała się przez całe międzywojenne dwudziestolecie. Pod koniec okresu konkurowały z nią propozycje uspołecznienia filmu.

W czasie wojny, w okupowanej Warszawie, Delegatura Rządu Londyńskiego prowadziła studia nad przyszłością filmu w wolnym kraju. Powołany w tym celu zespół ekspertów

kłódków. Takich, na jakie stać tylko państwo. Było to dodatkowym argumentem na rzecz nacjonalizacji.

W styczniu 1945 r. widok zdruzgotanej Warszawy potwierdził słuszność koncepcji przejęcia filmu na rachunek państwa. Jednocześnie było jasne, że — zanim będzie możliwy powrót do stolicy, trzeba obrać prowizoryczną siedzibę dla produkcji filmowej. Na zalety Krakowa wskazywali Antoni Bohdziewicz i kpt Stanisław Wohl.

Aleksander Ford wybrał Łódź

Mówiono, że uczynił to powodowany sentymentem do miejsca urodzenia. Nie była to prawda. Ford tego nie ujawniał, nawet nie wiedział o tym jego żona, ale w rzeczywistości urodził się w Kijowie. Główną przesłanką takiego postanowienia była nadzieja na szybki powrót do Warszawy. W owym czasie przypuszczano, że łatwiej będzie wrócić do stolicy z Łodzi niż spod Wawelu.

Dzień Zwycięstwa, 9 maja 1945 roku, był świętowanym hucnie, w dosłownym znaczeniu. Kto miał broń czynił z niej użytek, być może w przeświad-

często eksponowanej w kraju i za granicą, można zobaczyć kilkusobową grupę polskich żołnierzy, upiśniętych na tle berlińskiej Siegesseile. Na zdjęciu uśmiechają się do kamery uczestnicy filmowej wyprawy, na czele z mjr Aleksandrem Fordem i szeregowym Zygmuntem Szynclerem. Na szczyt kolumny wszyscy wejść nie mogli. Upamiętniony na osobnym zdjęciu został tylko oficer bez stopnia Dowgint, gdy zatyka białą-czerwoną chorągiew u stóp złotej Nike.

W czasie powrotu do Łodzi zdarzył się tragiczny wypadek. Zginął — jadący na miejscu pasażera — kierowca Władysław Ślodziński, męczący wysoki i postawny. W zbiorach dokumentów „Filmoteki Polskiej” została się po nim legitymacja kierowcy III klasy wystawiona w 1940 roku w języku rosyjskim. Z wywrotu, sportowego kabrioletu BMW, Aleksander Ford — człowiek niskiego wzrostu, niemal niewidoczny zza kierownicy — wyszedł bez szwanku.

Łódzkie środowisko filmowe latem 1945 roku

to już nie styczniowa, ścisła enklawa Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego. Wiedząc, że w Łodzi rodzi się przemysł filmowy ścigała tutaj ocalałych

stanowisko blisko 10 tysięcy pracowników kinematografii, skupionych w Związku Zawodowym Pracowników Filmowych. W czasie konstytucyjnego zjazdu, który odbył się w Łodzi w końcu października 1945 roku, filmowcy potwierdzili swoje stanowisko, że:

„Jedyną formą, która zapewni filmowi polskiemu trwałe warunki rozwoju, to państwowy monopol filmowy”.

Uchwały związkowego gremium stanowiły istotny bodziec dla sfinalizowania starań o wydanie dekretu sankcjonującego organizacyjne, ekonomiczne i społeczne fakty dokonane w dziedzinie filmu.

13 listopada 1945 roku Rada Ministrów wydała dekret, zatwierdzony przez Prezydium Krajowej Rady Narodowej, który w artykule 1 stanowił: „Tworzy się przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą „Film Polski”...”. Artykuł drugi podtrzymywał warszawski miraż, głosząc, iż „siedziba władz naczelnych przedsiębiorstwa jest miasto stołeczne Warszawa”. Wytwórność filmowa nie została zmonopolizowana. Państwowy monopol został ustanowiony jedynie w dziedzinie wytwarzania taśmy filmowej i papierów fotograficznych oraz na dystrybucję krajową i zagraniczną obrót filmami.

Nie dopuszczano do prywatnej własności kin. „Moga natomiast — stanowił Dekret — zakładać i prowadzić teatry świetlne związki samorządu terytorialnego, organizacje polityczne, związki zawodowe, instytucje społeczne i kulturalno-oświatowe”. Formuła ekonomiczna była prosta: „Przedsiębiorstwo (...) jest osobą prawną, prowadzoną wg zasad handlowych z uwzględnieniem potrzeb Państwa i interesu społecznego (...) użytkuje i zarządza majątkiem nieruchomością oddanym mu protokolarnie przez Skarb Państwa...”.

Decyzja o powołaniu Filmu Polskiego

umożliwiła szybką odbudowę przemysłu filmowego oraz stworzyła przesłanki przekształcenia filmu w sztukę społecznie ważną. Jednocześnie organizację kinematografii powierzono samemu twórcom, co było zdarzeniem bez precedensu nie tylko w skali krajowej. Nie byli to ludzie stary. Aleksander Ford miał 37 lat, Jerzy Bossak był młodszym o dwa lata, Jerzy Topliński o rok. Najmłodszym Stanisław Wohl liczył 33 lata. Trudno dobrać, czy zdawali sobie sprawę, że kreowana przez nich hierarchiczna struktura jest załaskiem trudnym, napięciem i konfliktów symptomatycznych dla wielkich instytucji parających się problemami twórczości artystycznej. Za ich czasów wiedza o wielkich organizacjach, o prawach rządzących funkcjonowaniem dużych systemów była nader znikoma.

PP „Film Polski” przejęło praktycznie Wytwornię Filmową Wojska Polskiego. Istniała ona jednak nadal formalnie aż do 1947 r. Bezkonfliktowa koegzystencja struktur cywilnych i wojskowych zapewniała symbiozę personalną. Ppik Aleksander Ford, szef wojskowej Wytwórni, uzupełnił kolekcję stanowisk o tytuł naczelnego dyrektora „Filmu Polskiego”. Oficerowie Wytwórni sprawowali jednocześnie funkcje w Przedsiębiorstwie. Na przykład Jerzy Bossak, naczelny redaktor Polskiej Kroniki Filmowej, kierował także dwoma czasopismami: „Filmem” i „Gazetą Filmową”, a poza tym był dyrektorem Wydziału Artystyczno-Programowego w Naczelnej Dyrekcji „Filmu Polskiego”. Pod własnym nazwiskiem i pseudonimami pisał scenariusze, komentarze i realizował filmy. Nie wszyscy byli tak wszechstronni. Mjr Stanisław Wohl — szef operatorów „Czołwika” — pracował jako zastępca naczelnego dyrektora do spraw technicznych. Por. Juliusz Turbowicz szef produkcji Wytwórni był dyrektorem Działu Produkcji Filmów. Funkcje wojskowe i cywilne łączył por. Elżbieta Brodzianka, Józef Koprowicz, Joanna Rojewska, Ludwik Perski, Bolesław Urad, kpt Henryk Szlachet i inni. Kumulowanie stanowisk nie zwiększyło wynagrodzeń. Płacono tylko jedne pobyty — większe czyli cywilne.

EDWARD
ZAJĄC

Zagrożenia i nadzieje czyli perspektywy kultury

To spotkanie było wyjątkowo oczekiwane i na czasie. Sceptycyzmowi, jaki panuje wśród ludzi zajmujących się kulturą i jej upowszechnieniem towarzyszą niespokojne pytania: jak w nowych warunkach reformy odnajdzie się kultura?, pytania pochodzące od troski co do przyszłej kondycji duchowej i intelektualnej społeczeństwa, nie mówiąc już o takich, które dręczą każdego z osobna — jaki będzie ten 1988 rok?

Ten stan wyczekiwania, spotęgowany brakiem rzetelnej informacji, rodzi poczucie tymczasowości. I kolejne pytania: jakie będą tego następstwa, skoro ostatnie lata już spowodowały niepowetowane straty — spadek czytelnictwa. Dotknęły więc podstawowego pokarmu, od którego bierze początek uczestnictwo w kulturze, aktywność intelektualna. Pojawiały się inne anomalie: rosła nieproporcjonalnie cena książek stanowiąc barierę dostępu i rozliczne tytuły obliczone na zysk. Ta nowa orientacja, inna logika myślenia, w których dominuje pojęcie zysku, pieniądza — to kolejne składniki tego samego zjawiska. Jak w tych warunkach odnajdzie się kultura? Pytań bez liku, jednoznacznych odpowiedzi brak.

Łacińskie przysłowie powiada: natura horret vacuum. Lecz to nie tylko natura: nie znosi próżni. Taką próżnię zwykle wypełnia plotka, domysł wspierany brakiem odpowiedzi, paradoksalny przykład z życia wzięty. Wszystko to demonizuje zjawiska i rodzi sceptycyzm. Stąd też, nawet powszechnie wiadoma konieczność — przed jaką stanął rząd — wprowadzenia zmiany wariantu założeń drugiego etapu reformy, a w ślad za tym zwłoka w podjęciu zasadniczych decyzji, nie rozjaśnia przecież perspektywy.

Spotkanie ANDRZEJA WASILEWSKIEGO, sekretarza KC PZPR, jakie odbyło się 5 stycznia z przedstawicielami środowisk twórczych, instytucji artystycznych Łodzi, spotkanie które prowadził sekretarz KŁ PZPR, Grzegorz Misiewicz, było ze wszech miar potrzebne, bo odsłoniło rabka widoków na przyszłość.

Wymianę poglądów zapoczątkowało wystąpienie wiceprezenta Łodzi, Jana Noski, który przybliżył zebranym rzeczywisty obraz sytuacji w kulturze. Mówił o rodzajach się zagrożeniach w niektórych sferach życia kulturalnego, o zamierzeniach i — mimo to — dorobku ostatnich lat. Wyrazem tego było m.in. drugie miejsce w kraju w pozyskiwaniu środków na kulturę, rozmach w rewolucyjnej zabójczy (powołanie Fundacji Rewolucyjnej ul. Piotrkowskiej), wzrost bazy, zatrudnienia, ilości woluntariatu w bibliotekach itd.

Po tym wystąpieniu rozpoczęła się interesująca dyskusja. Edward Szuster scharakteryzował sytuację w środowisku literackim i nurtujące je problemy. Bogdan Rakowski z Wydawnictwa Łódzkiego omówił niewłaściwe składniki współczesnego edytorstwa (papieru, bazy poligraficznej i cen), determinujące sytuację na rynku wydawniczym. Z niepokojem mówił o literaturze społeczno-politycznej i książkach niskonakładowych (m.in. naukowych), eliminowanych z planów poligrafii przez pozycje wysokonakładowe. Stanisław Niedzielski, dyrektor Łódzkiej Drukarni Dzielowej przedstawił stan poligrafii, która wymaga znacznych środków na modernizację (w przypadku ŁDD ok. 400 mln zł). Odgłosy się od pokutujących opinii, jakoby cena książki wynikała z wysoki koszt usług poligraficznych (wynoszą one zaledwie 25—30 proc.).

Prof. Stefania Dziecielska-Machnikowska z UŁ wyraziła zaniepokojenie losami książki, polityką wydawniczą, ilustrując przykładami, jak to wybitne pozycje edytorstwa, wydawane raz na kilkadziesiąt lat, miały czekać na czytelnika rychło są prześcignione naszymi produktami codziennego spożycia. Z niepokojem mówił także o wysokim podatku (65 proc.), jakim obciążona jest dotychczas książka.

Odpowiadając na podniesione tematy Andrzej Wasilewski stwierdził, iż książka musi korzystać ze szczególnych praw. W tym kierunku zmierzać będą wszelkie poczynania wynikające z nowej sytuacji. Zmiana wariantu reformy opóźniła przygotowane decyzje, które obejmą m.in. nowy wymiar podatku — wynosi on będzie od 10 do 50 proc. w zależności od rodzaju wydawnictwa. Najwyższym wymiarem obłożone będą książki luksusowe, komercyjne. Przykłady z rynku wydawniczego wskazał, powiedział Andrzej Wasilewski, że wydawcy podnieśli o 2/3 ceny niektórych książek ze zwyczajnej chciwości. Takim stanowił rzeczy kres polowy właściwy system podatkowy. W trosce o los książki uchylono została bariera podatkowa dla kolporterów, a sytuację debiutantów wspomógł specjalna fundacja, podobnie jak książkę niskonakładową, której produkcja jest obecnie nieopłacalna. Oferty wydawnicze powinny być mądre i przemysłowe, książka zaś — czekać na czytelnika.

Bohdan Hussakowski, dyr. Teatru im. S. Jaracza, przedstawił najważniejsze sprawy życia teatralnego, promocji polskiej kultury za granicą i czekającym nas w roku przyszłym 100-lecie teatru w Łodzi, do którego tradycji nawiązuje Teatr im. S. Jaracza. Piotr Holwek, dyr. Wytwórni Filmów Fabularnych i Emilia Kubalakowa, dyr. Wytwórni Filmów Oświatowych mówili o sytuacji w kinematografii, brakach finansowych powodujących dekapitalizację sprzętu (np. 25 proc. produkcji WFO pochodzi z funduszu filmowego, a 75 proc. od nie najzasobniejszych zleceniodawców). WFO, posiada ok. 4,5 tys. niezwykle interesujących tytułów z różnych dziedzin, m.in. przyrody, biologii, sztuki, z których mogłaby korzystać telewizja (miast sprowadzać z zagranicy) i szkoły. Mówiono o niskich placach, z powodu których Wytwórnie tracą najlepszych fachowców.

Do tej kwestii nawiązał także Sławomir Pietras, dyr. Teatru Wielkiego, drugiego po warszawskim, a „zjadającego” ledwie 1/5 funduszy pierwszego, że tancerka zarabia dziś... 11 tys. zł.; mówił o nadmiernej centralizacji w zarządzaniu i o biurokracji. Rydzard Stanisławski, dyr. Muzeum Sztuki, ilustrując swoje wystąpienie żenującymi przykładami, zaakcentował zjawisko niebywale: placówka (tak wybitna, dodajmy!) którą kieruje mogłaby zarabiał dewizy i wspierać swój budżet, jednakże czynić tego nie może, bo nie może założyć własnego konta dewizowego...

Ustosunkowując się do tego kręgu zagadnień Andrzej Wasilewski powiedział m.in., że teatr w reformie będzie taki, jaki stworzą ludzie teatru, że żadne decyzje nie zapadną bez udziału zainteresowanych. „Nie o was, bez was” — powiedział. Dalej Andrzej Wasilewski mówił o formach impresaryjnych, ustawie o kinematografii, o powołaniu Fundacji Kultury Polskiej, Polskiej Agencji Wydawniczej, których celem jest promocja kultury i książki za granicą, czy wreszcie o zwiększeniu NFRR do 108 mld zł na rok bieżący. Sekretarz KC PZPR zapowiedział, że wszystkie sprawy związane z funkcjonowaniem kultury i jej kondycja zostaną uregulowane do końca czerwca br. Mówił też o sprawach szeroko rozumianej edukacji kulturalnej młodego pokolenia, o realnym zagrożeniu, jakie w nadchodzących warunkach może pojawić się przed niejedną rodziną z braku środków na uczestnictwo w kulturze.

Ta interesująca wymiana poglądów rozjaśniła, przybliżyła zapowiadane zmiany i podejmowane środki zaradcze mające zapewnić kulturze jak najlepsze w obecnych warunkach bytowanie materialne oraz uwolnienie jej od nieżywczych przepisów.

MARIAN ZDROJEWSKI

Na rubieżach Grand Hotelu

wypowiedział się za upaństwowieniem kinematografii. Jednak nie jednogłośnie. Votum separatum zgłosił, najpóźniej znajdujący się na rzeczy, członek zespołu. Prawdziwy filmoznawca — Stefan Dekierowski. Jako współwłaściciel przedwojennej Wytwórni filmowej „Falanga”, prezes Polskiego Związku Producentów Filmowych, znał — jak nikt inny — mentalno-ekonomiczną maszynę twórczości filmowej. Wiedział więc, jakie będą konsekwencje nacjonalizacji. Dla produkcji, która znalazła solidne wsparcie finansowe, mogą być pozytywne, ale dla skarbu państwa — skazanego na pokrywanie kosztów pomysłów artystów — na pewno fatalne. Ślad sprzeciwu.

Stanisław Wohl wspominał, że latem 1944 roku, przed lipcową ofensywą, podczas postoju we wsi Przebraże na terenie ZSR, kierownictwo trójki „Czołwika Filmowego”: Aleksander Ford, Jerzy Bossak i on, zastanawiała się nad przyszłością kinematografii w wyzwolonej Polsce. Wykluczano powrót do zależności od kapitału. Zgodzono się, że najlepiej byłoby nie popadać w zależność od państwa. Optymalnym rozwiązaniem byłaby więc formuła kinematografii spółdzielczej.

Szybkie postępy wojsk radzieckich, przekroczenie Bugu przez armię polską odsunęły na dalszy plan rozważania o przyszłości. Pozostano przy spółdzielczych przemyśleniach. Nakreślony w Lublinie — przez operatorów „Czołwika” i dołączony przy udziale „Sojuzkinochroniki” w Moskwie — film Aleksandra Forda i Jerzego Bossaka „Majdanek — cmentarzysko Europy”, informował w napisach, iż jego producentem jest — nie istniejąca — Spółdzielnia Film Polski.

27 września 1944 roku w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego została ustanowiona cywilna administracja filmowa. W Resorcie Informacji i Propagandy utworzono Wydział IV — Filmowy. Na kierownika został powołany Aleksander Ford — szef „Czołwika Filmowego” i Armii Wojska Polskiego Całość spraw kinematografii — produkcja i pozostałe dziedziny — znalazła się w jednym ręku. Komórka, która w Wydziale zarządzała rozpowszechnianiem i miała — w przyszłości — zajmować się rozbudową sieci kin, została nazwana Oddziałem Kinofikacji. Być może żywno nadzieje, że ten nowotwór językowy — nasuwając skojarzenia ze słynnym hasłem ekofikacji — zapewni przydziały i mity.

Po upadku Powstania Warszawskiego stało się oczywiste, że materialna baza twórczości filmowej przestała istnieć. Zdano sobie sprawę, że odbudowa będzie wymagała wielkich na-

czeniu, że to już ostatni raz. Jak głosi anegdota, niektórzy użyli broni palnej także po raz pierwszy w życiu. Podobno mjr Aleksander Ford na rogu Piotrkowskiej i Romualda Traugutta — na wieść o kapitulacji III Rzeszy — zamknął oczy i podciągnął za cyngiel TT. W innej wersji tej anegdoty, jako debiutujący strzelec wystepował kpt Adam Ważyk. Były też warianty z por. Leonem Pasternakiem i por. Jerzym Zarubą.

Po zwycięstwie, obiektywnie nieliczne kamery zostały skierowane na front odbudowy, oświadczenia, rekonstrukcję Warszawy. Zamierzano rozpocząć produkcję filmów fabularnych. Nie było jednak sprzętu i urządzeń. Kpt. Stanisław Wohl odnalazł w Krakowie rozmontowaną maszynę do wywoływania taśmy, wywiezioną przez Niemców z laboratorium „Falanga” w Warszawie. Reszty urządzeń nie było. Ślady rabunku wiodły do Berlina. Należały się zatem reparacje.

Kierownictwo Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego wychodziło z założenia, że przywódcy wielkich mocarstw przyznali Polsce prawo do odszkodowań; nie będą jednak szukać kamer i sprzętu dla nowo powstającego w Łodzi atelier. Znaleźć trzeba samemu, zanim aparatura nie padnie łupem szabrowników.

Trzeba było wiedzieć gdzie szukać. Wiedział Zygmun Szyncler — ekspert od niemieckiego przemysłu filmowego, znający Ufę jak swoją kieszeń. Pech chciał, że był cywilem. Na Odrze i Nysie nie było jeszcze granicy w dzisiejszym znaczeniu. W maju 1943 roku na trasie Łódź-Berlin nie podróżowano z paszportem. Wojskowym wystarczał rozkaz wyjazdu — „komandirówka”.

Przemijający się na Zachód cywil mógł być podejrzliwie potraktowany na licznych KPP — wojskowych punktach kontrolnych. Jeżeli nawet przebrnął przez pierwszy Kontrolny Przewiercony Punkt. Nie było innej rady. W imię służby sprawy Zygmunta Szynclera wyślawiał ad hoc sprostowane dokumenty i sorty mundurowe. Broni nie dostał, ale i tak w szyneli, bryczkach i harmonijkach — brezentowych długich butach prezentował się bojowo. Bezbłędnie — w poszukiwaniu wywiezionego z Polski sprzętu — penetrował zakamarki Ufy. To co odnalazł — łącznie z reparacjami — nie zrekompensowało poniesionych strat.

Por. Adolf Forbort — uczestnik wyprawy — korzystał z okazji i robił zdjęcia. Także — fotograficzne. W historyczne rocznice zdobycia Berlina lub Dnia Zwycięstwa na okładkach ilustrowanych czasopiśm ukazywały się okolicznościowe fotografie. Na jednej z nich, dość

filmowców. Ludwik Starski zasypywał Targową 61 dziesiątkami pomysłów. Zaproponował m.in. realizację „Zakazanych piosenek” i filmu fabularnego o Januszu Korczaku. Jak dotychczas, tylko pierwszy projekt doczekał się urzeczywistnienia. W laboratorium przy Narutowicza pracowali Bogusław Lambach i Karol Szczeciński. Stanisław Urbanowicz kreślił w stolicy „Budujemy Warszawę”. Leonard Buczkowski robił zdjęcia do fabularyzowanego reportażu okupacyjnego „Łódź 1939—1945” z komentarzem Jerzego Toplińskiego. Na planie zdjęciowym filmu „Szkolnictwo” pojawili się, skierowani do pomocy, dwaj porucznicy, którzy powrócili dopiero z obozu jenieckiego: Zygmun Król i Kazimierz Rudzki. Do Deblina i Łodzi, na zdjęcia plenerowe „Orłów i sokół”, wyjechał Janusz Starz z operatorem Antonim Wawrzyniakiem i charakterystyką Kazimierza Narkiewicza (film bowiem był fabularny).

Wacław Kazimierzczak montował „Zagładę Berlina” i Polską Kronikę Filmową. Pracę zaczynał Tadeusz Karwański. Ekspozyturę łódzkiej Wytwórni w stolicy, czyli „Bazę Warszawską” prowadził Zygmun Kniżniolucki. „Bazą Produkcji” w Krakowie zarządzał Antoni Bohdziewicz, który — zanim zrealizował „2x2=4” — nakreślił reportaż „Halo! — Tu Polskie Radio — Łódź”. Józef Bartczak, Leonard Blankard, Józef Galeski, Kazimierz Galeski, Eugeniusz Giełba, Józef Marzec, Czesław Piskowski, Tadeusz Zajac i wielu innych zyskiwali atelier do potrzeb zdjęć i nagrań. Bohdan (Kazio) Jankowski pomagał Stanisławowi Wohlowi kierować techniką odbudowywanej kinematografii.

Każdy miał własne opinie i koncepcje. Jednakże różnice zdań na temat kształtu kinematografii odnosiły się na ogół do rozwiązań szczegółowych. Taką zgodność poglądów była w polskich warunkach zjawiskiem niecodziennym. Filmowcy różnych orientacji przyjmowali zamierzoną nacjonalizację jako oczywistą konsekwencję przemian społeczno-ustrojowych.

Poza kinematografią jednomyślności już nie było. Wśród tych, którzy deklarowali sprzeciw, była nieliczna grupa byłych właścicieli kin. Reaktywowali oni przedwojenne Polskie Zrzeszenie Teatrów Świecących i powołując się na przepisy dekretu o nacjonalizacji wskazywali, że żadne kino w Polsce nie zatrudniało ponad 50 pracowników. Żądanie zwrotu kin ocalałym właścicielom nie zostało jednak uwzględnione. Przyczyniło się do tego w znacznym stopniu

Anna

HENRYK HARTENBERG

Przez długie, prostokątne okno widać zachmurzone niebo. Wiatr przynosi szum rozkołysanych drzew pobliskiego lasu, plusk leniwie płynącej opodal rzeki i głuchy odgłos odlatującego się frontu. Stary jednopiętrowy domek, pamiętający jeszcze ubiegłe stulecie, z dwoma wysokimi kolumnami i szerokimi schodami, prowadzącymi do frontowych drzwi — ukryty jest w ciemności. Gdzieś w przyległym pokoju, na pierwszym piętrze zegar wymurczał godzinę jedenaście.

Jakie jasne są teraz noce! — pomyślała Anna. — Białe noce. Jak u nich tam, w ich Leningradzie — pomyślała o żołnierzach, którzy spali na dole.

Anna nie może zasnąć. Leży z otwartymi oczyma. Myśli kłębią się i odsuwają sen. To wszystko jest takie nagłe, tak zupełnie inne. Po rozpięczeniu od wielu miesięcy czuje się lepiej, nie napastują jej lęki ani myśli o samotności, kiedy to wydawało się, że popada w obłąd.

Anna ma wrażenie, jakby coś się w niej rozdziło, coś umierało, coś utrwalało, coś rozpytywało. Coś, czego nie potrafi jeszcze dokładnie określić.

Chory chłopiec, który leży obok Anny, oddycha z trudnością, jęcząc przez sen. Stary ojciec porusza się niespokojnie, wzdycha głęboko, przewracając się na drugi bok. Na pewno wciąż jeszcze przeżywa — i do końca dni swoich będzie już we śnie czy na jawie przeżywać — lata okupacji i śmierci syna. Syna zastrzelonego na oczach ojca. Syna, leżącego w strudze krwi na Placu Teatralnym, a przy nim oprawców, usiłujących kopaniem i uderzeniami kolby wydebać z konającego wiadomość, od kogo otrzymał ulotki i gazetki, znalezione przy nim, i gdzie zostały wydrukowane.

Byłem przy nim — zajakuje się starzec na pograniczu jawy i snu — i nie umiałem go obronić. Mógł mi oddać ulotki. Mnie starego może by zostawił w spokoju, a gdyby nawet nie, to i tak życie mam już za sobą, mógłbym umrzeć, a on żyłby jeszcze długo. Dlaczego tego nie zrobiłem? Stary człowiek szuka wciąż nowych dowodów winy przeciwko samemu sobie, oskarża się, że nie postąpił, jak powinien postąpić ojciec... Tylko że nigdy nie udało mu się konkretnie odpowiedzieć sobie samemu na pytanie: co właściwie powinien

był wtedy uczynić. Bardzo już podupał na zdrowiu, nie wyleczył się z ran zadanych jego synowi kolbami w czasie oblawy na placu Teatralnym.

W noc po Wyzwoleniu nikt chyba nie może zasnąć spokojnie. Każdy chyba wraca do przeszłości i wskrzesza w pamięci cienie swoich matek, sióstr, braci, najbliższych...

W okolicy grasują jeszcze podobno jakieś rozbite oddziały niemieckie. „Nie bojcie się” — mówili rano żołnierze radzieccy, którzy przyszli tutaj na kwatery i teraz oto śpią na dole.

Przez długie lata wpałano w nią nieufność wobec wschodniego sąsiada Polski, zetrwano dziecięce serce, strasząc ją ciągłymi słowami, które wryły się głęboko w pamięć. „Aniu, bądź grzeczna, bo cię bolszewicy zabiorą, przyjdą po ciebie i zabiorą”. Albo też dzieciom ze wschodu grożono „Polskimi Panami”. Nielatwo jest uwierzyć w przyjaciół, bezinteresowność, zwłaszcza gdy było się tak długo w atmosferze podłości, strachu i poniżenia. Jeżeli człowiek ocierał się ciągle o nieczystość ludzką.

Teraz wszystko się zmieniło. Powoli zaczęła rozumieć. Chociaż nie pojmowała jeszcze wielu spraw, które działy się w ojczyźnie, za którą walczyli jej mąż i brat, o którą modlili się ojciec, ona, syn...

Wydawało jej się, że zaczęła padać deszcz, że ciężkie krople uderzają o blaszany dach. Ze o to deszcz rozmywa na drodze i łące ślady po gasienicach czołgów i ślady stóp żołnierzy, którzy uciekali stąd w panice, a ślady stóp żołnierzy, którzy przynieśli wolność. Ale deszcz nie padał. Przeciwnie, noc była jasna i zupełnie pogodna.

Jeszcze jedno przewidzenie — pomyślała.

Przeprowadzając się z chorym na płuca dzieckiem z miasta do starego ojca, który od śmierci syna zamieszkał na skraju małego miasteczka, Anna ludziła się, że znajdzie tu tak potrzebny po niedawnych strasznych przeżyciach spokój i otoczony lepszą opieką syna i ojca. Niestety, nie było to łatwe. Ludzie, zaznali w czasie wojny wiele nieszczęść i byli obojętni na jej niedole. Na domiar otrzymała teraz dopiero wiadomość, że mąż jej nie wrócił już po wojnie z oflagu, że zginął „zastrzelony w czasie ucieczki”.

Znajdowała się na skraju wyczerpania. Prześladowały ją —

podobnie jak ojca — upiornie sny, wciąż oglądała nocą sceny, których była świadkiem. A i za dnia wciąż powracały — a to wyobrażony obraz męża zastygłego na drutach, a to obrazy z tamtych lat, wryte w pamięć i utrwalone w niej na zawsze: widok wiszących na szubienicy, ludzie pod murem z zagipsowanymi ustami, rzeź...

Najczęściej prześladował ją morderca popełniony na małym dziecku przez oficera niemieckiego. Ciągłe zdawało jej się, że trwa tamto letnie słoneczne popołudnie, że idzie placem Trzech Krzyży, a wzdłuż domów posuwa się w jej kierunku przywierając do ścian ruda dziewczynka ze szmacianą lalką... Mija szybko Annę i oto zbliża się do „dziewczynki” przystojny oficer, w białych rakietach. Gestapowiec zatrzymał się, wskazując palcem lewej ręki podniósł głowę dziecka, spojrzał w ciemną twarz, zadał pytanie... i nie czekając na odpowiedź błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet. Strzelił między oczy.

Zapamiętała na całe życie te oczy małej — szeroko rozważone, wpatrzone w dalekie zimne niebo, wiszące nad milczącym miastem...

Czas mijał, pojawiły się na niebie chmury. Odchodziły na zachód, pochylone nisko, jak gdyby chciały wdrzeć się w głąb rozdartej okopami ziemi i pozostać w niej na zawsze.

Anna wstała i podeszła do okna. Owioną nia ostry strumień powietrza i poczuła zapach dalekiej łaki. Pomyślała: To tak jak wtedy. Wtedy był początek wiosny, początek ich życia, ich miłości...

Szli wąskimi uliczkami, nad którymi wisiał siwy księżyc. Szumiały stare wierzby na Jezuidkiej, na Piwnej, na Wąskim Dunaju, a nad ostrymi dachami przepływały — zdawało się, że bardzo nisko — chmury, podsrebrzone, nabitę gdzieś gdzieś świecącą gwiazdą, w jednym zaś miejscu przekrajane księżycowym sierpem.

Senne kamieniczki otoczone sadem liliiowych drzew witały ich zrenicami szyb. „Do widzenia”, „do zobaczenia” — żegnali się, ale mimo tych — jednoznacznych — słów nie ruszali się z miejsca i nadal trwali w objęciu.

Obraz samotnego drzewa za oknem z wyciągniętymi, jak do zapełnienia pustki, konarami wywołał nowe, ostre ukłucie bólu. Żeby odwrócić oczy od drzewa, zapuściła wzrok dalej i głębiej, aż po zagubiony w fioletowomrocznej dali horyzont. Niebo ogarniało ziemię jak morze, na którego brzegach dopalały się ogniska gwiazd. Pachniało mokrą gliną, wodą i szuwarem...

Anna długo jeszcze stała przy oknie, nie mogąc oczu oderwać od widoku nocy, szumu drzew i plusku niespokojnych fal pobliskiej rzeki.

Nagle zadrżała. Serce zaczęło bić mocniej. Ogarniał ją niepokój. Jakby groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Nie! Nie myliła się. Od strony rzeki wynurzały się, jedna za drugą, uzbrojone sylwetki tamtych...

Było ich coraz więcej i więcej. I Anna jeszcze mocniej zadrżała. Więc mają teraz właśnie zginąć. Ona, dziecko, ojciec! Zapomniała o żołnierzach śpiących tam na dole, których trzeba przecież tylko obudzić. Oni znajdą na to radę! Mają broń, mają środki łączności! Zresztą ktoś z nich czuwa na warcie. Na pewno już nie śpią, tylko pozorują ciszę.

Zapomniała o tym. Świadomość — ta ostra za dnia świadomość — spała, zdawała się nie istnieć. Nie spał tylko ślepy instynkt, czuł...

Cienie stały się coraz wyraźniejsze, plusk fal pobliskiej rzeki nieregularny, głośniejszy i obcy. W blasku wynurzał się coraz bardziej księżyc, załamywał wrogi hełmy. Łańcuch niemieckich żołnierzy wydłużał się coraz bardziej, a potem znikła w pobliskich zaroślach.

Błysnęła myśl... Granat!

Na stole leżał granat pozostawiony przez tego żołnierza, który tak długo opowiadał jej o białych nocach i o tym, jaki wielki wtedy panował głód w Leningradzie. Mówił: „Nie boję się, dziewczka. My wiedź karaulim nocą. U nas son nie son. I wo snte swój karaul dierżim”.

Anna czuje w dłoniach jakieś dziwne, nerwowe klucie. Szybko podchodzi do łóżeczka chorego dziecka i starannie okrywa go kołderką. Tak samo otula ojca... Jeszcze szybciej wraca do otwartego okna. Najpierw wyskoczył jeden, potem drugi, trzeci, dziesiąty... W świetle księżyca można wyraźnie uchwycić kierunek natarcia. Czarne, lśniące mundury, broń!

Z dołu rozlega się cicha komenda: „Wnimanje! Wsie na swoi miesta! Zdat, poka...”

Anna tego nie słyszy, nie pojmuję, świadomość w niej śpi. Czuwa tylko ślepy, lecz niezawodny instynkt — wzbogacony niedawną wiedzą o odbieraniu granatów i szerokim zamachu ręki.

Podniosła granat.

Oto szeroki zamach całym ramieniem. Oto w stronę białych już o kilkanaście metrów, posuwających się bezszelestnie sylwetek... Oto...

Wrzask z rzutem rzywa się z jej ust przeraźliwy krzyk: „W imię Ojca i Syna...”

Huk wstrząsnął powietrzem, odrzucając ją w stronę ojca i syna...



Rys. Janusz Szymański-Glane

Henryk Hartenberg (1914-1987)

Muszę Czytelnikowi — smutny to obowiązek — opowiedzieć, jak to było z drukowaniem powyżej opowiadań Henryka Hartenberga „Anna”.

Dostałem list od niego.

„Drogi Przyjacielu! — pisał — Bardzo Cię proszę o publikację mi „coś” z załączonych trzech opowiadań. Bardzo mi na tym zależy. Może opow. pt. „Trzy Krzyże” albo „Anna”. Opowiadania wszystkie z własnych przeżyć! Może to nie są „genialne”, ale posiadają w sobie coś z elementów o przyjaźni. Bardzo Cię proszę! Gdź bardzo mi zależy. Z wielu powodów. Myślę, że coś dla mnie zrobisz! Po starej przyjaźni!”

W latach 1960—1962 pracowałem jako kierownik wydziału młodzieży szkolnej w KW ZMS w Łodzi, choć teren naszego działania obejmował województwo łódzkie. Było to „owo duże województwo łódzkie”, które szczerze otulało Łódź i nie... miało swojej siedziby. KW ZMS mieścił się wówczas na piątym piętrze Gmachu Partii przy al. Tadeusza Kościuszki 111/113, po południowej jego stronie, nad KW PZPR i częścią nad KL PZPR. Dziś mieszczą się tam archiwa partyjne oraz sala posiedzeń Egzekutywy KL PZPR.

W suterenie — tak jak i dziś — mieścił się bufet, gdzie zjeżdżałymi windą na śniadania, a przed zakończeniem pracy na kawę. Ech, były to czasy, kiedy i piwo bywało w bufecie.

Pamiętam — piliśmy kiedyś kawę, gdy do bufetu podszedł wysoki, szczupły mężczyzna z kalkowniczymi słowami na głowie.

— Kto to? — zapytałem.

— Henryk Hartenberg, zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KW — odpowiedziała Jadwiga Pilichowska i dodała coś, co mi się

padło w pamięć na zawsze. — Nigdy nie chciałabym narazić się temu człowiekowi.

Musiał to być twardy, bezkompromisowy człowiek — pomyślałem i postanowiłem go uścisnąć. Ale nie dało się. Musiałem coś zalać w KW i to właśnie u Henryka Hartenberga. Wtedy zobaczyłem u niego na biurku pod szklek cytaty — już dziś nie pamiętam jak — który jakoś nie pasował mi do tego człowieka, a już najbardziej do jego funkcji.

— A bo on pisuje wiersze — wyjaśnił mi ktoś lekceważąco. No, bo jakże to? Poważny działacz partyjny i... wiersze.

Z tymi wierszami Henryk Hartenberg nie miał lekkiego życia. Drukowano mu je. Zresztą rozsyłał je, gdzie tylko mógł, co znów nie powinno nikogo dziwić ani oburzać, jako że poeta pisze dla ludzi, a nie do szuflady. Drukowano, ale do Związku Literatów Polskich nie przyjmowano. Trochę zmieniła się aura wokół Henryka Hartenberga, gdy sam wielki Jarosław Iwaszkiewicz za motto swego wiersza wziął cytaty z wiersza Henryka Hartenberga. No, skoro sam prezes uznaje te wiersze, to...

Zadebiutował „Cieniem ptaka” w 1964 roku. Później były kolejne książki — zbiory wierszy: w 1967 „Słońce we krwi”, w siedem lat później, bo w 1974 „Stromy jest czas”. Po trzech latach w 1977 „Dzień po dniu”. W następne

dwa lata — w 1979 „Wyjście z ciemności”. W 1982 roku „Pożar w chmurach”. W 1985 roku — „Znaki pamięci”.

„Ważna rzecz” dla mnie — pisał w swoim ostatnim liście — jest teraz „czekanie” na dwie książki poezji, które mają się wkrótce ukazać na rynku, i to „Etiudy wieczorne” Wyd. PIW, druga „Misterium” Wyd. Łódzkie. Ważna „rzecz” w życiu piszącego wiersze.”

Mam gdzieś w swoich archiwach inny list Henryka Hartenberga. Było to chyba gdzieś w 1982 lub 1983 roku. Edmund Lewandowski opublikował wówczas na łamach „Odgłosów” artykuł o charakterze narodowym Żydów. Henryk Hartenberg pisał wtedy do mnie per „Towarzyszu” i grzmiał — mając chyba odrobinę racji — że Edmund Lewandowski niekiedy rozmyśla się z marksizmem. Nie chciał jednak polemizować, po prostu się oburzał. Myśmy też przeszli nad tym do porządku dziennego, choć Henryk groził, że roześle ten artykuł i swoją o nim opinię, gdzie tylko będzie mógł. Łatwo napisać, trudniej wykonać. Wszystko jakoś rozeszło się po kościach.

Później Zarząd Oddziału ZLP w Łodzi delegował Henryka Hartenberga do jury nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury. Dwukrotnie zasiadaliśmy przy wspólnym stole, gdyż mi z urzędu przypadało przewodniczenie i dwukrotnie spieraliśmy się o kandydatury. Było ich wiele, a nagroda — jedna. Henryk Hartenberg był sprawiedliwy, życzliwy ludziom, umiał wyważać różne racje, był też krytyczny. Mieliśmy wtedy sporo okazji do dyskusowania na różne tematy. I jakoś nie kłóciłem się, choć zdania miałyśmy różne. Był przecież wrażliwym poetą, który pisał dla ludzi i był doświadczonym działaczem politycznym i społecznym.

„Miałem pojechać 8 grudnia na posiedzenie Zarządu Głównego ZLP w Warszawie (zaprosił mnie z „prawem” zabierania głosu). Niestety nie pojadę chyba, gdyż choroba mi nie pozwala”.

Właśnie choroba spowodowała, że napisał ten list z prośbą o publikację „czegoś” z trzech nadesłanych opowiadań. Mam dość trudną sytuację. Drukujemy dwie powieści: Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu” i Leonarda „Matnie” i już nie staję miejsca na inne literackie publikacje, jeśli zasluguja na druk. Łatwiejsza jest sytuacja poetów, bo staramy się regularnie drukować ich wiersze. Zresztą list przyszedł w momencie, gdy już numer świąteczny i noworoczny były w drukarni. List nosił datę: 1.XII.87 r. W cytowaniu tego listu staram się zachować oryginalną stylizację i formę.

„Nie wiem, jak długo będę jeszcze tutaj (u doktora Pietraszuna urologa) przeżywał, dlatego proszę o publikację... od wielu tygodni

znajduję się w szpitalu — po kilku zabiegach — i mam nadzieję, że i to może być jakimś lekarstwem czarodziejskim! Tak po kilku zabiegach. Zrobił to dla mnie! Będę i ja o tym pamiętał!”

Zadumałem się nad tym listem. Wzruszyła mnie ta błagalna prośba, choć gdzieś tam kłotało podejrzenie o brzydkie, małutkie szantażki. Jak to ludzie chorzy potrafia.

„Kończę! — pisał dalej Henryk Hartenberg. — Wierzę w Ciebie! Jako lekarstwo! Także! Dziękuję. Do zobaczenia! Może jeszcze (do cholery wyjdę z tego szpitala...) i zobaczymy się”.

I był jeszcze dopisek: „przepraszam za bazaranie! ręka ledwo się porusza!” I dopisane innym kolorem długopisu: „nie mogę utrzymać nawet ołówka”.

Zadzwoń do żony Henryka Hartenberga i prosiłem, aby mu przekazała, że „coś” wydrukuję, ale nie w świątecznym, ani nie w noworocznym, może w drugim lub trzecim numerze w 1988 roku. Niech spokojnie czeka, niech wraca do zdrowia.

Nie doczekał. 20 grudnia 1987 roku zmarł. Nie doczekał druku opowiadań, które miało być dla niego „lekarstwem czarodziejskim” nie doczekał dwu tomów swoich wierszy, czekanie na które było dla niego takie ważne. Odszedł. W takich sytuacjach mówię sobie, że pozostał w naszej pamięci i będzie w niej żył tak długo, jak my żyć będziemy. I właśnie dla dochowania tej pamięci dotrzymuję słowa i oto ukazuje się owo „lekarstwo czarodziejskie” — jego opowiadanie „ANNA”. Czy już niepotrzebne? Przecież nie pisał dla siebie — dla innych, dla Czytelników. Im być może się przyda.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nalepka firmowa elektrowni jądrowej „Zarnowiec” — głosi: „myślisz, że niebezpieczna — NIE MASZ RACJI”. Hasło jest zgrabne i efektowne, ale nie może uspokajać nas na słowo honoru. W różnych publikacjach przytacza się wiele m.in. wyniki pomiarów promieniowania jonizującego przeprowadzonych w USA. Nie podaje się wyników naszych badań, bo legion krzykaczy uważa by te za tendencyjne, niezgodne z prawdą, wyszane z palca. Sądzę, że i efekty amerykańskich badań zamieszczane w polskich publikacjach nie opiera się krytyce różnej maści ekstremalnych niedowiarów, jako manipulowane, przekłamane czy zgola zmyślone. I nieważne będzie dla nich, że żadnym dowodem poprze swojej niewiary nie będą mogli. Wielu — zbyt wielu — dyskutantom i oponentom (przy najróżniejszych zresztą okazjach) wydaje się, iż wrzask czyni rację, a kto głośniejszy wrzeszczy, ten bliższy jest prawdy.

Przytoczmy jednak wyniki badań amerykańskich uczonych. Otóż, mówią one, iż roczna dawka promieniowania jonizującego przypadającego na jednego mieszkańca wynosi około 220 mremów i pochodzi z następujących źródeł: to naturalne — 130, doświadczenia z bronią jądrową — 5, diagnostyka medyczna — 72, leczenie izotopami — 14, przemysł jądrowy, w tym elektrownie — 1, inne (farby świecące, telewizory, lotnictwo) — 2 mremy.

Jak widać z przytoczonych liczb, zagrożenie promieniowaniem jonizującym przez elektrownie jądrowe jest wielokrotnie niższe niż zagrożenie wynikające z np. radiologicznych badań i zabiegów medycznych oraz naturalnego tła promieniotwórczego pochodzącego z gleby i kosmosu.

Emocje społeczne związane z budową pierwszej elektrowni jądrowej w Zarnowcu, a wywołane katastrofą w Czarnobylu, są zrozumiałe. Nie należy ich ani lekceważyć, ani zbywać jakimś frazesami i robić swoje. Ale nie wolno ich również sztucznie roznosić: płomienne wystąpienia ignorantów, poza wywołaniem emocji niczego nie zmienia, a tym bardziej nie zlikwidują. Cały

ten zgiełk wokół elektrowni jądrowej

przypomina jako żywo — toutes proportions gardées — wściekły wybuch ciemnogrodu detonowanego podreżnikiem o wychowaniu seksualnym. Tak jak modlitwa nigdy nie uchroni przed niepożądaną ciążą, bo cudów już dawno nie ma, tak poczytne elektrownie wodne nie nasterczą potrzebnej nam energii. A wotów, by najwięksi przeciwnicy elektrowni atomowych zdołali się spędzić długie jesienne wieczory przy lampie naftowej lub świecy, nawet gdyby to była gromnica.

Szeroko akceptowana energetyka wodna posiada również swoje naturalne ograniczenia, których nie sposób ominąć. Aby rzeki dawały energię, musi płynąć w nich dużo wody i musza mieć duży spadek. Wszystkie istniejące w Polsce zasoby wodne pozwalają uzyskać około 2000 MWe — czyli połowę tego, co obecnie produkuje elektrownia Bełchatów. Trudno na tej podstawie przewidywać, że energetyka wodna pozwoli nam wyżyć z kryzysu energetycznego, tym bardziej, że wykorzystanie tych 2000 MWe wymaga ogromnych środków inwestycyjnych.

Na łamach „Tygodnika Powszechnego” który dla wielu jest biblia, wyroczenia i najwyższym autorytetem — wypowiada się dwóch profesorów: Andrzej Hryniewicz i Zygmunt Kolenda. Twierdzą oni, że nie ma alternatywy dla elektrowni atomowych, bo z innych źródeł nie zaspokoi się zapotrzebowania wciąż rosnącej liczby ludności na świecie. W dodatku obecne elektrownie są większym zagrożeniem dla życia niż elektrownie jądrowe, nawet uwzględniając (uwaga, uwaga!) — ofiary ich awarii — obecne i hipotetyczne przyszłe.

Na czy polegała owe zagrożenia? A na tym, że: energetyka konwencjonalna oparta na spalaniu paliw stałych, płynnych i gazowych jest jednym z głównych światowych producentów dwutlenku węgla. Podobno zbliżyliśmy się do niebezpiecznego progu klimatologicznego ostrzeżenia, że efekt cieplarniany tworzony przez dwutlenek węgla spowodować może w najbliższych latach ogromne zmiany — stopnienie lodowców na biegunach, a za-

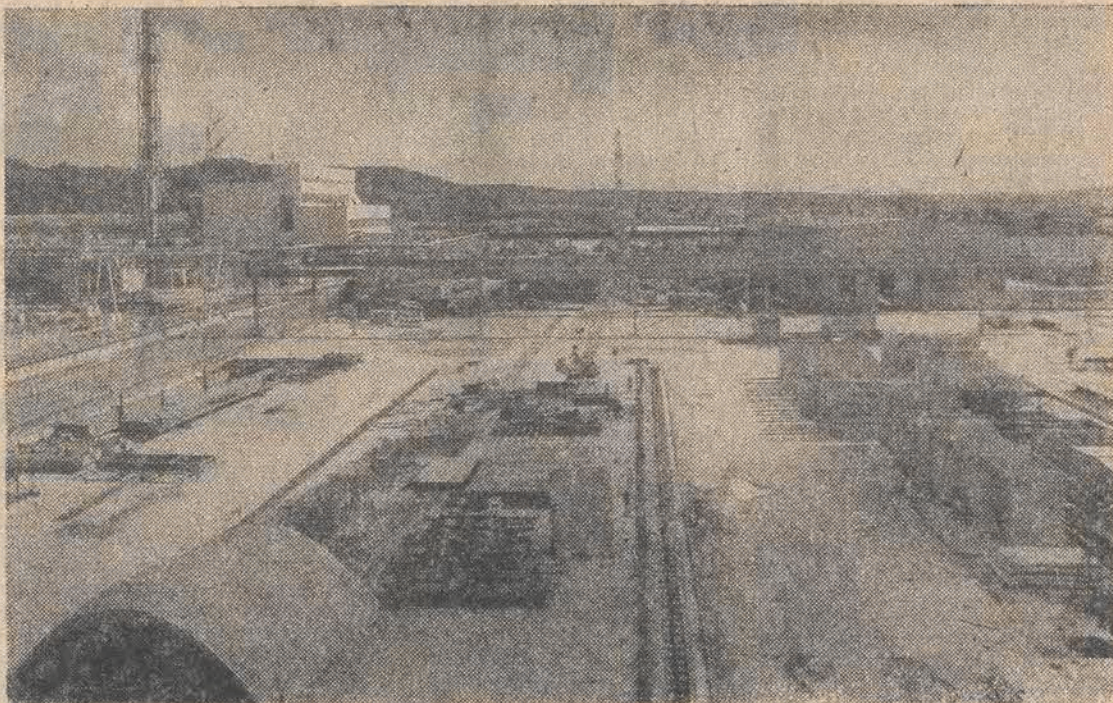


Foto: Stanisław Wiesiołowski

Myślisz, że to niebezpieczne? Nie masz racji. Przeczytaj, może się przekonasz!

Gromnica czy atom?

MAREK KOPROWSKI

tem zalanie ogromnych obszarów nadmorskich na całym świecie. Dalej: ekologiczny twierdza, że z uwagi na zanieczyszczenie atmosfery tlenkami siarki, zagrożone są bardzo poważnie lasy, głównie iglaste. Podaje się rok 2000 jako kres życia znacznej ich części (to przecież za 12 lat!). A lasy — jak wiadomo — to ogromna produkcja tlenu, o którego braku w atmosferze musimy bezwzględnie dbać. Energetyka jądrowa nie potrzebuje tlenu do spalania i produkcji energii elektrycznej, nie wytwarza także tlenków siarki, które są największym zagrożeniem życia producentów tlenu — lasów. Dalej: składowiska żużli otrzymywane przy spalaniu węgla są zimą energetyki konwencjonalnej (elektrownia o mocy 2000 MW spala ok. 6 mln ton węgla rocznie) i wielkich miast. Zajmują bardzo duże obszary i są magazynem wielu rozprzestrzeniających się zanieczyszczeń, w tym pewnych izotopów promieniotwórczych. I nikt przeciw temu nie protestuje. A teraz konkretnie: według ostatnich ocen, średnie roczne STRATY W POLSCE z tytułu emisji dwutlenku siarki do atmosfery (rocznie 2,5 mln ton), a więc szkody w lasach, rolnictwie, budownictwie, zdrowiu, itp., wynoszą 400 mld zł. Jest czego bronić — panowie przeciwnicy energetyki jądrowej!

Prof. Stefan Jarzebski, jako minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych, powiedział:

„...sprzeciw wobec elektrowni jądrowych, to element naszej kultury politycznej. W tym środowisku dobrze jest widzieli być przeciw. Polak chce żyć życiem Francuza lub Niemca, ale nie chce zrozumieć, że do tego konieczne jest racjonalizowanie własnych żądań. Staliśmy się amoralni, egoiści i nieśmiertelnie często bezmyślni. Nie uświadamiamy sobie faktów”.

I dodaje:

„Przez wiele, wiele pokoleń będziemy korzystać z różnorodnych źródeł energii. Jednocześnie w coraz większym stopniu z elektrowni jądrowych. Nie jesteśmy w stanie być w środku Europy, zamawiać tego, co dokonano się już na świecie. To się po prostu nie uda”.

Bo na świecie pracuje już ponad 300 elektrowni atomowych o łącznej mocy 180 tys. MW, a w budowie jest dalszych 200. W Francji, na którą jesteśmy zaprzęgnięci od setek lat (niemoty — bez wzajemności), 40 proc. wytwarzanej energii pochodzi z reaktorów jądrowych. W Szwecji 12 proc., w USA — 5 proc. A Polska nie wyprodukowała do tej pory ani kilowata, a przecież dalecy jesteśmy od przyszłości. Średniej europejskiej w zużyciu energii elektrycznej na głowę mieszkańca.

Widok placu budowy elektrowni jądrowej „Zarnowiec”

jest imponujący. Ze względu na, którym postawiono budyn-

ki administracyjne inwestora i głównych wykonawców, niczym z mostku kapitańskiego albo gniazda dowodzenia, ogarnąć można wzrokiem cały teren budowy. Wielkie Jezioro Zarnowieckie odgracza teren, na którym powstaje elektrownia od zaplecza mieszkalno-hotelowego usytuowanego na przeciwległym brzegu. Dyrektor Ryszard Kurylczyk (inżynier — pisarz, o którym niedawno pisałem) organizuje samochód, do którego wsiadam w towarzystwie mgr Wiesława Szlendaka — kierownika działu informacji i rzecznika prasowego budowy. Niejako kolega po fachu, tyle że on ukończył Studium Dziennikarskie, a ja nie. Ruszamy w obłaz gigantycznego placu budowy i terenów przyległych. W czasie jazdy Wiesław Szlendak opowiada:

— Budowa obejmuje powierzchnię 200 ha, pracuje na niej dziś 5000 ludzi z 50 firm kooperujących. Docelowo elektrownia zajmować będzie powierzchnię 70 ha. Ta budowa jest wyjątkiem technicznym i organizatorskim. To nie tylko nowe, niespotykane wcześniej technologie przy obiektach podstawowych, to także budowa na niespotykanej wcześniej skali: zaplecze, mieszkania, hotel, sieci sklepów i usług, przedszkoli i szkół. Realizuje się również zaplecze dalekie. W Zespole Baz Gdynia — Ciesowa ma powstać docelowa fabryka tzw. przestrzennych bloków zbrojeniowych, również dla następnych EJ. Dwa zakłady remontowe energetyki. Gdańsk i Gródki przygotowują się do służby remontowej na rzecz „Zarnowca”. Oprócz wymienionych miejsc adaptuje się Sochaczew, Koźnice i Koniń. W ramach EJ „2” realizowane są zadania i inwestycje związane z towarzyszącymi: wyprawa-dzenie mocy, przebudowa dróg publicznych w rejonie elektrowni, ośrodek pomiarów zewnętrznych do badań środowiska, obwałowania Jeziora Zarnowieckiego, bowiem podniesiono lustro wody o 1 m i melioracje okolicznych łąk, bojenica kolejowa, budownictwo mieszkaniowe, dla zalogi eksploatacyjnej, zaplecze produkcyjno-socjalne i hotele. Ponadto w Węjherowie 28 obiektów, w Redzie 32 obiekty, w Gnieźnie 14 obiektów związanych z infrastrukturą miast; uzbrojenie podziemne, ulice, szkoły, przychodnie zdrowia, przedszkola, żłobki, sklepy, budynki usługowe, kottownie, obiekty kulturalne, sportowe itp. Elektrownia buduje własnymi siłami znaczną liczbę mieszkań: w Redzie 1200, Węjherowie 800, Gnieźnie 600 i Łęborze 600, zarówno dla pracowników budowy, jak i przyszłej zalogi eksploatacyjnej. Uzyskujemy wskazania lokalizacyjne pod nowe osiedla na terenie nie uzbrojonym. Zmuszeni jesteśmy wykonywać bardzo wiele robót przygotowawczych: zabierając teren, rozbudowując infrastrukturę miast. Z efektów naszej pracy korzystają sąsiednie osiedla apoludziści.

W kwietniu 1982 roku rozpoczęto prace budowlane,

wykopana ziemia przemieszczano w rejonie budowy tak, aby nie wywołać Zależeń. Zależeń było nienaruszenie linii lasu — tak też się stało. Wielkie znaczenie przywiązuje się do utrzymania czystości środowiska naturalnego. Kończona oczyszczalnia ścieków biologicznych i mechanicznych jest bardzo nowoczesna: osobno plynąć będą ścieki sanitarne, osobno przemysłowe i osobno deszczówka. Strefa wylazienia przebiegać będzie w promieniu 1800 m od budowanego reaktora, tzn. że na tym terenie nie będzie można zamieszkiwać, ale mogą być ziemie uprawne, można poruszać się, przejeżdżać. Reaktor zaczęto budować w 1983 r. Uroczono ten blok o mocy 465 MW przewiduje się na 1990 r., a całkowite zakończenie budowy elektrowni w 1994 roku. Wówczas jej moc wyniesie 1860 MW. Fundament reaktora ukladają się z przestrzennych bloków zbrojeniowych (PBZ), zwanych tutaj pieszczotliwie klockami lego. Polaczenie stali z betonem, a w środku gotowe przepusty, ciagi technologiczne. Muszą do siebie idealnie pasować, co jest tym trudniejsze do wykonania, że technologia nie była dotąd w kraju znana. Mieszczą się jednak w granicach nieprawdopodobnie przewyższającej tolerancji — 3 mm na płaszczyźnie długości 5 m. Łączone betonem tworzą monolit. Korpus reaktora będzie miał 60 m wysokości. Reaktorownia — 9,2 m poniżej poziomu jeziora budowana jest przy pomocy nowoczesnego sprzętu. Dźwig „Linden” „rośnie” razem ze stawianym obiektem. Jest ich tylko kilka w Polsce. Pompy wysokiego podawania do zalewania betonem, a beton musi być tu inny niż na zwykłych budowach: cement z plastomerami. Zdarzyło się już odesłać kilka partii suszonego surowca. Tu nie może być lpy, fuchy czy najmniejszego niedbalstwa. Stal zbrojeniowa, jakiej dotąd w Polsce nie znano. Przewieźlane spawy. Specjalnie atestowani spawacze. Reżymy technologiczne są niezwykle surowe. Czernobylska katastrofa uczuliła nie tylko przeciwników, ale i wykonawców. Cytowany już prof. Stefan Jarzebski, powiedział:

— Katastrofa czernobylska wymusiła na ludziach odpowiedzialnych za energetykę jądrową pomowne analizy systemów bezpieczeństwa, dokummentacji, zastosowanie kolejnych ulepszeń. Tempo budowy „Zarnowca” nie jest najwyższe, z czego ja osobiście jestem zadowolony, albowiem sprzyja ono zwiększeniu pewnością bezpieczeństwa.

Mijamy „Ładą” magazyny — hale o powierzchni 6 boisk piłkarskich, kotłownię grzewczą-rozruchową o wydajności 140 t pary na godzinę, stację uzdatniania wody, estakady — budowa ma swoją wewnętrzna komunikację autobusową, zewnętrzna również, 3,5 km

„metro”, czyli rodzaj chodników podziemnych, w których biegać będą wszystkie kable i rury; mijamy stółkę centralną na 2,5 tys. miejsc i 4 bloki szatniowe — każdy na 1,2 tys. osób.

Oddalamy się od terenu budowy i robimy duży okrąg wokół niej, po okolicy.

Kartoszyno przestało istnieć,

ustąpiło miejsce przyszłej elektrowni jądrowej, a jej mieszkańców przeniesiono w pobliże wsi Odargowo. Pobudowano tam gospodarstwa rodzinne, które wyglądały imponująco: w pruskim stylu, z widocznymi elementami drewnianej konstrukcji, składają się (każde) z domu, stodoły, obory i jeszcze jakiegoś budynku, postawione w kwadracie i połączone tzw. rekawami, czyli że można dojść wszędzie nie wychodząc na podwórko. Dom składa się z 6 pokoi, jest piec centralnego ogrzewania, piec chlebowy, wędzarnia, studnia, ale i wodociąg, kanalizacja, kafelki w łazience i tym podobne bajery. Różnica wartości — 30 mln zł na korzyść nowych gospodarstw, zaplana na dług hipoteczny, ale dzierżawa jest wieczysta.

Wiesław Szlendak wyraża się z najwyższym szacunkiem o mieszkańcach dawnego Kartoszyń, którzy nie dramatyzowali, nie histeryzowali, gdy zapadła decyzja o likwidacji ich wioski, choć odcieci się od korzeni nigdy nie jest łatwe, a tym bardziej dla chłopów, a tym bardziej dla Kaszubów, doświadczanych przez los i historię nie tak znów odległą. Trudne rozmowy przebiegały spokojnie, uznano wyższą konieczność, choć nikt nie wiedział w jakie warunki zostaną przeniesieni. Przeniesiono im w nowe miejsce nawet kapliczkę i krzyż z drogi. Chcieli „zabrać z sobą” i nazwę wioski, ale zaproteściowali mieszkańcy Odargowa, choć odcieci sa od siebie kawałkiem wolnej przestrzeni. Dla tych, którzy nie mieli uprzedzkowanych spraw prawnych własności, zbudowano bloki w pobliskiej Krokowej. Były to jedne ruchy ludności w związku z budową elektrowni.

Mijamy wieś Nadole. Tu postawiono latem 1987 skansen, a właściwie raczki skansenu, czyli chaty, chlewnie i stodoły z XIX wieku, właśnie z nie istniejącego już Kartoszyń. I o to zabada dyrekcja elektrowni jądrowej w budowie. W Nadolu jest wielki hotel pracowniczy, sala gimnastyczna, kompleks boisk, a także blaszane domki dla pracowników. Mieszkałem w tym hotelu, jest on nawet elegancki, dobrze wyposażony i utrzymany, ma sklep, kiosk, fryzjera, salę kinową, telewizyjną, kawiarnię, barek. Tu spotkałem Wiesława Mikolajczyka, kolegę z liceum. Jest brygadzią, i powiada, że znalazł w Zarnowcu najlepsze warunki pracy, plaży i wypoczynku, a zjechał był już wiele budów, w tym kilka na Górny Śląsk i w Bełchatowie. Powiedział również, że bez fantazji nie ma życia i w wolną sobotę pojechał na Hel, do Maszoperi, na piwo. Narzekał tylko na zbyt wolne tempo pracy, bo on lubi szybkie roboty.

Dalej Czarnowice, naturalne zaplecze EJ „2”. Są tu bloki mieszkalne, domki pracownicze, restauracja oraz Elektrownia Pomowo-Szczytowa, ukończona w 1983 r., a budowana z myślą o Zarnowieckiej. Wydajność jej, to 680 MW. Górny zbiornik tej elektrowni ma powierzchnię 130 ha, 140 mln metrów sześć wody, największy tego typu zbiornik w Europie. Jest to ścięty stożek góry, „wydubany” w środku, omentowany i zaasfaltowany. Obecność Elektrowni Pomowo-Szczytowej ma duże znaczenie ekonomiczne dla przyszłej wspólnej pracy.

No i na koniec Zarnowiec, wieś, od której nazwę pożyła elektrownia. Położona 1,5 km od Jeziora Zarnowieckiego i 5 km od morza jest miejscem „pobytu” wielu cennych zabytków kultury i sztuki religijnej. Zachował się zespół klasztornych budynków z kościołem z XIII w., a w nim goticka płaskorzeźba Madonny z Dzieciątkiem. Katarzyna Meczenniczka, późnogotycka figura św. Scholastyki, św. Benedykta, Pieta — ludowa rzeźba w drewnie lipowym z XIV w., zbiór haftowanych ornatów z XVII—XX wieku. Księgi liturgiczne: gradual z 1478 r. i antyfonarz z 1620 r. Z dawnych budynków klasztornych zachował

sie dworek, browar i plebania. Wieś malownicza, niewielka i spokojna. Stąd nie widać ani nie słychać budowy, o jej istnieniu przypomina przejeżdżające gęsto ogromne wywroki.

Po przejechaniu 41 km wracamy do bazy. Otrzymuję od Wiesława Szlendaka materiały na temat elektrowni, min. „Głos Zarnowca”, wydanie specjalne „Głosu Wybrzeża” z sierpnia 1987 r. Z informacji zawartych w tymże korzyścielem w niniejszej publikacji.

Jeszcze raz wracamy, tym razem w rozmowie, do głosów społecznego protestu. Jeśli obawy są prawdziwe, acz wynikające z niewiedzy, to ów cytowany wżej „Głos Zarnowca” miał pomóc je rozprószyć lub choćby stonować. Jeśli natomiast głosią protest ludzie, którym (z różnych powodów) wszystko, a raczej nie sie nie podoba — to „Kilim w oko”. Świat za szybko ucieka nam do przodu, by oglądać się na malkontentów i wybrzydzący, podsztych częściej lub choćby stonować. Jeśli natomiast głosią protest ludzie, którym (z różnych powodów) wszystko, a raczej nie sie nie podoba — to „Kilim w oko”. Świat za szybko ucieka nam do przodu, by oglądać się na malkontentów i wybrzydzący, podsztych częściej lub choćby stonować.

Nie mam złudzeń co do tego, że w czerpaniu korzyści nie będzie im przeszkadzał odmienny światopogląd. Przecież i teraz swoje elaboraty komponują nie przy młym światku świeconych uroczystości gromnica, a przy świetle plynącym z komunistycznych elektrowni. Niejeden z nich wyklinał pod tym samym adresem, pod który kieruje protesty przeciw budowie elektrowni jądrowej, gdy w niedługiej przeszłości wylazano na długie godziny dopływ prądu do mieszkań.

Dr Henryk Torbicki — główny inżynier do spraw ochrony środowiska EJ „2”, powiedział:

— Atmosfera wokół energetyki jądrowej dla osób znających te zagadnienia stanowi nieporozumienie naradok — w czasach walki o czyste środowisko dość powszechnie, niesłuszenie, bez prób zrozumienia zjawiska próbuje się odrzucić technologię, która właśnie stwarza szansę poprawienia zdrowotności.

Jedną, moim zdaniem, słuszną protesty plyną od ludzi zamieszkujących okolice Miedzyszy, gdzie składowane mają być odpady promieniotwórcze, bo nikt nie lubi u siebie cudzego śmiecia, a tym bardziej śmiecia o tak przerażająco działającym na wyobraźnię charakterze. Co prawda, specjaliści zapewniali, że...tda, ale wątpię, czy ktoś chciałby mieć coś takiego u siebie w ogrodzie.

Nie dziwi mnie pełne dramatycznej emocji słowa Władysława Biernata, farmaceuty, kierownika laboratorium centralnego w ZOZ Miedzyszy, uczestnika protestu przeciwko składowaniu w miedzyskich fortach odpadów z elektrowni „Zarnowiec”, w rozmowie z „Wprost”:

— Piszę w „Gazecie Lubuskiej” że jesteśmy elementami antysocjalistycznymi. Wierzę, że panu, że się z nimi zapadłam. Bo jeżeli, sojalizm to taki porządek, w którym zabrania się obywateli przedstawienia własnej racji, w którym szuka się pretekstów, aby go za nią ukarać, w którym skazuje się go na bezsilność — to my jesteśmy elementem antysocjalistycznym.

Nie wolno zabraniać przedstawiania racji, nie wolno za to karać, a tym bardziej obwiniać „elementem” za odmienne stanowisko w sporze. Te czasy już się chyba skończyły. Trzeba zważyć racje ogólne i szczegółowe, racje większe i mniejsze, nie lekceważąc żadnej ze stron. Trzeba minimalizować poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Postępujmy jednak z trzeźwością, nie da. Każdy przełom, każda rewolucja (techniczna też) pozostawia przegranych, niezadowolonych, pokrzywdzonych. Gdy wymyślono kolej żelazną splajtowały dyktando. Gutenberg odebrał pracę skrybom, maszyni wywrzucił na bruk tysiące ludzi. II etap reformy zdzielił (przynajmniej powinien) administrację. W ogólnym rozrachunku świat na tych zmianach korzystał.

Zawsze jednak, jak długa jest historia cywilizacji, ktoś komuś wyrzucił śmieci pod okno.

niego pokolenia, tak pokroił piętę kuchenną, że musiał ją odkupić. Zapłacił bez szemrania. Wziął blat pod pachę i zatrzymał go — widać — na pamięć.

Chcą stworzyć sobie namiastkę domu. Czują się swobodnie. Zaprowadzają nowy ład. Gdy nogi u ław za długie — skracają do potrzebnych rozmiarów. Białe ściany nie są dla niektórych najlepszym tłem do najbardziej kolorowych snów. Pokrywają je więc szkłami ołówkowymi swych cieni, freskami — drapanymi, zaklejają czym się da i wchodzą w konflikt z regulaminem wbiłając gwoździe na obrazy, reprodukcje, skóry, sznurkowe pajaki etc.

Nie ma prawdziwego domu bez zwierząt. Te dzielą się z grubsza na pożądane i niepożądane. Pierwsze nazywają się psy, drugi — koty. Czasem miłość do zwierząt bywa jeno deklaracyjna. Mruczek zginął w wymyślnych meczarniach, zrolowany w dywan. Innego właściciel wykastrował, bo był zbyt jurny. Największy piese-

wnętrz — wyklejono ściany tapetami. Z pośpiechu, bo 1980 rok był złym czasem dla inwestycji — tapety szły na ścianę, w których w niedługim czasie powstały zupełnie samorzutnie — mikroogrody zoologiczne. Z procesu estetyzacji należało się chylić i pośpiesznie wycofać.

Ten sam pośpiech pewno sprawił, że do zbudowania ścianek działowych użyto płyt spłisnionych grubych na palec. Gdy po północy dom powoli zasypia, słychać nawet głębsze westchnienia sąsiadów. Stąd zapewne biorą się fany o „zepsuciu moralnym”. Tylko głuchy nie usłyszy kto z kim i ile razy uprawia ars amandi.

Życie codzienne w tym akademiku udającym hotel toczy się jak w zwykłym domu i niewiele już zostało ze smaczków „cygańskiej” egzystencji. Opowiada Jacek Luczak, lodzianin, żona Wiesia, półtoraroczny Piotruś, 27-metrowe łocum to ich pierwszy dom:

— Małe dziecko oraz obecne warunki lokalowe utrudniają pracę nad opanowaniem roli, nad jej przemysleniem. Nie-

przykład o trzy kromki chleba na śniadanie...

Rafał Żabiński ze „Studyne-go '83”, gdańszczanin, II sezon w aktorskiej przechwałce. Nie ukrywa, że praca w teatrze jest tak absorbująca, że nie zna nawet ludzi z tego samego piętra, na którym mieszka. Dziwi się jak sobie dają radę w tych warunkach małżeństwa, obciążone dwójkiem dzieci, bo i takle można tutaj znaleźć.

Dobra opinia wystawia Domowi Aktora Ireneusz Pietras, zduńskowolaniec, solista z „Muzycznego”, od niedawna mąż Ewy, zatrudnionej w tymże teatrze. Ma dobre porównanie z tym, co działo się u zarania istnienia hotelu. Na ostatnim piętrze miał za sąsiadów regularnie trunkujących młodzieńców, którym wypowiedziano apartamenty na długo przed końcem sezonu. Kiedy „cyganeria” opuściła progi, sprzątaczkę przywaliła góra butelek, jaka wysypała się z szafy w przedpokoju.

Dzisiejsi lokatorzy to ustawkowane małżeństwa, a samotni prowadzą ustabilizowany tryb życia. Najmłodszy artysta zamieszkały przy ul. Gabriela

A tak jest pod ręką „chłopie do bicia”. Pod restauracją wieczorową porą kręci się sporo podejrzanym indywiduów. Do stałego repertuaru należą wrzaski, kłótnie, szarpnięcia, uprawianie numerów z Kamasutry na maskach samochodów i na tylnych siedzeniach.

Do niedawna „Orfeusz” był często uczęszczany przez mężczyzn o nietypowych zainteresowaniach. NN:

— Kiedyś homoseksualści stanowili większość przy stolikach. Od stycznia 1987 roku zmienili się atenci. Większość specyficznego towarzystwa nie pokazuje się tak licznie i ostentacyjnie, bo nowi agenci nie żyją sobie ich obecnością w lokalu. Ci mężczyźni nigdy nie byli i nie są agresywni. Nie zawierają znajomości w ten sposób jak to sobie wyobraża ogół społeczeństwa. Stanowią hermetyczną enklawę. Tylko wyjątkowo starają się o względy obcych. W teatrze nie sposób ukryć własne zainteresowania. Jeśli nie należy się do tego środowiska, w zasadzie nie jest się narażonym na zaczepki, a więc z czasem można się przyzwyczaić do tej inności, przestać zwracać na nią uwagę.

Tak jak w każdym innym środowisku zawodowym, także w Domu Aktora pewna grupa najbardziej przedsiębiorczych wybija się ponad poziom. Soliści, muzycy, aktorzy zawierają intratne kontrakty i opuszczają na jakiś czas kraj, aby wrócić i zacząć już we własnym mieszkaniu, dzięki zdobyciu cennych doświadczeń artystycznych — płacić się w górę. Mieszkańcy w przeważającej większości — w zakresie kondycji finansowej — znajdują się w ogonie średnio zamożnych pracowników kultury. Przekroczenie magicznej cyfry 20-tysięcznego wynagrodzenia do grudnia 1987 roku było szczytem marzeń. Do teatrów dotarły propozycje urealnienia plac artystów z wyrównaniem od początku sezonu.

Prawie wszyscy artyści młodego pokolenia z hotelu korzystają z pomocy rzeczowej i finansowej rodziny. Ci, którzy w „chudych” mieszkaniach są rzadko obsadzeni, szukają dodatkowych źródeł zarobkowania. Zajęcie takie nazywa się niezastrzeżeniem chałtury, bo w większości wypadków nią nie jest. Trudno sobie bowiem wyobrazić teatr posiadający 2 sceny i 50 aktorów, obsadzanych wyłącznie w rolach pierwszo- i drugoplanowych, a bileterki trzymające halabardy i robiące za tło. Teatr stanowi naturalną rezerwę aktorów dla potrzeb telewizji, radia, wytwórni filmowej oraz estrady.

W Łodzi są wspaniałe warunki do pozyskiwania najlepszych indywiduałów z branży, bo jest gdzie je oglądać. Epizod w filmie to jeden, kilka najwyżej dni zdjęciowych. Oplaca się je w zależności od stażu honorarium w wysokości 3-4 tysięcy złotych. Nagranie wiersza dla radia — mniej niż tysiąc za utwór.

Praca jest również w Studiu Opracowań Filmów. Płaca kilkaset złotych za pojawienie się w studiu oraz 70 złotych od wiersza tekstu. Rekordziści osiągnęli 25 tysięcy za parodiiową sesję w dubbingu. Przy nagrywaniu polskiej wersji językowej aktor mógłby się sporo nauczyć od najlepszych. Niestety, Łódź w ogóle nie otrzymuje adaptacji szekspirowskich, nagrań przez angielską sieć telewizyjną BBC. Do studia nie dociera również żaden zachodni film. Inna rzecz, że ten swolasty podział pracy między stolicą a Łodzią uzasadniony jest technicznym zużyciem aparatury nagraniowej.

Także Filharmonicy i artyści operetki mają możliwość jeździć na poranki do szkół niosąc kaganiec sztuki wysokiej próby za niewysoką opłatą, ale grosik do grosika, a zbierze się miarka.

Te 20-30 tysięcy dorobionych raz czy dwa razy w sezonie to w zasadzie wszystko, co wzięty artysta może osiągnąć wykorzystując umiejętności zawodowe. Nie jest to jednak kwota, którą można byłoby oddawać hołdy Bachusowi czy też przeprowadzać co tydzień inną doprowadzając, co sugerują nieoprawieni plotkarze. Goła prawda czasem rozczarowuje.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Foto: Grzegorz Galasiński

Akademik, który udaje hotel



czek wabi się Azeta. Ten brytan o tak wdzięcznym imieniu gotów rozszarpać nieproszonego gościa na części pierwsze. Waż jest tylko jeden i to w pokoju należącym do najbardziej zadbanych, więc regulamin nie ma się co.

Myszy hodowane są tylko po to, żeby zatruwać życie personelowi oraz straszyć panienki z baletu. Zarty się jednak kończą, gdy na scenę wychodzą prusaki. Stwierzenia te niszczą się przy pomocy broni chemicznej i konwencjonalnej, w którą Dom Aktora jest dostatecznie uzbrojony. Prusakom nie można wydać totalnej wojny chemicznej z uwagi na dużą liczbę dzieci, których pierwotnie w hotelu nie planowano. Małżeństwa z potomstwem teoretycznie nie powinny mieszkać w mieszkaniach służbowych w blokach, ale lokali nigdy nie wystraszczą.

Gadzinie niszczą się więc prusakolepem oraz przy użyciu insektów po aerolu, dzięki któremu zabija się je „ogniem na wprost”. Zdania na temat genetyzacji insektów w budynku są podzielone. Przechodzą zapewne z kuchni „Orfeusza”, gdzie mają ciepło i wilgotność. Według drugiej wersji, nie mniej wiarygodnej — są przenoszone w butach z teatrow, gdzie zadomowiły się przed laty.

Jacek Luczak z „Powszechnego” odegrał nawet scenkę rodzajową, opartą na autentycznym wydarzeniu. Podczas sprzątania lednego z numerów, dopiero co zwolnionego, pokojowa sięgnęła szmatą za framugę drzwi.

— „Panie — opowiadała — przejęciem — prusaki spadały jak deszcz”.

Daje to wyobrażenie o skali problemu. Gospodarz pokazuje corpus delicti — przeterminowany lep, który mimo wszystko zwabił dziesiątki przyjemniaczków. Niszczenie gniazd insektów, gipsowanie szpar oraz regularne polowania z nasionką należą do rutynowych czynności mieszkańców.

Ludziska plotą, że to na życzenie władz miejskich — dla podniesienia ogólnej estetyki

two jest pracować nad nią w kuchni lub łazience, a tylko tam mogą to spokojnie robić. Z tego mieszkania o tyle jesteśmy zadowoleni, że hotel zapewnił wszystko. Gdy coś nawali, wystarczy zatelefonować do konserwatora i jest załatwione od ręki. Mam wspaniałych sąsiadów. Drajw przestali dzielić. Nie wiem nic o pijanistwach czy o burdach. To spokojny dom.

Jolanta Nowińska, lodzianka. Pracuje w „Nowym”.

— Moi rodzice mają małe mieszkanie. Jeszcze na IV roku szkoły teatralnej, przeniosłam się do akademika. Nie można uczyć się roli w jednym pokoju z rodzicami, telewizorem i radiem. Po dyplomie gotowa byłam nawet opuścić Łódź, żeby tylko mieć ką do wyłącznej dyspozycji. Profesor Jadwiga Chojnacka z PWSFTiV i ówczesny dyrektor byłego Teatru Ziemi Łódzkiej Karol Obidniak nalegali, abym zagrała Hesię w „Moralności pani Dulskiej”. Postarali się o pokój dla mnie. Gdy zmieniłam teatr, było już bardzo ciężko o miejsce w Domu Aktora.

Przerwa między próbami a spektaklem trwa niecałe cztery godziny — mówi dalej — a czasem poświęcam ją jeszcze na dodatkową pracę z choreografem. Nie ma czasu zjeść obiadu. Zresztą kosztem jedzenia kupuję się najlepsze kosmetyki, bo w tej pracy są nieodzowne. Na premierę musi być ciekawy ciuch. Szyję sobie sama kreacje. Nie stać mnie na suknie od platyków, więc wybieram je często w „Juventusie” i warszawskim „Juniorze”.

Życie w tym domu rozkręca się dopiero po 22. Kiedyś ktoś zadzwonił do Jolanty Nowińskiej o 23. Nowy portier tłumaczył, że już na pewno śpi, a ona jeszcze nie wróciła z pracy. Dla ludzi z zewnątrz może wydać się dziwne, że ktoś wynosi śmieci o 2 w nocy albo że dziewczyna tańczy na korytarzach, bo doskonała swe umiejętności zawodowe. O 2 albo 3 dom zasypia, bo przedtem trzeba jeszcze coś przeczytać. Życie tu akademikowe — rano wpada sąsiad i prosi na

Narutowicza to Krzysztof Ciesielski z Turku, od trzech sezonów adept w „Pinokiu”. Nie ma nikogo z krewnych w Łodzi. Zajmuje lokal wielkości dziupli w oficynie. Jeśli wyjątkowo ma wolny od gry weekend to spędza go u rodziców w swoich stronach. Człowiek mimo najlepszych chęci nie może czuć się najlepiej w mieszkaniu, w którym można zrobić krok do przodu, krok w bok. Ale Krzysztof Ciesielski ani myśli robić komukolwiek wyrzuty z tego powodu. Ot, gdyby nie dancingi w „Orfeuszu” miałby w dziupli idealne warunki do pracy i wypoczynku.

Owe pienia dochodzące z hotelu artystów, nękające okolicznych mieszkańców, sporadycznie pochodzą z ust profesjonalnych śpiewaków. Wszak soliści rzadko ćwiczą śpiew w domu. Ot, czasem w ciepły, letni dzień wychodzą na balkon i pośpiewają dla znajomych albo uzupełniają wyjątkowo w pokoju przed premierą. Administratorki starają się więc rozmieszczać lokatorów „segmentami”: skrzypek obok skrzypka, aktor dramatyczny obok kolegi z zbliżonym powołaniem, małżeństwo przy małżeństwie. Idealnie byłoby porządkować lokatorów według temperamentu i zainteresowań pozawodowych. System szufladkowy sprawdził się — ludzie lepiej się rozumieją niż wtedy, gdy o rozlokowaniu decydował przypadek. A swoją drogą żał, że harmonia stosunków między ludźmi — w tym wypadku niezupełnie jest następstwem tolerancji i łagodnego usposobienia.

Śpiewy nieprofesjonalne mają największe natężenie z soboty na niedzielę, gdy w „Orfeuszu” odbywają się przyjęcia weselne. Ten elegancki lokal nie zarobiłby na siebie, jeśli stołowałby się w nim i trunkowali jedynie ludzie z góry. Gdyby „Orfeusz” znajdował się przy ul. Gdańskiej czy na rogu Piotrkowskiej i al. Adama Mickiewicza, wędrowni między secesyjne kamienice, nikt nie śmiałyby insynuować, że to artystyczna bródka rozrabia.

Komu i za co przyznałby pan (pani) nagrodę „Odgłosów”, gdyby to od pana (pani) zależało?

RAJMUND AMBROZIAK dyrektor Teatru Muzycznego: Jako rdzenny łodzianin bardzo cenię sobie ludzi, którzy rozstawiają za granicą nasze miasto. Dzięki **RYSZARDOWI STANISŁAWSKIEMU**, dyrektorowi Muzeum Sztuki wiele osób na świecie uprzytomniło sobie, że istnieje takie miasto jak Łódź. Kto wie zresztą, czy nie jest on bardziej doceniany poza granicami Polski niż w kraju?

Podziwiam jego aktywność zawodową. Nie tylko od wielu lat prowadzi muzeum i ciągle zabiega o wzbogacenie zbiorów sztuki nowoczesnej, ale zorganizował niezliczoną ilość wystaw, niektóre oglądał też widzowie i w innych krajach. Jest również aktywny społecznie, a poza tym, co jest niezwykle istotne, dba o popularyzację sztuki wśród dzieci i młodzieży.

Mam głębokie przekonanie, że w pełni zasłużył na tę nagrodę.

WOJCIECH EKIERT dyrektor Muzeum Historii Miasta Łodzi: Dwa lata temu, w 1986 roku na dwudziestolecie dyrektorstwa **RYSZARDA STANISŁAWSKIEGO** w Muzeum Sztuki kilkudziesięciu artystów z wielu krajów i z Polski przekazało dla muzeum na jego ręce swoje prace. Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że fakt ten ma trwałe znaczenie historyczne, muzeum wzbogaciło się bowiem o ciekawą i wysoce wartościową kolekcję (Sądzę, że można nazwać ją kolekcją Stanisławską), choć tak stało, że uszedł on szerszej uwadze zarówno w kraju jak i w Łodzi.

Nie znam przypadku aby w ostatnim czasie czyjaś praca i wysiłki byłyby uhonorowane. Wyrażone zostało uznanie dla pasji i wyjątkowej osobowości dyrektora Stanisławskiego.

Pod jego kierunkiem powstają w muzeum wystawy, z których każda jest swojego rodzaju wydarzeniem. Z tych które ostatnio oglądał w Łodzi najbardziej utkwiły mi w pamięci wystawy: „Adlera”, „Witkacego”, „Decorum fabrykanta łódzkiego” — przygotowane w 1986 roku oraz w następnym, 1987 roku: „Wiesława 1934 r. w fotografii Louise Arner Boyd” czy „Boyle family — świat malarski rodziny Boyle”, na którą składały się rysunki, reliefy i dokumentacje fotograficzne Marka Boyle.

Szczególnie chciałbym podkreślić, że wiele wystaw powstaje we współpracy z zagranicą, często dzięki kontaktom osobistym i autorytetowi Ryszarda Stanisławskiego.

Poza tym każdej z wystaw towarzyszy katalog, zawsze na bardzo wysokim poziomie edytorskim i merytorycznym.

Od wielu lat placówka kierowana przez dyrektora Stanisławskiego w przemyślny sposób popularyzuje historię sztuki, czy to goszcząc młodzież u siebie, czy nawet docierając do młodych ludzi poza Łodzią.

W moim przekonaniu nagroda ta powinna przypaść komuś, kto swoją działalnością znacznie wykracza poza ramy Łodzi i kraju. Taką postacią jest właśnie Ryszard Stanisławski.

ROMAN JACHMAN kierownik Wydziału Kultury ZSMP:

Gdyby zależało to ode mnie przyznałbym tę nagrodę dyrektorowi Łódzkiego Domu Kultury **JANOWI JAKUBISZYNOWI**.

W działaniu placówki, którą kieruje niezwykle ważne wydaje mi się, że ma propozycje dla wszystkich, naprawdę wszystkich, począwszy od uczniów szkół, a na... no, trudno powiedzieć na kim, bo ta górna granica jest nieokreślona, do ŁDK przychodzą nawet ludzie po osiemdziesiątce. Krótko mówiąc każdy znajdzie coś dla siebie.

Wiele imprez — spotkania Dyskusyjnego Klubu Filmowego, Koła Młodych Dalekiego Wschodu, Kongres Luzji, Dni Kultury Japonii, imprezy organizowane we współpracy z Alliance Française zyskały już dobrą renomę w Łodzi.

Dobrze jednak, że ŁDK nie poprzestaje na tym, nie popada w rutynę, nie ciągle urozmaica i wzbogaca ofertę, szuka i znajduje zresztą nowe formy działalności, na przykład organizowany w tym roku Festiwal Piosenki Latinoamerykańskiej. ŁDK jest twórczy i żywy.

Myszę, że za mało zwraca się uwagę na ludzi, którzy profesjonalnie zajmują się upowszechnianiem kultury. Sądzę więc, że nagroda dla Jana Jakubiszyna będzie uhonorowaniem w nim tych wszystkich, którzy zawodowo oddają się tej sprawie.

Profesor ALEKSANDER KOWALCZYK rektor Łódzkiej Akademii Muzycznej:

Chciałbym zaproponować **BARBARĘ GÓRZYŃSKĄ**, którą uważam za największą chlubę naszej Akademii. Jest chyba najbardziej znana w Polsce i w świecie niż w Łodzi. Jako jedyna polska skrzypaczka może pochwalić się aż trzema nagrodami międzynarodowymi.

Jest laureatką międzynarodowego konkursu skrzypcowego w Poznaniu (1972 rok) — zdobyła III nagrodę, w Zagrzebiu (1977 rok) — I nagrodę i Londynie (1980 rok) — również I nagrodę.

Ten ostatni sukces przyniósł zaproszenia na wspólne koncerty z czołowymi orkiestrami brytyjskimi — London Philharmonic Orchestra. Koncertowała we wszystkich krajach Europy, a także w Ameryce Południowej. Sporo też nagrywała dla Polskiego Radia i BBC oraz różnych wytwórni płytowych. W zeszłym roku wzięła udział w brytyjskim tournée Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Kazimierza Korda.

Propaguje kulturę na najwyższym poziomie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI przewodniczący Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich: Jako literat i ten, którego koledy obdarzyli tak zaszczytną i odpowiedzialną funkcją prezesa chciałbym, aby wyróżniony został przedstawiciel naszego środowiska. Z drugiej strony marzy mi się, by była to kobieta, aby w jej osobie uhonorować zapracowaną i tak poświęcającą się dla ognisk domowych panię.

Dlatego proponuję **WANDE KARCZEWSKĄ** — znakomitą powieściopisarkę, poetkę i krytyka teatralnego. Laureatkę Nagrody Miasta Łodzi z 1978 roku. Z Łodzią związana jest już bardzo długo, ponad 30 lat.

Mimo wieku, pisarka kończy w tym roku 75 lat, i niezbyt dobrego zdrowia uczestniczy chętnie w życiu literackim miasta, jest zaangażowana w sprawy kultury i zawsze gotowa je wspierać.

W ubiegłym roku wznowione zostały niektóre utwory Wandy Karczewskiej, wśród nich świetna powieść „Fuga z tematem miłosnym”, a w prasie nadal ukazują się jej wiersze, jak zawsze doskonałe.

Figle komputerów

Na czym to polega, jaki jest na to sposób, żeby utwór (literacki, teatralny, filmowy) przeznaczone dla młodego widza mógł być odbierany z zainteresowaniem przez dorosłego wyrobionego artystycznie widza.

Chyba mamy akurat takie przedstawienie u „Jaracza”, które, moim zdaniem, może sprawić wiele zadowolenia zarówno widzowi młodzieżowemu (poczynając od dzieci starszych) jak i ludziom dorosłym, co zresztą dało się zaobserwować. A więc — w czym rzecz?

Co niesie z sobą fabuła? W jej zamyśle nie odnajdujemy rysów jakiegokolwiek cudowności, lecz raczej „z życia wzięty” wątek rywalizacji przedwyborczej dwóch stronnictw, które czynią zgiełkliwą reklamę swoim kandydatom na prezydenta, w stylu wielkiego politycznego „show”, co mogłoby z powodzeniem stanowić ośnowę komedii satyrycznej dla dorosłych. Wkrótce jednak jako motyw główny ujawnia się walka obu stronnictw o zawładnięcie komputerowym sztyrem, w co wpleciona jest nieco operet-

kowa intryga miłosna, oparta na skrywanej do czasu miłości syna i córki obu zwalczających się przywódców, z tym, iż chwilowy zwycięzca zabrania kobiecie pracować (może ceni sobie domowe obiady).

Jak z tego widać, akcja nie grzeszy szczególną dbałością o motywację działań bohaterów ani logiczną wykładnię podobnie zresztą, jak to czynili międzywojenne powieści science fiction (Erenburg, Winawer, Słonimski), które jednak doprowadzały do absurdu aktualne tendencje polityczne, skutecznie je przez to demaskując. Tu oczywiście, nic z tych rzeczy, jako iż chodzi najwyraźniej o zabawę.

Do zalet przedstawienia zaliczyłbym żywy, miejscami dowcipny dialog, sprawną przebieg i dobry rytm akcji, urozmaiconą fajerkami efektownych pomysłów, a przede wszystkim wyrównane, doskonałe aktorstwo większości wykonawców. W przedstawieniu bierze udział bez mała cały zespół, łącznie z tuzami i niektórymi przypadłymi rolę raczej epizodyczną, nie dając pola do popisu (np. EWIE MIROWSKIEJ).

Obaj protagoniści obsadzeni

zostali trafnie, na zasadzie kontrastu postaci, choć nie wiedzieć czemu ich role, tj. ANDRZEJA KIERA (prezydent Lux) i BOGUMILA ANTCHAKA — Profesor Novo zawierają tak mały ładunek humoru. Wdzięczną parę zakochanych stworzyli MARIA BAREŁKOWSKA i obdarzony darem nawiązywania kontaktu z małą widownią ADAM MARIANSKI. Największe sukcesy przypadły aktorom kreującym charakterystyczne-komiczne postacie o zacięciu farsowym, jak BOGUSŁAWOWI SOCH-NACKIEMU w roli Dyrektora Banku, MARKOWI KOLACZ-KOWSKIEMU, nieodparcie komicznemu jako niedoszły dyrektor cyrku, pełniący funkcję Dyrektora Opery, jak BOGUSŁAWOWI SEMOTIUKOWI — Minister Straży i t.

Wśród ról kobiecych wybijają się, podbudowana zjadliwą obserwacją rolą operowej divy, Signory Sopranotti w wykonaniu ZOFII TOMASZEWSKIEJ (nie wiem kto użył tej roli tak znakomicie brzmiącego głosu). Niezbyt natomiast przekonana mnie koncepcja postaci Profesora Ono, która uniemożliwia ujawnienie się całego talentu komicznego EWY WORTKIEWICZ. Również nie najszczęśliwiej, bo zbyt solennie potraktował rolę byłego Piłota LEON CHAREWICZ. Dobyw podpatrzoną postacią wydał mi się jako sprawozdawca telewizyjny Nos JAN HENCZ, podobnie jak dwójka sprawozdawców GRAŻYNA WALASEK i GRZEGORZ HEROMIŃSKI. Wymienić by jeszcze należało w starannie przygotowanych rolach ministerialnej świty — WŁODZIMIERZA KWASKOWSKIE-

GO, WŁADYSŁAWA DEWOYNO, STANISŁAWA JAROSZYŃSKIEGO, BOHDANA WRÓBLEWSKIEGO, ZBIGNIEWA BIELSKIEGO i ANDRZEJA HERDERA a ponadto jako Szeffową Teczoła BARBARĘ MARSZALEK. Arcyzabawna była też parodia Zespołu Punkowego „Spróchniały Zab”.

Z pewnością niemało zawdzięcza przedstawienie pełnej świeżych pomysłów muzyce Krzesimira Dębskiego (słyszeliśmy niedawno jego muzykę do „Party Conrada Drzewieckiego”). Mówiąc między nami, dorosłymi, chyba więcej uciechy z niejednej sceny mieli dorośli niż młodzież. Okazało się też, że kom-

puter jest dobry na wszystko, nawet na musical. JERZY KWIECIŃSKI Jacek Cygan „Bunt komputerów”. Muzyka — Krzesimir Dębski, reżyseria i choreografia — Wojciech Kepeczyński, scenografia — Katarzyna Przyjemka, kierownictwo muzyczne — Piotr Hertel



Andrzej Kiera jako prezydent Lux

CZESŁAW MIROSLAW SZCZEPANIAK



JESIENIA nie tylko jabłka w Kopanie się rumienia — gruski eleganci połamane wiatrem wyłazane stoją gotowe do wzięcia w objęcia plotu zarasta między po kolana orzech jest łatwy do zgryzienia sliwy wyglądają śmiesznie na deszczu we dnie i w nocy pękają owoce babie lato obsiada ploty jeż-złodziejasek taszczy jabłko w którym robak drzemie jesień pisze na liściach podkurczonych tren wiatr hula w sadzie i mówi przez dziurkę od klucza: wiej!

16—17.IX.1986 r.

Dokumentacja oszustwa

wane w rytmie bardzo starego przeboju nadziei: „Będę kimś za rok za dzień, za chwilę...”. Młody adept pióra niezwykle głęboko przeżywa — symbolicznie zresztą potraktowaną — inercję wydawniczą oraz wydłużający się okres oczekiwania na wydrukowanie książki, sięgający wielu, wielu lat. I niemal niepostrzeżenie „Oszustwo” staje się prozą automatyczną, powieścią o pisaniu powieści, a „spod skóry” szyfru wyłaziła mała iśkierka naszego języka... języka codziennego, domowego, literatury”. Język urasta do rangi najważniejszego tworzywa książki Marka Bukowskiego: zmieniające się sposoby narracji, eksperymenty z zapisem dialogu, fragmenty recenzji, urywki pamiętnika, strzępy przemówień etc. — wszystko to sprawia, że prozę tę odbieramy jako zjawisko żywe, które poprzez swe proteuszowe właściwości uchodzić może za wyjątkowo utraconą ilustrację sдобny rewolucji artystycznej (w prozie polskiej).

Książkę Marka Bukowskiego odebrałem też można jako satyrę na polityczną inercję Polaków: „Mówiono dużo, czasem krzyżowano, głosowano... Nie spowodowaliśmy niczego, małe osypisko, a marazm o lawinie”. Bohaterowie „Oszustwa”

tuacji, gdy wszyscy wzajemnie oszukują, tracą każdy z osobna i wszyscy razem. To już niemal moralizatorstwo. Wahałbym się jednak przed nazwaniem książki Marka Bukowskiego moralizatem współczesnym. Dydaktyzm tu bowiem i za groź nie ma, a i drogę prowadzącą do enoty nie znajdujemy (z wyjątkiem enoty pisanie — którą jednak śmiało uprawia literaturę nazywając enotą przy dzisiejszym cyklu wydawniczym?). Konstatacja zaś niemożności literatury, stwierdzenie — śladem tyłu już pokoleń — przez autora młodszego, wstępującego dopiero w literackie szranki, nie powinna dziwić ani zaskakiwać w momencie, kiedy polska literatura współczesna zdaje się w coraz większym mierze pograżać w społecznej i językowej magmie.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Mark Bukowski: Oszustwo. Iskry, Warszawa 1987, str. 344, nakład 4750 + 250 egz., cena zł 139.

Fraszki

TADEUSZ GIGIER

USYTUOWANIE

Człowiek przepada, zyje gromada. Człek się ostanie, kiedy jest w klanie.

PSIA FILOZOFIA

Wola, że mi zazdroszą, niż żalują ludzi, bo mam kość i spokojnie siedzę sobie w budzie.

„OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”



AUSTRALOPITEK



PITEKANTROP



POLHAMTROP

Rys. SŁAWOMIR ŁUCZYŃSKI

KODOWÓD

Zemsta jest rozkoszą bogów zrodzoną z ludzkich nalogów.

NA ZŁODZIEJU

Na złodzieju czapka gora, chyba, że ją zdejmie w porę.

WARIANTE

Kiedy w bruchku pusto, w głowie grzech z kapusta, a gdy w bruchku jado, to w głowie jest sadło.

GRZESZNICY

Gdzie wielu grzeszy, nikogo nie karzą i czasem nawet urzędem obdarzą.

METODA

Uklon niski fałszu bliżsi, lecz jest wiótyś co do miski.

SUKCES ŁODZIAN

W Warszawie w nowo otwartej, pięknej sali kinowej Muzeum Narodowego, odbyła się uroczystość wręczenia nagród laureatom I Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów o Miejscach Pamięci Narodowej. Jedną z czterech głównych nagród zdobył Henryk Czarnecki za film „Lekcja pierwsza”. Nagrodę specjalną otrzymał Edward Palczyński za film „Pieśń niepodległa”. Oba nagrodzone filmy powstały w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, która otrzymała także nagrodę — za zestaw filmów zaprezentowanych na przeglądzie.

KONCERT POTWIERDZIŁ

Zwycięczynią Międzynarodowego Konkursu Śpiewaczego „Belvedere” w roku 1986 była Polka — Jolanta Wrożyńska. Jej koncert, jaki się odbył w Wiedniu w rok po sukcesie przyjęty został przez austriacką publiczność niezwykle gorąco i bez przesady można mówić o kolejnym sukcesie tej znakomitej śpiewaczki. Potwierdził to współorganizator koncertu —

przedstawiciele znanej fabryki fortepianów Bosendorfer.

MUZEUM CONRADA

NIESMAK MICHAŁKOWA

„Fokutę” cenię z dwóch powodów: zarówno jako znakomity film, jak i dlatego, że została zrealizowana przed 4 laty, kiedy nie podlegała żadnym koniunkturalnym. Dziś, z niesmakiem obserwujemy niektórych moich kolegów, w których filmach to, o czym kiedyś nie można było mówić, teraz niczym woda, kaława ekranu. Powinnością każdego twórcy, jest moim zdaniem, odwoływanie się do wartości uniwersalnych, ponadczasowych, czerpanie z rodzimych korzeni, z tego, co rdzenne, ojczyście. Dlatego „Oczu czarnych”, choć zrealizowane za pieniądze włoskich producentów, nie uważam za film włoski. Jest to moje, zrodzone z tych właśnie inspiracji, z mojej ziemi, dzieło.

Z wypowiedzi Nikity Michalkowa, jednego z najwybitniejszych indywidualności radzieckiego kina, który przebywał w Polsce wraz z Marcello Mastroiannim.

W Kołchozie im. Kotowskiego we wsi Terechowa pod Berdyczowem odbyła się niedawno niezwykle uroczystość — otwarcie muzeum i odsłonięcie tablicy pamiątkowej upamiętniającej 130 rocznicę urodzin... Josepha Conrada. Właśnie we wsi Terechowa pod Berdyczowem w rodzinie kresowego szlachcica, urodził się przed 130 laty Teodor Józef Konrad Korzeniowski, który później, pod nazwiskiem Josepha Conrada, zdobył światową sławę jako pisarz, autor znakomych dzieł, a wśród nich słynnego „Lorda Jima”.

Na całym świecie Joseph Conrad ma wielu wielbicieli. W USA wychodzi kwartalnik „Conradiana”, który dostarcza systematycznych informacji o pisarzu i współczesnej recepcji jego dzieł. Conradowskie kluby działają w Anglii, we Włoszech, Francji, a od niedawna w Szwecji. Wydają własne biuletyny i rozwijają niezwykle prężną działalność. W Polsce, z okazji 50-lecia śmierci pisarza, przypadaającej w 1974 roku, powstał także Polski Klub Conradowski.

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Wernisaż odbył się bez reklam, fleszów, ba, nawet bez udziału, jak nakazują dobre obyczaje, gospodarza, który by powitał gości, zaprezentował autorów wystawionych prac. Zmuszona więc była uczynić to sama. I uczyniła, pogodzona z nietaktami i ze sfrustrowanym światem, świadoma widać tego, że to, co ma do powiedzenia, co jest jej we-

kolorze, nastroju, jak ten w którym żyjemy. Ewelina Agaciak, absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, od ponad dwudziestu lat zajmuje się malarstwem i projektowaniem wzorów na tkaninach. W swoim dorobku posiada liczne nagrody, wyróżnienia i ponad dwadzieścia wystaw — od tkaniny unikatowej, poprzez projekty ubiorów, biżuterii do naj-

deusza Kantor: „Awangarda w świecie stała się pospolitym rumieniem miłośników, którzy robią karierę na pewnych manipulacjach rynkowych, skrzętnie ukrywając za parawanem fałszywego scjentyzmu (...). Ja postuluje przede wszystkim element wrzucenia jako jedynego warunku istnienia sztuki i jego odbiorcy”. I odpowiada od siebie: „Gra ze sztuką” jest intrygująca, daje szansę ekspono-

wet interesujące — w formie wyrazu, sposobie ujmowania tematów, kompozycji, kolorystyce, a nawet — jak w jednym przypadku — odważnej i wyrazistej kreście. Lecz wszystkie były w jakiś sposób wtopione, domalowane do modnej szkoły, kierunku, powielone, nieomal bez wyrazistego indywidualizmu; zawierały jakby ten sam modniarski i bez wyrazu charakter; przypominały zapożyczone z komputera układanki rozczeczkiwanej rzeczywistości. Intrygowaly, lecz nie poruszały. Były zimne. W wyrazie. Nawet w ciepłej kolorystyce.

Dopiero w skromnej wystawie Eweliny Agaciak — choć zła wyeksponowanej, w nieodpowiednim pomieszczeniu i złym świetle, które nie stwarza warunków do właściwej ekspozycji, nadania obrazom wyrazistości, możliwości wyakcentowania znaczeń poszczególnym płótnom, słowem — w tej wystawie można było odnaleźć pewne wartości poruszające wyobraźnię, wartości humanistyczne, terapeutyczne niejako. Nie w soczystości barw, lecz w ich subtelnej gamie, delikatnym światłocieniu, bez ostrych kontrastów walorowych czy kolorystycznych, lecz jakby w chorowitych przymgleniach. Jest w tym malarstwie coś z melancholijnego oczarowania. A może z nostalgicznego nastroju, zadumy nad przedstawionym światem, nieuchwytnie atroficznym?

W dzisiejszym skomercjalizowanym świecie, niszczącym siebie i otoczenie, trzeba mieć odwagę, dużo odwagi, aby powiedzieć ludziom: Oto nasze dzieło!

MARIAN ZDROJEWSKI

Ewelina Agaciak: Wystawa malarstwa — Klub Dziennikarza w Łodzi, 1987 r.

Janina Jabłonska



W Teatrze Polskim w Poznaniu. Role, które zagrała wkrótce na scenach Warszawy, Poznania i Krakowa, przyniosły jej pismo sukcesów przerwane nagle wybuchem wojny. Po przerwie wojenno-okupacyjnej wznowiła pracę, początkowo w Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach, później na scenach poznańskich. Od roku 1955 związała się z Teatrem Nowym w Łodzi, gdzie występowała aż do przejścia na emeryturę.

Jej długoletnia praca obfitowała w role wybitne i znaczące w dziejach powojennego teatru. Łódzka publiczność pamięta ją bez wątpienia jako Klarę Zachanassian z „Wizyty starszej pani” Wierzyńskiego, Bonę w „Barbarze Radziwiłłównie” Felińskiego, Liżawitę w „Zamieci” Leonowa, Matkę w „Kartecie” Rózewicza, Margaret w „Pelikanie” Strindberga, Generalową w „Idiocie” Dostojewskiego, Wojniczkę w „Wujaszku Wani” Czechowa, czy wreszcie Panią Jowialską w „Panu Jowialskim” Fredry. Posiadała bogatą osobowość twórczą i rzadką umiejętność nawiązywania bliskiego kontaktu z widownią. Grała kobiety silne, zdecydowane, tarciące się z rzeczywistością, a przecież każdej z granych przez siebie postaci nadawała wiele głębokiego wyrazu i ciepła, okazywał jej sam Żelwerowicz, które towarzyszyły jej zawsze, zarówno w pracy, jak i w życiu codziennym. Odegrała wielką rolę, jedną z najważniejszych, w historii Teatru Nowego.

Dnia 30 grudnia 1987 roku zmarła JANINA JABŁONSKA, wieloletnia aktorka Teatru Nowego. Urodziła się w 1903 roku w Płocku. Osierocona w dzieciństwie, musiała zarabiać na własne utrzymanie. Po ukończeniu szkoły w rodzinnym mieście, wyjechała do Warszawy i tam, pracując i ucząc się w Państwowej Szkole Dramatycznej pod dyktando Żelwerowicza, ukończyła pomyślnie studia aktorskie. Wielką pomoc moralną i materialną w czasie nauki, okazywał jej sam Żelwerowicz, który przekonał, że odkrywa nowy talent artystyczny. Nie omylił się. Janina Jabłonska zadebiutowała jako Szymena w „Cydlu” Cornelli

Świat nostalgicznej zadumy

wewnętrzny poruszenie opowie-
dzianym na płótnach jest naj-
ważniejsze, bo wyraża naszą
rzeczywistość, a więc i najtrud-
niej przedzierną się do świadom-
ości współczesnych.

Na taką postawę może zdobyć
się doświadczony, świadomy wy-
boru artysta, który swoim ma-
larstwem nie chce niczego roz-
strzygać, raczej skłonić do re-
fleksji proponując chwilę zadu-
my nad wizerunkiem otaczające-
go nas świata, niespokojnego w

części i najliczniej prezento-
wanego malarstwa. Uprawia ta-
kie malarstwo, które skorzy do
szufladkowania interpretatorzy
zaliczyliby natychmiast do skano-
nizowanego stylu. Byłoby to
jednak zwyczajny banal.

Forma wyrazu i to, co przy-
jęj pomocy przedstawia, czym
pragnie poruszyć, to dla Eweliny
Agaciak coś więcej — to, jak po-
wiedzieliśmy, wybór, postawa,
którą wyraziła w katalogu od-
wołując się do wypowiedzi Ta-

wania wartości intelektualnych,
reżyserowania indywidualności,
ale z trudem bezpośrodkowo-
ści, szczerości, intuicji i pasji twór-
czą. Może zgubić sedno sprawy:
zauroczenie artysty i odbiorcy
naturą, człowiekiem, wszech-
światem (...). W świecie, w któ-
rym najgłębsze odkrycia
przyniosły w ślad za sobą za-
straszającą lawinę trujących
substancji, zbędnych słów, mor-
derych dźwięków, maszyn do
mieszkania zamiast domów, nie-
pożrebnych form i wrzaskli-
wych kolorów, istnieje jednak
zapotrzebowanie na sztukę, ale
sztukę, która obok elementów
estetycznych, emocjonalnych czy
intelektualnych niesie również
wartości uzdrawiające, daje we-
wnętrzny spokój i umiejętność
koncentrowania się na sprawach
ważnych...

Francis Haskell, wybitny
współczesny historyk sztuki,
profesor uniwersytetu oksfordz-
kiego powiedział kiedyś: „Dziś
sztuka staje się czymś w rodzaju
lekarstwa, które należy po-
konać ze względu na jego do-
broczynne działanie”. Choć nie
dopuszczam, aby z tego stwierd-
zenia artysta czerpała inspi-
rację dla swojej twórczości, w
nim upatruję sedno.

Wystawy, jakie w ostatnim
czasie mogliśmy obejrzeć w róż-
nych miejscach wystawienni-
czych miasta były, owszem, na-



Pod koniec listopada 1987 ro-
ku odbyła się premiera przed-
stawienia dyplomowego IV roku
Wydziału Aktorskiego w reży-
serii Macieja Prusa. Postanowi-
łam zobaczyć jak traktują
teatr tegoroczni absolwenci
PWSFTiVt. Próba realizacji
„Szkariatnej Wyspy” Michała
Bulhakowa wydała mi się nader
interesująca, choć niewątpliwie
niezwykle trudna. Tekst daje
bowiem tak wiele możliwości
odczytania, że można albo spły-
ścić treści, które ze sobą niesie,
albo, chcąc przedstawić wszyst-
ko, potknąć się i zrobić belkot.
spowodowany przeładowaniem
idei. Byłam usposobiona niezwy-
kle krytycznie. Niestety to nie
ja ich zaskoczyłam, ale oni
mnie.

Niezwykle ciekawie powiedzie-
li więcej niż mogłabym się tego
spodziewać. Refleksjom na temat
stosunku teatru do ideologii spo-
łecznych, towarzyszyły impli-
cite sądy o wartościach w sztuce.
Dalsze tropy istotnie dopełniały
te idee. Jaka jest sytuacja pisarza
wobec zaangażowania politycz-

nego, jako obowiązującego kry-
terium wartości dzieła? Jak
tworzyć, jeśli reguły narzuca-
ne z zewnątrz, częstokroć są nie-
zgodne z tym, co pisarz pragnie
powiedzieć? Czy wycofać się,
czy poddać temu, czego żądają?
Przypominają się tragiczne losy
Bulhakowa, Majakowskiego, Je-
sienina.

Debiut i...

Wasył Arturowicz Dymogacki,
postać ciekawie przedstawiona
przez Piotra Seweryńskiego, jest
pisarzem, który zgadza się ze
zmianami w swej sztuce, zapro-
ponowanymi przez Sawwę Lu-
kiczą, zgodnie z założeniami
sztuki zaangażowanej. Bardzo
wyrazistą postać „cenzora” Saw-
wy Lukiczą stworzył Robert
Luchniak.

Maciej Prus trafnie uwzględnił

dyspozycje aktorów. Dariusz
Wiktorowicz, wykorzystując
swoje możliwości, głównie gło-
sowe, barwnie interpretuje postać
Jacquesa Paganella. Bardzo am-
bitne zadanie miał Jarosław
Gruda jako Gennady Panfilo-
wicz. Wywiązał się doskonale.
Wyraziście, nieschematycznym
gestem nakreślił indywidualność

odgrywanych postaci. Znalazł
również interesującą chwilę, by
podkreślić konwencję teatru w
testach. Było to niezwykle trud-
ne aktorskie zadanie. Jednak,
dzięki bardzo sprawnym grze,
cały zespół wywiązał się z nie-
go znakomicie, a jeszcze jedna
warstwa interpretacyjna skłoniła
do ukazania niezwykle bogatego
zasobu środków sceniczych.
Chciałabym zwrócić uwagę na

Marka Kasprzyka, który już w
pierwszych minutach przedsta-
wienia dowodził jak wiele może
powiedzieć aktor mimiką i ge-
stem, nie nadużywając ich by-
najmniej.

Scenografia Grzegorza Małec-
kiego była barwna, ekspresyjna
i praktyczna. Współtworzyła at-
mosferę spektaklu.
Sukces był złożony. Znaczącą
rolę odegrał tekst dramatyczny.
Istotna była jednak jego dosko-
nała interpretacja. Ukazując
spójnie różnorodne warstwy
dzieła, absolwenci dowiedli, iż
dobrze opanowali zasady aktor-
skiego rzemiosła. Ich zapał i za-
angażowanie udzieliły się widzo-
wi. Oby powodem nie było
przedstawienie dyplomowe, które
traktują jak premierę.

JOLANTA POL

KŁOPOTY, JAK WSZĘDZIE

Kłopoty finansowe doskwiera-
ją wszystkim teatrom na świe-
cie. Podobne problemy przeżywa
10 teatrów w Berlinie Zachod-
nim. Na rok bieżący zostały one
zażegnane dotacjami w wysokości
10,6 mln marek, lecz co będzie
dalej? Będą musiały sobie ra-
dzieć same albo zostaną zamknię-
te, bowiem plan finansowy na
następne lata nie przewiduje już
żadnych dotacji. Wśród zagro-
żonych upadłością teatrów znajdu-
je się m. in. Freie Volksbuehne
i Berliner Kammerspiele.

JEDNI NAGRADZAJĄ, INNI KRYTYKUJĄ

Najpierw była nagroda FIP-
RESCI w Cannes, teraz „Złota
Muszla” na Festiwalu w San
Sebastian. „Wesele w Galilei”
— obraz palestyńskiego reżyse-
ra Michela Kleffi zrealizowany
we francuskiej wytwórni, to su-
rowa, pełna gorzkiej opowieści
o zabiegach sołtysa arabskiej
wsi przygotowującego wesele
syna. Po długich, nie pozba-
wionych humorystycznych ak-
centów zabiegach, lokalne wła-

dze godzą się na zawieszenie
godziny policyjnej i na czas
uczty uchylają zakaz gromadze-
nia się. Pod jednym wszakże
warunkiem: sołtys zaprosi na
wesele dowódcę i żołnierzy
miejscowego garnizonu, a to
rodzi podziały i konflikty wśród
upokorzonych mieszkańców wsi.
Film Kleffiego zdobywa na-
grody, lecz arabscy krytycy za-
rzucają reżyserowi niedostatecz-
nie ostrą ocenę izraelskich prze-
pisów wymierzonych przeciw
rdzennej ludności i zbyt suro-
we spojrzenie na rodaków.

JAK „PRAWIE STRACIŁA ZMYŚŁ...”

78-letnia aktorka, Katherine
Hepburn jest autorką wspom-
nień z powstania jednego z naj-
głośniejszych filmów Johna
Hustona — „Afrykańska kró-
lowa”, pozycji traktowanej za
ważny przyczynek do dziejów
filmu amerykańskiego. Bogato
ilustrowane wspomnienia na-
tychmiast znalazły się na liście
bestsellerów „New York Time-
sa”. Nakręcanie „Afrykańskiej
królowej” albo jak pojechalam
do Afryki z Bogartem, Bacall i
Hustonem i prawie straciłam

zmysły” — ten przydługi tytuł
prawie wszystko wyjaśnia.

Zdobywczyni czterech Oskar-
ów współpracowała z najwięk-
szymi sławami kilku epok —
od George’a Cukora po Stanleya
Kramera; grała z Henry’em Fon-
da, Bette Davis i Jean Harlow, o-
becnie bierze udział w realiza-
cji telewizyjnej komedii „Goś-
cinny występ”.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Henryk Sienkiewicz, Pan
Wołodyjowski — 2000 zł; Wła-
dyśław Sikorski, Album (KAW
Kraków) — 2500 zł (cena nomi-
nalna 1500 zł); Baśnie braci
Grimm — 3600 zł; Przysposo-
bienie do życia w rodzinie (za-
wieszony podręcznik szkolny)
— 600 zł (cena nominalna
226 zł); Mała Encyklopedia
Zdrowia — 3500 zł (cena nomi-
nalna 2500 zł); Leszek Mo-
czulski, Wojna polska 1939 —
10000 zł; Atlas Historyczny
Świata — 6000 zł (cena nomi-
nalna 4600 zł); Andrzej Mako-
wiecki, Nie ma poglądów do
Barcelony — 600 zł (cena nomi-
nalna 350 zł); Michał Wila-
niewicz, Sztuka kochania —

1700 zł; Roman Dmowski, Po-
lityka polska i odbudowanie
państwa — 15000 zł; Antologia
poezji żydowskiej — 1000 zł;
Zbigniew Nienacki, Raz w ro-
ku w Skrośławkach — 1700 zł;
(cena nominalna 800 zł); Cor-
nelius Ryan, Najdłuższy dzień
1000 zł (bardzo poszukiwana
książka, cena nominalna 400 zł);
Mao Sing, Wyznania chińskiej
kurtyzany — 1400 — 1600 zł;
Milo Speriglio, Marilyn Mon-
roe — morderstwo zatuszowa-
ne — 300 zł (cena nominalna
180 zł); V.P. Borovicka, Ścisłe
tajne szyfry — 1000 zł (cena
nominalna 380 zł); Helena Ła-
kowska-Rudzińska, Łączność
zagrańniczna Komendy Głównej
Armii Krajowej 1939—1944.
Odcinek Południe — 800 zł
(cena nominalna 500 zł); Kazi-
mierz Sejda, C.K. Dezerterzy
— 1300 zł (cena nominalna
350 zł — wg książki reż. Ja-
nusz Majewski zrealizował ko-
medie filmową); Henry Miller
— „Literatura na świecie”
nr 5-6/1987 — 600 zł (cena
egz. 240 zł); Tadeusz Konwicki,
Nowy Świat i okolice —
600 zł (cena nominalna 250 zł).

Kronika

PREZESEM Stowarzyszenia Filmowców Polskich został
wybrany ponownie Janusz Majewski.
W skład zarządu weszli m.in. ulentowani twórcy młodego
pokolenia: Jerzy Domaradzki, Janusz Kijowski, Waldemar
Krzysiek, Wiesław Saniewski, Waldemar Dziłki, Marek Koterski.
To cieszy i stanowi zarazem dobrą wróżbę na przyszłość.

NAGRODE Warszawskiej Premiery Literackiej w grudniu ub. r.
przynależało Józefowi Henowi za książkę „Nie boję się
bezsennych noc” (ukazała się ona nakładem „Czytelnika”).

W TYM ROKU UKAZAŁ SIĘ pierwsze tytuły
międzywydawniczej serii „Biblioteka Domowa”.
Wśród nich znajdują się tak poszukiwane, edytorskie rarytasy,
jak „Encyklopedia Popularna” PWN (w milionowym nakładzie),
Słownik Języka Polskiego, „Kuchnia Polska”, „Historia Polski”
i „Domowy poradnik medyczny”.

PO TRAGICZNEJ ŚMIERCI ZBIGNIEWA CYNKUTISA,
kolejną próbę wskrzeszenia głośniego ognia w świecie
wrocławskiego Teatru Laboratorium — stworzonego przez
Jerzego Grofowskiego — podjął Mirosław Kocur.
W drugim Studium-Wrocławskim wyreżyserował on
„Prometeusza” Ajschylosa i „Anhellego” Juliusza Słowackiego.

„NASZE ŻYCIE LITERACKIE — w odczuciach Eustachego
Ryńskiego, autora głośniego opowiadań „Stankiewicz, Powrót”
— to półtoręj porcji pierogów i kefir w barze oraz jakakolwiek
kłótnia w kawiarni ZLP”.

Zdanem pisarza — wyrażonym w wywiadzie dla „Trybuny
Ludu” — nwid ten jest jedną z głównych przyczyn, iż nie
powstaje u nas wielka, wybitna literatura.

ŁÓDZKIE MUZEUM KINEMATOGRAFII — jedna tego
typu placówka w kraju — otrzymało w ostatnich dniach dwa
cenne dary.

Andrzej Wajda ofiarował muzeum dwa plakaty (francuski i
japoński) do swego ostatniego filmu „Kronika wypadków
miłosnych” (zrealizowanego wg powieści Tadeusza Konwickiego).

Drugą darowizną jest projektor niemiecki „Euro-M” model
z końca lat trzydziestych, przekazany — w bardzo dobrym stanie
— przez Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpoznawania Filmów
we Wrocławiu.

W DNIACH 22 I 23 STYCZNIA br. łódzianie będą mogli
obejrzeć w Teatrze Wielkim interesujący program rozrywkowy
„Polska Baba”, w którym wystąpi m.in. Danuta Rinn.
Akompaniować jej będzie zespół „Walk Away”.

Znana piosenkarka wykona m.in. utwory Wojciecha
Młynarskiego i Jana Pietrzaka.

Organizatorem występów jest Agencja Koncertowa
Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

JERZY GRUZA, reżyser teatralny i filmowy, absolwent
szkoły filmowej w Łodzi, dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni
(reżyserował w otocze skandali musical „Jesus Christ
Superstar”), został powołany na dyrektora i kierownika
artystycznego tegorocznego — XXV Festiwalu Piosenki w
Sopotcie.

Jego hobby — w nielicznych wolnych chwilach — to gra w
tenisa i jazda na nartach.
Jest żonaty i ma dwóch synów.

„SYLWESTER SEAW” na Zamku w Golubiu-Dobrzyniu
należał do najbardziej udanych, szampańskich bali
sylwestrowych.

Rok 1988 powitano tam hukiem zabawkowych, zamkowych
dział i fajerwerkami wspaniałych sztucznych ogni.

MISS POLONIA — Monika Nowosadko — udekorowała
podczas sylwestrowego wieczoru okolicznościowymi medalami
ludzi, którzy najbardziej rozślawili nasz kraj w świecie w
1987 r. m.in. Waldemara Marszałka, Jerzego Kukuczka,
Andrzeja Mierzejewskiego, Jacka Palkiewicza, Jerzego
Lenartowicza.

Oprac. JAK

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Jura liczył na przypadkowe spotkanie, ale nie miał się gdzie spotkać. Wiedział, gdzie pracuje, ale nieznając tam do pracy. Postąpił tak, jak postępowal przedtem, zadzwonił do niej do domu. Musiał rzucić słuchawkę — telefon odebrał Iwan Grigorjewicz.

Następnego dnia zadzwonił do niej do pracy. Lena nie zdziwiła się albo udała, że się nie zdziwiła. Ten sam powolny głęboki głos. Zdrowie? Dobrze. Zobaczyć się? No cóż, możemy. Tylko, że z pracy jedzie prosto na dach. Trzeba zadzwonić, może wszyscy powinni się spotkać?

Jura się zdziwił:
— Kogo masz na myśli?
— Rozmawiałam się.

— No, tak, właściwie to nikogo. Myślałam o Ninie, ale wyjechała na jakieś seminarium. Może Wadim, zdzwonił się z nim.
— Spróbuj — odpowiedział Jura, od razu zdecydowawszy się nie dzwonić do Wadima. — Jak się umówimy?

— Pewnie na niedzielę.
Odpowiedziała bez przekonania, ale zawsze tak mówiła. Wyrażnie wymawiała końcówki słów, zatrzymując się na akcentach, to przyspiesza jej wypowiedziom odcięcie niezdeterminowania.

Lena powiedziała, o której odchodzi autobus z placu Teatralnego, który numer linii (tak nazywała się ulica w Sieriebriany Borze), który numer dachy i wytłumaczyła, jak iść od petli — krawcówki, skąd autobus zawraca do Moskwy.

Ani wyrzutów, ani obrazy, ani radości, ani złości, ani skrepowania. Nicco obraźliwa delikatność. Wyższość arystokratki. I wszystko to było mu na rękę.

Niepokoili go myśli o spotkaniu z Iwanem Grigorjewiczem i Aszchen Sierpanowną, ale oni pewno o niczym nie wiedzą. Iwan Grigorjewicz go nie lubi, no cóż, wcześniej też go nie lubił. No, ale czy go w ogóle zobaczy? Pójdzie kapać się z Leną nad Moskwę, nie zostanie na obiad, chodzi mu tylko o to, żeby się z nią zobaczyć, wszystko załatwić, wznowić poprzednie stosunki. I niewykluczone, że Lena jest sama.

Rodzice mogli wyjechać na urlop, zabrać z sobą Władimę. Może właśnie dlatego zaprosiła go na niedzielę i chciała, żeby przywiózł Wadim — boi się zostać z nim sam na sam.

Myśli, że za dwa dni, w niedzielę, zobaczy ją, przeniosła Szaroka w przeszłość. Przypomniał sobie, jak siedział w gabinecie u Iwana Grigorjewicza, Lena przebiegała się w swoim pokoju, czekał na nią, serce zamierało mu ze wzruszenia. Teraz znowu jest wzruszony, jeszcze bardziej niż wtedy.

14.

Nowa praca, nowa pozycja, tajna potęga nadawały Szarokowi pewność siebie. Ale przyjazd do Sieriebriany Boru omieszczał go. Ulice, albo, jak tu je nazywano — linie, różniły się jedynie numerami. Równie rzędy sztachet ze zwisającymi nad nimi krzakami bzu i jaśminu, jednakowe furtki, też ze sztachet, dróżki od furtki do domów, ukręte wśród drzew i krzewów Ani szlabanu, ani wartowników, nikogo obcego — jak w rezerwacie.

Furtka była nie zamknięta. Jura przeszedł po dróżce, wzdłuż której rosły kwiaty i znalazł się przed piętrowym letnim domkiem pomalowanym na jasnozielony kolor. Żył w dużej, ładnej, wygodnej. Na dużej werandzie stół, jeszcze nie sprzątnięty po śniadaniu, ze szklankami, filiżankami, talerzykami. Zastawy było dużo i krzesła wokół stołu było dużo, znaczy, Lena nie jest sama.

Niezdecydowany stał przed werandą, nie wiedząc, jak dać znać, że jest tutaj. Przez okno wyrzuciła pomoc domowa, spojrzęła nań życzliwie, pytając:

— Ja do Leny — powiedział Szarok.
— A to proszę obejść naokoło.

Pokazała, którędy ma przejść.
Jura okrzyknął dom i zobaczył jeszcze jedną werandę, zupełnie malutką, oplecioną dzikim winem, usłyszal męski głos i od razu rozpoznał Wadimę.

A przecież nie dzwonił do niego. Jakim sposobem Wadim się tu znalazł? Dziwny zbieg okoliczności. Stały gość? Zaproszony specjalnie, żeby naruszyć tét-a-tét?

Zresztą, skoro wszyscy są w domu, obecność Wadima jest dla niego korzystna. Z nim czuje się tu pewniej, wygląda właśnie na starego szkolnego koleżę. Lena sama zaprosiła tego balwana, wybrała ich z niezręcznej sytuacji.

Wszedł po drewnianych schodach. W pięciornych fotelach siedzieli Lena i Wadim. Stał tu jeszcze okragły stół, wąska pleciona leżanka, właśnie na niej usiadł Jura. Weranda przylegała do małego pokoiku.

Jeśli Lena wygadała się Wadimowi, to on się zdradził: spojrzeniem, zakłopotaniem, zmieszaniem. Nic z tych rzeczy. Wadim jest taki, jak zawsze, zawała sobą miejsce, podłogowuje, też, z gracją słonia, jak dawniej mówił o tym, o czym wie on i nie wie ona inni.

Lena słucha go uważnie. Wcale się nie zmienia. Wciąż tak samo nieśmiało uśmiecha się spod oka. Ten sam klebek czarnych włosów na karku, faskawoczerwone, lekko wydęte usta. Zachowuje się bezpośrednio i naturalnie. Ale Jura widział, że kocha go, jak dawniej... Jego serce napędlono się dumą i triumfem.

Choć tak jak dawniej jest mu nieprzyjemny ten szacowny dom, ciągle tak samo boi się czegoś, dziwne, to jego powinni się bać. Mimo wszystko nie rozumiał, na czym polega tajemnica władzy tych inteligentów. Dlaczego musi im służyć? A nie rozumieć — to znaczy bać się.

Wadim opowiadał o tym, że do Wenecji wyjechała radziecka delegacja, zawiązała cztery filmy: „Baryłeczka” Michaiła Romma z udziałem Galiny Siergiejewej, „Wesołych chłopów” Aleksandrowa w roli głównej Leonid Utiosow, „Czeluski” Posielskiego, operator Trojanowski, który pisał na „Czeluski” „Nowego Guliwera” Ptużki.

Wadim dawał do zrozumienia, że brał udział w wybraniu tych filmów, opowiadał ich treść, przewidywał sukces, zwłaszcza „Baryłeczka”. Z wyjątkiem „Czeluski” filmy te jeszcze nie pojawiły się na ekranach. Jura i Lena ich nie widzieli, i znowu tak wyszło, że Wadim opowiada o tym, o czym wie on i o czym nie wie ona inni.

Jak wynikało ze słów Wadima, wiele filmów jest skłonnych do formalistycznym wykreśleniami i snobistycznym wyrażeniami. Jednak z

„Baryłeczka” i „Wesołymi chłopami” wiąże się ogromne nadzieje, nasza kinematografia stanie się naprawdę ludowa.

— „Baryłeczka” Maupassanta dla ludu? — powtarzał Jura.

— Tak, tak, tak — zaczął krzyknąć Wadim — wyobraź sobie. To nie tylko historia prostytutki. To jest film antymilitarystyczny, antyfaszystowski. Jest to zrozumiałe i potrzebne narodowi.

Jura usłyszał się w język. Dla niego „Baryłeczka”, jak i cały Maupassant, to przede wszystkim erotyka. Przeczył to, że Baryłeczka posiadał pruski oficer.

— „Pancernik Potiomkin” też jest dosyć trudny, ale nie widzieliśmy — powiedziała Lena.

Jura zauważył, że Lena go wyrecza.

— Tak — zgodził się Wadim — jednak czym się stał dla Eisensteina jego formalizm? Już „Październik” jest zupełnie niezrozumiały dla widza, strywalizowany został wielki temat. Weźcie Dzieje Wertowa. Widzieliście jego „Symfonie Donbassu”? Chaos, parodia rzeczywistości. Teraz Wertow pracuje nad filmem o Leninie. — Wadim wzruszył słuszymi ramionami — Donuście Dzieje do takiego materiału? To wielcy mistrzowie, ale czas się określić: z kim jesteście?

Jura przypomniał sobie, z jakim zapalem

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



Wadim rozprawiał w swoim czasie o Henri de Régnierze i innych Francuzach, nawet dawał mu do czytania zajmujące książeczki o życiu francuskich sutenerów.

Może i nie warto było się ścierać z Wadimem. Ale chęć zemsty na „Baryłeczce” zwyciężyła.

— Twoje gusty się zmieniają. Wadim — powiedział Jura.

— Na lepsze, mój drogi, na lepsze — wyzywał go odzyskał Wadim. — Wszyscy przechodzimy ewolucję, pytanie jest, dokąd dążymy.

— Co chcesz powiedzieć? — zachmurzył się Szarok. Agresywność Wadima zdumiała go. To nie Wika. Czuję się silny.

— Chce powiedzieć to, co powiedziałem — odpowiedział Wadim gderliwie. — Każdy się rozwija, ważne, w jakim kierunku. Każdy bierze przeszłość — ważne, jaką, dokąd jedzie? Dokąd? W szkole moje — literackie upodobania były jeszcze chwile, ważne jest, do czego doszedłem. W szkole nie śpieszyło ci się, żeby wstąpić do Komсомоłu, teraz jesteś członkiem partii i taka ewolucja uważam za normalną.

I mimo wszystko nie należy stwarzać sytuacji konfliktowej, trzeba być dobrym, ustepliwym, to mu pomoże wygrać w oczach Leny.

Jura rzekł:
— Pięknie. To może i Eisenstein stanie się realista socjalistycznym?

Wymienił tylko Eisensteina, bał się przekreślić imię i nazwisko drugiego reżysera. Cudaczne imię cudaczne nazwisko. Sami rabini, diabli nogi sobie polami.

Lena spojrzęła na niego z wdzięcznością.

— A może zastój, o którym mówi Wadim, można wytłumaczyć przejściem do filmu

dźwiękowego?

Wadim momentalnie zaoponował:

— Nie mówiliśmy o zastój, ale o do filmu

dźwiękowego jestem ostrożny w prognozach.

Cokolwiek by mówić, film — to wielki niemożna. Słowo może przekształcić film w teatr na ekranie. Wyobraźcie sobie Charliego Chaplina mówiącego? Ja sobie nie wyobrażam.

W Londynie Lena widziała dużo filmów dźwiękowych. Film dźwiękowy tam zwyciężył, zwycięży i u nas. Ale nie dyskutowała z Wadimem, tylko się uśmiechnęła, wspomniawszy, jak podczas wyświetlania amerykańskiego filmu dźwiękowego publiczność śmiała się z wymowy amerykańskich aktorów.

— A jak tam „Spotkany” „Złote góry” — spytał Jura pokornie, uznając wyższość Wadima.

Wadim uśmiechnął się.

— No ale czy to są filmy dźwiękowe? To są taśmy, udźwiękowione muzyką Szostakowicza. Jest dobra i sama przez się i jeszcze przez to, że Szostakowicz opiera się na melodiach ludowych. Jest to ważne dla ukształtowania się kompozytora.

Wadim demonstrował swoje uświadomienie, chciał wpoić Jurze przekonanie, że jest chroniony ze wszystkich stron Jura rozumiał to, rozumiał też to, że źródłem tego pragnienia jest strach przed nim. W tym tkwi przyczyna dziwnej agresywności Wadima. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, uśmiechnął się do Leny.

(30)

Efektowna kobieta, bujna, duża. To czego Szarok potrzebuje.

Krepując się swojej nagości. Lena uśmiechnęła się.

— Zażożym kostium kąpielowy, żeby tam się nie przebiegał? —

— Zaraz chwile — Wadim w końcu znalazł to, czego szukał.

— Tu jest ciekawy fragment. Panajew cytuję Bielińskiego. Bieliński mówi: „Potrzebny jest nam Piotr Wielki, nowy genialny despot, który w imię ludzkich pryncypiów traktował nas okrutnie i bezlitośnie. Powinniśmy przejść przez terror. Przedtem była nam potrzebna pałka Piotra Wielkiego, żeby nas przynajmniej upodobnić do ludzi; teraz musimy przejść przez terror, żeby się stać ludźmi w pełnym i szlachetnym znaczeniu tego słowa Nas, Słowian, nieprędko się zbudzi do idei Wiadomo — dopóki grom nie zagrmi, chłop się nie przeżegna, nie ma pana, cokolwiek byście mówili, a matka gilotyna to dobra rzecz”.

Wadim odłożył książkę.

— A? I jak?

Jura milczał, nie wiedział, jak zareagować na te oczywiste aluzje. Mocne słowa, od Wadima można nierzadko oberwać, ale żeby tak wprost...

Znowu wyreczyła go Lena:

— Znam ten fragment. To napisał nie Bieliński, tylko Panajew. On przypisuje te słowa Bielińskiemu.

— On dokładnie cytuję Bielińskiego — uparł się Wadim — te słowa Bielińskiego są też w innych wspomnieniach o nim, przede wszystkim u Kawelina. Tak, Bieliński był wielkim człowiekiem i rozumiał, że Rosja potrzebuje mocnych rządów. Ale był człowiekiem swoich czasów, nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że to powinna być dyktatura proletariatu.

Jura w duchu podziwiał polityczny spryt Wadima.

— „I za co kocham cię, cicha ma nocy...”

To był ten sam głos z sąsiedniej dachy.

— Ładnie śpiewa — powiedział Jura — kto to jest?

— Nasz sąsiad — odrzekła Lena — działacz KC, Nikołaj Iwanowicz Jeżow.

Wadim pokręcił głową na znak, że słyszy po raz pierwszy to nazwisko. No kto tak kto, ale on zna wszystkie nazwiska.

— Nie wiem, kto to jest — powiedział Jura — ale śpiewa dobrze.

— Bardzo miły człowiek — powiedziała Lena.

Kiedy Jura i Lena zostali sami, Lena powiedziała:

— Nie poznaje Wadima. Nawet się go boję, słowo daje. Zrobił się taki kategoryczny, taki nietolerancyjny, podejrzliwy. Broni władzy radzieckiej. Przed kim? Przede mną i przed tobą?

Lena zawsze skrywała swoją szczególną pozycję, teraz też starała się nie wyróżniać. A jednak należał do tych, którzy rządzą państwem, a nie po prostu służą nam, jak Wadim i jego ojciec. I Jura należy do tych, którzy rządzą państwem, jest klasa pracująca, ludem z takich teraz wyrastają przywódcy. Dlatego właśnie wzięli go do pracy w organach. W domu Leny na ulicy Granowskiego i tu, w Sieriebriany Borze, mieszkają wybitni ciekieści, są wspierani ludźmi, i jej ojciec kiedyś był członkiem kolegium WCZK — OGPU. W zachowaniu Wadima było coś nienaturalnego, jakiś fałsz, razili go „MY możemy”, „MY nie możemy”, „MY mamy”, „NASZE państwo”. Nina Iwanowa, nawet Sasza Pankratow mogliby tak mówić, to jest ich świat, mają do tego prawo. A Wadim nie ma. Może tylko służyć, nie władać.

W momencie, kiedy Lena pomyślała o Saszy, Jura zaczął o nim mówić — zbieg okoliczności, który sprawił, że Lena drgnęła.

— Wadim zmienił się od tej chwili, kiedy aresztowano Saszę — stwierdził Jura — od razu to zauważyłem. Areszt Saszy go nastraszył. Teraz ze strachu stara się krzyknąć głośniej od innych.

— Tak — ze smutkiem zgodziła się Lena — po aresztowaniu Saszy staliśmy się inni.

Jak i w rozmowie z Bieriezinem, tak i teraz Jura rozumiał: od tego, co powie o Saszy, zależy wiele.

— Szkoda Saszy. Nie miałem wtedy racji. Obrazil mnie na przyjęciu noworocznym i byłem nieobiektywny.

— No, ale co się stało? — Lena popatrzyła na Jura wzrokiem, liczącym na okazanie zaufania.

Ważąc słowa, Jura powiedział:

— Sasza przywykł grać główne role. W instytucie kto inny grał główne role. Sasza przystał do tych, którzy chcieli ich usunąć. A kierownictwo partii chciało ich usunąć frakcyjnie. Okazało się, że wciągnęli go do Saszy. Trzy lata zesłania — to wszystko, co można było dla niego zrobić, pozostali dostali kary więzienia, obozu, poważne wyroki.

W jego słowach była aluzja, jakoby i on coś zrobił dla Saszy.

— Trafiam do pracy w NKWD po studiach, z nakazu pracy, przecież jestem prawnikiem, wiem o tym — ciągnął Szarok. — Złatwienie formalności wypadło w okresie sprawy Saszy. Szczęście mówiąc, do ostatniej chwili nie wiedziałem, w jakim charakterze tam przychodzę.

— Do tego stopnia? — zdumiała się Nina.

— Ale przecież nie studiowaliście razem, a szkoła... W szkole wszyscy się przyjaźniliśmy.

Uśmiechnął się znacząco.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

NIEOBECNI

Wydawałoby się, że swiązki pomiędzy pisarzami a bibliotekarzami są dość ścisłe. Bo ileż to natrudzą się bibliotekarze przy wprowadzaniu w nurt czytelnictwa powszechnego utworów współczesnych pisarzy zwłaszcza debiutantów lub posiadających skromny dorobek twórczy. Organizacja wystaw, przeglądów, spotkań autorskich, poradnictwo, dobór ta stała formy pracy z czytelnikami. Bezpośrednich kontaktów z autorami dostarczają bibliotekarzom spotkania pisarzy z czytelnikami w bibliotekach. Kwitują je przeważnie pozytywnie w kronikach bibliotecznych niekiedy nawet zbyt laurkowo. Drugą okazję stwarzają w Łodzi festiwale poezji, ale wśród prelegentów i jurorów festiwali coraz mniej wybitnych twórców.

Brak nam natomiast obecności i wypowiedzi pisarzy przy innych okolicznościach ważnych dla środowiska bibliotekarskiego. Przed 9 laty Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Okręg — Łódź obchodziło 80-lecie swojego istnienia. Na sesji rocznicowej obok prelegentów — wybitnych specjalistów — zabierali głos przedstawiciele władz, różnych placówek kulturalno-oświatowych, księgarze ale nie... pisarze.

Zorganizowaną przez Dzielnicową Bibliotekę Publiczną Łódź-Sródmieście 17 kwietnia 1986 r. sesję popularnonaukową z okazji 40-lecia „Dekretu o bibliotekach” i opiece nad zbiorami bibliotecznymi uzupełnił odwołaniem tablicy poświęconej patronowi Biblioteki — Andrzejowi Strugowi. Tablica ta spoczywająca przez kilka lat w składnicach PRN (na skutek burzenia domu przy ul. A. Struga 1, gdzie była uprzednio zawieszona) uzyskała odpowiednie miejsce na murach Biblioteki dzięki staraniom jej kierownictwa. Fakt ten wzbudził duże zainteresowanie wśród czytelników, żadnego natomiast w środowisku literackim. Na 15 zaproszeń wysłanych do pisarzy nie zjawił się nikt. Nadeszła natomiast depesza od Władysława Orlowskiego prezesa łódzkiego Oddziału ZLP.

Urząd Dzielnicowy Łódź-Sródmieście, Dzielnicowa Biblioteka Publiczna Łódź-Sródmieście uczciła 50-lecie śmierci Andrzeja Struga, laureata Nagrody Literackiej Miasta Łodzi sesją popularnonaukową 24 listopada 1987 r. W programie tej znalazły się obok nazwiska cenionego prelegenta pracownika UL dr Jerzego Rzymowskiego — nazwiska: mgr Jacka Chromego z Muzeum Literatury i dr Andrzeja Konkowskiego z UW. Bibliotekarze przygotowali wystawę eksponującą nie tylko książki i artykuły Andrzeja Struga, ale pamiątki po nim i listy w oryginałach, fotokopiach i odbitkach kserograficznych. Wszyscy zaproszeni pisarze byli nieobecni.

Dobrze więc się dzieje, że zarówno „Kronika” Odgłosów jak i inne pisma łódzkie dokumentują różne formy działalności bibliotek i bibliotekarzy. Może co nieco wiadomości na ten temat przenika jednak i do środowiska literackiego.

IZABELA NAGÓRSKA

CZY JEST PROSTY SPOSÓB NA WSZYSTKO ZŁO?

Żywię przekonanie, że jako obywatel nigdy nie miałem żadnego wpływu na przebieg naszego życia gospodarczego — ba i politycznego, kształtującego takie czy inne postawy społeczne, na narastanie zjawisk, których wyeliminowanie, a nawet tylko zahamowanie wymaga wielu daleko idących zmian, i co najważniejsze — czasu, gdyż tak wielkiego kryzysu społeczno-moralnego nie uda się szybko zlikwidować. Kraj nasz nie „chorował” nigdy chyba na tego rodzaju schorzenie, które narastało przez długie lata. Mam więc wątpliwości; czy zapowiedziane reformy spełniają wszystkie nadzieje?

Ugruntowało się we mnie przekonanie, że — pomijając nasze zadawione cechy narodowe — przyczyną tej sytuacji jest zmienność, chwiejność i bardzo często nawet zła wola leżąca u podstaw wprowadzanych lawinowo i prawdopodobnie nie analizowanych różnych przepisów prawnych, regulujących nasze życie. Sądzę, że tylko i wyłącznie, nieodpowiednie przepisy prawne wpłynęły tak destrukcyjnie na całe społeczeństwo, które przecież tuż po roku 1945 mogło być przykładem ofiarności, samozaparcia i entuzjazmu. Czy można ten proces narastającej degeneracji zahamować i likwidować? Mimo smutnych doświadczeń wierzę, że tak.

Powołano wszak Rzecznika Praw Obywatelskich i dobrze aczkolwiek sądzę, że w naszym ustroju powinien być w zasadzie bezrobotny, a teraz, według mnie należałoby — i to niezwłocznie — powołać 3—5 osobowy (w skali kraju wytarczy). „Zespół Przewidywaczy”, którego zadaniem byłaby dogłębna analiza, akceptowanie lub odrzucanie wszelkich aktów prawnych, nawet już zatwierdzonych przez Sejm. Jednym słowem bez ich „Imprimatur” żadna ustawa, żaden akt prawny nie ujrzałby światła dziennego. Zespół byłby odpowiedzialny za skutki społeczne, powodowane przez nieprzemyślane akty prawne. Do tej pory nikt nie zwołano ze stanowiska za wydanie aktu nawet gozącego na podstawę naszego ustroju. Konieczność powołania takiego „Zespołu” wcale nie jest żartem. Wynika z wielkiej mnogości aktów sztuki prawniczej, które mimo ich bogobojnych założeń, przynoszą ujemne skutki społeczne. Czy u nas ktoś przewidując skutki wydawanych aktów prawnych? Czy Sejm, zatwierdzając „pakiet” ustaw, ma dostatecznie wiele czasu na przewidywanie oddziaływania społecznego? Wiadomo, że najlepsze nawet zamysły mogą przynieść ogromne, a może nawet wprost nie do odrobienia straty.

Wydano na przykład akty prawne wysoce humanitarne dotyczące pomocy socjalno-rentowej dla osób nie mogących samodzielnie zabezpieczyć sobie życia, a więc ludzi dotkniętych przez los. I tak: całkowita lub częściowa niezdolność do pracy spowodowana przez narkomana, który w drodze własnego wyboru, nie wymuszony woli, miast stanąć w szeregu ludzi pracujących, wybrał nierobstwo i „ćpanie”, nagradzane jest rentą inwalidzką wraz z wszelkimi prawami inwalidzkimi. Te renty socjalne — bez mała, jak dla tkaczek po 30 i więcej latach pracy — udzielane „ćpanom”, alkoholikom i innym obibokom, oraz wynikające zeń przywileje, czy nie są czasem polickim dla ludzi pracy, zwłaszcza że ci „nieszczęśliwi” nigdy nie poplamili nałęczycielką ręką pracą.

Jaki jest zatem sens uczciwej pracy przez dziesiątki lat, skoro zabezpieczenie starości otrzymuje się niewiele większe niż o trzymujące elementy niepracujące. Czy takie „złajszachtowanie” nie stanowi policką dla pozostałych 95 procent obywateli.

W dążeniu do uzyskania waluty wymienialnej powołuje się „Pewex”. A skutek jest taki, że sprzedaż alkoholu ustawicznie powoduje wzrost wartości dolara. Cena alkoholu ustawicznie podwyższana, niby celem zahamowania konsumpcji, wpływa na sztuczny wzrost wartości dolara. Jego wartość na czarnym rynku ustalana jest według ceny pół litra wódki Rząd podwyższając cenę alkoholu sztucznie winiutę wartość dolara.

Nie sądzę, aby ustrój socjalistyczny był powołany w tym celu, aby każdy czerpał garściami z jego kasy społecznej, bez względu na to, czy tam włożył swoje trzy grosze. Jestem przekonany, że aby móc korzystać ze społecznych dobrodziejstw, należy uprzednio włożyć coś do wspólnej kasy. A tak człowiek pracy zmuszony zostaje do utrzymywania cwaniaków, nierobów, narkomanów, pijaków i tym podobnych w formie społecznej dla nich jałmużny.

Zjawisko to jest analogiczne do tzw. dotacji. Jednym się zabiera, drugim, najwięcej różnym bankrutom, daje. Czy na tym

ma polegać nasz ustrój? Czy oplaca się rzetelny wysiłek, aby zapewnić sobie względne warunki na starość? Nagminne łamanie zobowiązań czynników rządowych, ciągła zmienność i niestabilność ustaw, dekrétów itp. powoduje kompletny brak zaufania, obojętność itp. Wszak mało jest rodzin, w których nie ma emeryta czy rencisty, a więc wszyscy adają sobie z tego sprawę.

Dyskutuje się nad usunięciem skutków różnych ujemnych zjawisk, a nie słyszałem żadnych głosów mówiących o potrzebie usunięcia przyczyn tych zjawisk. Przecież nie można leczyć choroby pijanistwa, jak to czyni „doktor” Marek Kosiński, obrażając niekiedy wszystkich obywateli. A skutek? Kilometrowe kolejki po alkohol, napalnianie portfelu melniarzom itd. A zjawisko to ma przecież swoje przyczyny.

Czy istnieje wyjście z impasu i pozbycie się tej społecznej choroby? Oczywiście. Wymaga to szerokiej propagandy ze strony czynników rządowych, które winny zarzucić metodę niedotrzymywania zobowiązań, wprowadzenie może i twardych a nawet bezkompromisowych zasad prawnych i ich egzekwowanie, w zamiar za stabilne, sprawiedliwe, wyrównujące krzywdy normy prawne. To powinno być ujęte w broszurkę, gdzie wszystkie zasady prawa oraz przywilejów obywatelskich spisane byłoby łącznie z obowiązkami zeń wypływającymi. Takie podstawowe normy i obowiązki prawa winny być rozpropagowane od szkoły do ambony, aby od dziecka wiadomym było, że masz osobistą wolność wyboru albo „ćpać” czy pić wyłącznie na własny rachunek bez liczenia na społeczne pokrywanie kosztów, a z braku środków na pokrycie kosztów np. leczenia, musisz odpracować nawet przymusowo zaciągnięty dług od społeczeństwa. Sądzę, że właśnie pełna swoboda wyboru jednostki, twarde egzekwowanie prawa, ale stabilnego i sprawiedliwego, usuną narosłe zjawiska, nieufność, obojętność. Jestem przekonany, że właśnie jest to jedyna okazja do wprowadzenia wszystkiego od nowa, ale sądzę, że i niewykorzystanie i to zarówno ze strony czynników rządowych tej okazji może też spowodować stany nieodwracalne.

HENRYK JANIEC

OD REDAKCJI: List naszego Czytelnika który publikujemy — z pewnymi skrótami — wymaga komentarza. I to z kilku powodów.

1. Nie jest prawdą, że kraj nasz nigdy „nie chorował” na różne przypadłości społeczne i polityczne. Chorował tak przed rozbiorem, jak i za II Rzeczypospolitą. Inne — co prawda — były warunki historyczne, ustrojowe, choć choroby podobne.

2. Błędem i zbytnim uproszczeniem jest upatrywać wszelkie zło tylko i wyłącznie w ustawodawstwie. Bez wątpienia mamy nadmiar przepisów, często sprzecznych z sobą, jakże często hamujących wszelką inicjatywę, jakże często zbyt szczegółowych i utrudniających wszelką pozytywną działalność. Wiele już powiedziano o przyczynach takiego stanu rzeczy. A brał się on i — chyba po części bierze się nadal — z powszechnego braku zaufania. Zresztą list Henryka Janieca jest też przykładem takiego braku zaufania do „czynników rządowych”, do prawników, do „elementów” i tak dalej. Nie można budować jakiegokolwiek współżycia społecznego na wzajemnej nieufności, bo to musi spowodować w rezultacie konflikty, nad którymi się nie zapamięta.

3. W pełni zgadzamy się z tym, że człowiek powinien zarabiać tak, jak pracuje, że za całe życie dobrej pracy należy się odpoczynek w dobrych warunkach. Ale trudno mi się zgodzić z takim rozumieniem zasady sprawiedliwości społecznej, która ma się wyrażać tylko surowością i bezwzględnością prawa, karnymi obozami i przymusową pracą ludzi, którzy z tych czy innych powodów nie mieszczą się w przyjętych normach społecznego postępowania. Wziewania wymyślono dawno temu i — jak do tej pory — nikt mądry nie będzie utrzymywał, że wpłynęły na spadek przestępstw. Podobnie sprawa wygląda z różnego rodzaju obozami pracy przymusowej. Henryk Janiec tak ostro występujący przeciw zwalczaniu przyczyn zamiast skutków sam nawołuje do zwalczania skutków, biorąc je za przyczynę. Dosadny przykład krótkowzroczności i powierzchownego widzenia zjawisk.

4. Podobnie rzecz się ma z „Pewexem”, wódką i cenami. Kurs dolara na czarnym rynku wcale nie wynika tylko z ceny pół litra wódki. Jest to zjawisko znacznie bardziej skomplikowane i złożone. Natomiast można się zgodzić, że formy walki z alkoholizmem nie tylko zresztą Marka Kosińskiego są niebawale rozwieszające. Dlaczego w tej dziedzinie ludzie najchętniej sięgają się po powierzchni? Ano, dlatego, że tak trudno jest sięgnąć do istotnych przyczyn. Jest ich bowiem wiele, a wszystkich jednocześnie nie da się rozwiązać i usunąć.

5. Rozumiemy rozgoryczenie i adenerowanie naszego Czytelnika, ale — jako żywe — nie możemy się zgodzić z tym, że raz Henryk Janiec występuje ostro przeciw nadmiarowi przepisów i praw, a później w jakimś „prawnym katechizmie” widzi radykalny sposób na wszelkie zło. Otóż wielu „pensjonariuszy” zakładów karnych, czyli więźniów, znakomicie zna kodeks karny i jakos tak wiedza nie powstrzymuje ich przed popełnianiem następnych przestępstw. Często dokonują tego zaraz po odsiedzeniu kary i wyjściu na wolność.

Kryzys, nie tylko gospodarczy, narastał latami i trzeba lat, opanowalność, coraz to nowego i odmiennego podejścia do wielu spraw, wielu małych i dużych kroków, abyśmy mogli z tego kryzysu wyjść. A przecież wiemy, że wychodzenie z kryzysu wyraża się nie tylko rosnącą ilością towarów na półkach sklepowych.

6. Natomiast jeśli chodzi o ów „Zespół przewidywaczy” to przecież coś podobnego istnieje i nazywa się „Trybunał Konstytucyjny”. Różnica w tym, że jego zadaniem nie jest przewidywanie skutków ustaw, a ocenianie ich zgodności z Konstytucją i innymi prawami z tej Konstytucji wynikającymi. Po co tworzyć coś nowego? Po co tworzyć byt ponad potrzeby rzeczywistości?

„CHABRY POLIGONÓW”

W nawiązaniu do listu Józefa Gruchala, zamieszczonego w 86 numerze „Odgłosów”, a tyższego szczególnie wiersza „Chabry Polygonów” przyznaję, że nie jest to wielka poezja.

W nadesłanych na turniej utworach zabrakło arcydzieła, a nawet dzieła, które jednomyślnie zasługiwałoby na I nagrodę. Wybierając do III nagrody wiersz Małgorzaty Friedrich jurorzy premiowali raczej młodzieżowo-przekorny sprzeciw autorki wobec hurrapatriotycznych i pseudopacyfistycznych schematów zbyt często pokutujących w tak zwanej poezji zaangażowanej. W ten sposób również można „kształtować” poetycki smak u młodych twórców.

Wbrew kategorycznemu stwierdzeniu waszego czytelnika, w trakcie pierwszego kwalifikacyjnego posiedzenia jury nie znalo

Na kolumnie „Polemiki, Listy, opinie” publikujemy tyższe listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

nazwisk zaszyfrowanych pod godłami. Samych autorów poznaliśmy dopiero podczas finałowej, publicznej prezentacji wybranych wierszy. Taka jest zasada turnieju, także poetyckiego — każdy walczy jawnie. Cieszę się, iż wasz czytelnik również wyznaje tę zasadę, choć gusty (poetyckie) i poglądy na „wychowanie poetów” mamy tak odmiennie.

Z wyrazami szacunku
EWA MILLER
(dyrektor Centrum Kultury Młodych
jeden z jurorów dyskredytowanego
turnieju)

SAMOKRYTYKA

Zanim przejdę do istoty sprawy, pragnębym serdecznie podziękować przedstawicielom Służby Ochrony Kolei, którzy zapewne reprezentują w tym wypadku całe grono reformatorów — od najwyższych administratorów począwszy. Dzięki ich aktywnej i zaangażowanej postawie 15 listopada 1987 roku przyczynili się do spełnienia u mnie — niedojrzałego obywatela PRL — na trasie linii kolejowej Łódź — Legnica (w pociągu „Piaś”) aktu samoświadomości.

10 listopada 1987 r. tańczyłem z „Mazowazem” w Luksemburgu — jest to już jeden z kolejnych koncertów w całej trzytygodniowej serii, ale okazuje się, że następny ma się odbyć równo za tydzień 17 listopada 1987 r. w jednym z miast RFN. Impresario żegna się więc z nami na tydzień zapewniając podróż do kraju i z powrotem. Zamiast zapewnić ekipie artystycznej „Mazowsze”, przez ten tydzień, godziwą rozrywkę i honoraria, on nas wysyła do domu. W Polsce to byśmy takich reprezentantów dopiero ugościli — bawiąc się przy tym wspólnie za pieniądze z funduszu reprezentacyjnego.

Po powrocie do kraju kierowałem się indywidualnym interesem i postanowiłem tak podstępnie wcisnąć mi niecałe dwa dni pobytu w ojczyźnie (wolne od przejazdu) spędzić z najbliższą rodziną w Łodzi. Mało tego zaoszczędziłem jeszcze pół dnia, gdyż wyrachowałem sobie, że dogonię zespół w hotelu w Legnicy jadąc z Łodzi pociągami, a nie z całą grupą autokarem z Warszawy.

Na dworzec Łódź — Chojny (od czasu remontu Kaliskiego — efektywnie centrum komunikacyjne Łodzi) pojechałem własnym samochodem, którym wróciła do domu odprowadzająca mnie żona. Podjeżdżając do przejazdu kolejowego wiodącego do wjazdu przed dziedziniec dworcowy (na który niegdyś zdarzało mi się wjeżdżać) widzę znak zakazu wjazdu z napisem: „Nie dotyczy pojazdów docelowych... itd”. Bezczenie traktuję własny pojazd jako docelowy, przejeżdżam torowisko, mijam stojących tuż obok strażników SOK, którzy nie wykazują żadnej reakcji, co błędnie upewnia mnie w mym postępowaniu. Kiedy jednak widzę następny znak zakazu tuż przed budynkiem dworca, gdzie już nie ma mowy o pojazdach docelowych i nawet o taxi, postanawiam zawrócić, wyładować bagaż i wyjechać samochodem. Ale tu pojawiają się wspomniani sokiści, którzy pofatygowali się te kilkadziesiąt metrów od przejazdu, by zaofiarować mi mandat tysiącłotowy, zagrozić egzaminem (chyba dojrzałości), podkreślić swój autorytet władzy i wbić do głowy, że jak chce się podróżować z dworca Łódź — Chojny, to z walizkami trzeba pokonać te kilkadziesiąt metrów w ramach sprawdzianu kondycji. Kiedy próbowałem im wyjaśnić że tylko bagaże chciałem wyładować, że samochód zaraz odjedzie, panowie stwierdzili: — A jak pan mwił, po co nas tu ustawiono?

I wtedy nastąpiło oświecenie. Niektórzy byli jednak tak zadowolili w swej demagogii, iż odmawiali zapłaty mandatu na miejscu (szaleńcy!).

Wręczony mi kwit AK 0787283 na podstawie art. 66 Kodeksu postępowania w sprawach wykroczeń, przechowuję jako świadectwo, że wykroczyłem z błędnej drogi i wkroczyłem na właściwą.

WŁODZIMIERZ TOMASZEWSKI

DLACZEGO 10 ZŁ ZA SZATNIĘ?

W odpowiedzi na notatkę z dnia 12.12.87 r. a dotyczącą opłat za szatnię w restauracji „Casanova” uprzejmie informujemy co następuje. Osoby obsługujące szatnię w naszych lokalach gastronomicznych zatrudnione są na podstawie umowy dzierżawnej. Zgodnie z warunkami określonymi w wymienionej umowie do obowiązków dzierżawcy należą poza przechowywaniem w szatni okryć konsumentów, prowadzenie toalet, sprzątanie sal konsumenckich, hallu, tarasów, zakupienie środków czystości oraz niezbędного sprzętu pomocniczego potrzebnego do utrzymania czystości. Podstawą decyzji o zmianie opłat za korzystanie z szatni i toalet była stosunkowo niska dochodowość szatni, w następstwie czego brakowało i nadal brakuje osób chętnych do takiej pracy oraz poważny wzrost cen środków czystościowych niezbędnych do utrzymania bieżącego porządku wymienionych pomieszczeń.

Pragniemy jednak poinformować, że cena za usługi szatniarskie dla emerytów i rencistów korzystających z posiłków abonamentowych pozostała bez zmiany tzn. 5 zł. Konsument restauracji „Casanova” prawdopodobnie nie okazał legitymacji i dlatego szatniarz pobrał opłatę w pełnej wysokości, tj. 10 zł. Informujemy również, że w szatni każdego zakładu gastronomicznego w miejscu widocznym wywieszony jest odpowiedni cennik na świadczone usługi szatniarskie.

MONIKA PEREK
(prezes Zarządu Oddziału
Gastronomii PSS „Społem”)

RSM „BAWELNA” PRZYPOMINA

Komisja Historii RSM „Bawelna” przypomina, że 31.03.1988 r. upływa termin składania prac na konkurs wspomnień działaczy i członków tej spółdzielni. W konkursie biorą udział wszyscy, którzy mogą wnieść coś ciekawego do dziejów RSM „Bawelna”. Prace należy składać w sekretariacie Zarządu RSM „Bawelna” — Łódź, ul. Przybyszewskiego 163.

Legenda Romana Polańskiego narastała szybciej niż jego realne osiągnięcia reżyserskie. Nadwiślańska perspektywa tę legendę od samego początku zwielokrotniała tym bardziej, że jego zagraniczne filmy były znane u nas na ogół tylko z tytułów. Potem stawały się przedmiotem (przynajmniej niektórych) solennych projekcji w DKF-ach lub in-

by się napisać. W niedługo potem autor „Dziecka Rosemary” staje się bohaterem obyczajowego skandalu choć jakby naturalnego w hollywoodzkim świecie, to przecież napiętnowanego przez prawo i podekscytowaną opinię publiczną.

Do dziś dnia rekonstruuje się te wydarzenia na różne sposoby dodając legendzie nowe ćwierć-

pt. „Rapier Napoleona” (ciekawym, czy wysłał go z dedykacją mistrzowi?). Muszę przy okazji zapytać.

Wreszcie sam reżyser jakby zdegrustowany opowieściami dziennikarzy i pisarzy sprowadza swoją biografie do realniejszych kształtów i pisze rzecz za tytułowaną „Roman by Polański” (znana polskiemu czytelnio-

ten baśniowy schemat i odbył swoją drogę do Hollywood. Trzeba było widzieć ten tłum starożytnych, zemocjonowanych panów w holu gdańskiego kina „Leningrad” po festiwalowej, specjalnej projekcji „Piratów” z udziałem przybyłego na tę okazję Polańskiego: „czy Romek mnie pozna”, „czy zauważy”, „czy uściśnie dłoń”, „a może ponad tłumem prześle choć gest”. A ten, w towarzystwie młodzieńczej piękności, sam o chłopcę posturze szedł jakby tańcząc pośród trzasków migawek i szmeru kamer. Z naturalnością doświadczonej i nawykłej do uwielbienia gwiazdy. Nawet Zygmunt Kalużyński, któremu nigdy nie brakowało elegancji i bezczelności i takiego tupetu na konferencji prasowej, którą przyszedł mu prowadzić łapał oddech jakby głębiej i mrugał powiekami jak nastolatka na swej pierwszej randce.

Jak więc mogła zachowywać się Nina Terentiew (Cierenciowa — jak mawiał Jerzy Putrament) podczas swojej autorskiej audycji „Godzina z...”, gdy po drugiej stronie okrągłego stołka zasiadł Roman Polański? Rutyna tu nie wystarczała. Także i

ograny i opatrzonego schemat. Pewnie, że lepiej rozmawia się z urodziwą do znudzenia Katarzyną Figurą lub z bez zażenowania mitemańskim Markiem Piwowarskim (nie utrzyma się mit, którego się samemu prokuruje i wspiera popularnością innych — w tym przypadku Himilbacha i Pietrzaka). Wystarczy parę szytych kordonkiem komplementów, wzajemnych grzeczności i uśmiechów. Czym bardziej przesyadny komplement, tym sympatyczniej — myśli Nina Terentiew i wydaje się jej, że tak myślą wszyscy widzowie. Tak zwane środowisko zaakceptowało bodaj ów schemat i audycję leca, jedna po drugiej, jak z taśmy.

Kiedy oglądaliśmy i słuchaliśmy Polańskiego (a przybył podobno na tę okazję specjalnie z Paryża zaproszony przez TVP) nagle telewizyjna konwencja zaczęła się sypać. Przejrzeliśmy z niej i banał i sztampa. Starał się podtrzymać te chybione dekoracje po amatorsku zestawione rozmówca pani redaktor, który nie mógł przecież wiedzieć, że należy przełykać grube pochwały i odpowiadać tak, aby było miło i kulturalnie. To Po-

lański przejął inicjatywę, próbował prowokować do polemiki, formułował (jakby chcąc, cucić coraz bardziej onieśmieloną dziennikarkę) opinie o sobie i kinie współczesnym z dezynwolturą artysty nawykłego do słownej szermierki.

Jeśli wspierało się obraz Piwowarskiego kolorytem Himilbacha i dowcipną kokieterią Jana Pietrzaka, tym razem należało się wesprzeć samemu i zrobić „Godzinę z...” sadząc obok siebie paru telewizyjnych profesjonalistów. Ci nie rozmawiali na klęczkach, ci rozmawialiby mądrze.

Porażka Niny Terentiew aż prowokuje do uogólnienia: telewizja, jak bodaj żaden ze środków przekazu, natychmiast obnaża każdy schemat, każdą konwencję i rutynę.

Szkoda więc, że telewizyjny festiwal filmów Romana Polańskiego, choć niepełny, zamknięty taką pointą.

WIT ZAKROTA

TVP

Roman by Terentiew

nych, mniej lub bardziej elitarnych pokazów. Zawsze zjawiały się na naszych ekranach z kilkuletnim opóźnieniem.

Los nadal mitowi Polańskiego wymiary niemal antycznej tragedii. Manson i jego „rodzina”, Sharon Tate oraz rezydenci i goście domu reżysera w Beverly Hills to postaci wydarzeń z jakiegoś niewiarygodnego scenariusza, którego nikt nie ośmielił-

fakty, półprawdy i oczywiste zmyślenia. Pośród wielu story, reportaży i książek istnym kuriozum była książka niejakiego Kiernana, w której głupstwo walczyło o lepsze z taną sensacją. Żeby to jeszcze było dobrze opowiedziane.

Inspirował się famą otaczającą Polańskiego także mój redakcyjny kolega Andrzej Makowiecki pisząc swój kolejny bestseller

wi z fragmentów drukowanych w „Polityce”.

Mit Polańskiego ma jeszcze jeden wymiar — powiedziałbym — profesjonalny i szczególnie kulturowy właśnie u nas. Oto niemal debiutant wyjeżdża z Polski do Ameryki i tam w niedługim czasie zdobywa sławę, uznanie i pieniądze (jakże lubimy słuchać takich opowieści!). Wielu chciałoby się wpisać w

Prawo określające rozpad małżeństwa definiuje 3 tzw. więzi, zerwanie których upoważnia sąd do rozwiązania małżeństwa. Więź psychiczna, erotyczna i materialna. Trudno powiedzieć, która z tych więzi ustąpiła pierwsza w małżeństwie ukazanym w „Życiu wewnętrznym” Marka Koterskiego. Biorąc poważnie wypowiedzi bohaterów można przypuszczać, że żadna z tych więzi nie była nigdy zbyt silna. No, może oprócz ekonomicznej, a zgodnie z polskimi realiami jej podstawą jest mieszkanie. I może nie przypadkiem akcja filmu nie wychodzi poza mieszkanie, blok — mrówkowiec z właściwym sobie (odrapanym i brudnym) kolorytem.

Ale mieszkanie to nie tylko sceneria w której rozgrywa się ten żenujący dramat, to nieformalny bohater filmu. To blok właśnie determinuje poczynania małżonków, obezwładnia.

Spojrzenie do wewnątrz

i ubezwłasnowolnia ich psychikę. Toteż osobowość bohaterów staje się na obraz i podobieństwo bloku, w którym przyszło im żyć — szara i nijaka. Osobowość, która jeśli manifestuje się to w sposób odrażający jak wulgarny.

Rozpad więzi małżeńskich typowej polskiej rodziny. Ale nie jest to kolejny film o znikąd uczuć rodzinnych, o nieudanym małżeństwie. „Życie wewnętrzne” to znakomite studium psychiki ludzkiej, a zarazem jakby paszkwil na takich właśnie „normalnych” mieszkańców bloku, utrzymywany w konwencji tragicomedii. Więc chociaż czasami zabawny przedstawia niemałe wrażenie i gorycz. Bo, czyż to nie film o nas samych?

Życie małżeństwa zgodnie z koncepcją reżysera ograniczone zostaje do niewielkiej przestrzeni (życiowego wybiegu), a operator J. Bławut wykorzystał to znakomicie pozwalając „grać” nawet detalom.

Punktami granicznymi tej przestrzeni są — z jednej strony suszarnia (góra) i parking przed blokiem (dół) poza którą, z jedynym wyjątkiem, bohaterowie nie wychodzą.

Pomiędzy tymi punktami — mieszkanie standardowo urządzone, korytarz, schody. Nawet winda nie pokonuje tej statyki, może poprzez swoją klaustrofobiczną atmosferę staje się miejscem ważnym, ale wyjątkowo niebezpiecznym. Zresztą z całego bloku wieje groza, jego symbolem jest nie zidentyfikowany ukazujący się co rusz wampir.

Przestrzenna ciasnota odbija się w zaciśniętej psychice. Bohaterowie „Życia wewnętrznego” to typy najczęściej neurasteniczne, psychopatyczne, a w najlepszym wypadku apatyczne, których bierność i uległość stają się sposobem na życie. Tytułowe „Życie wewnętrzne” to na ironię życie pływające, zdegradowane przez świat, w którym się poruszają. Świat w którym podstawowym komponentem jest telewizor czy codzienna gazeta.

Ubogie i monotonne życie codzienne składa się z kilkunastu, powtarzających się czynności, jest odbiciem życia wewnętrznego, jeśli takowe w ogóle istnieje. Opierając się na behawiorystycznej metodzie badawczej — a w filmie, w odróżnieniu od literatury, o psychice bohaterów świadczy jednak czyn — można by dojść do wniosku, że życie to znajduje się w znikąd, bądź w stanie głębokiego uspienia. Koterski jednak bezwzględnie obnaża to życie.

Jeśliby jednak porównywać psychikę mał-

żonków, uczciwie trzeba przyznać, że życie męża (Piotr Wysocki) jest bogatsze. Chora — to pewne — ale ciekawsze... Na każdym kroku ujawnia się neurasteniczna osobowość, osobowość, o czym należy pamiętać naszych czasów. Osobowość, która swoje wyzwolenie (realizację) może znaleźć w alkoholu lub w seksie, tak przynajmniej sądzą naukowcy. Wyzwolenie lub chwilowe ukojenie. Chyba że znajdzie jakąś artystyczną rekompensatę (teoria dezintegracji pozytywnej).

Bohater Koterskiego, a dziw, nie pije, choć myśkując po zypie śmietnikowym zbiera butelki po whisky, w ten sposób dowartościowując się? Zostaje więc obsesja seksualna, która swoje spełnienie może znaleźć tylko w marzeniach sennych. Erotyczne wizje produkowane z chorobliwą intensywnością to w zasadzie jedyne domowe zajęcie naszego bohatera. Ale nawet te wizje podobnie jak ubogie życie

wewnętrzne nie wychylają się ponad przeciętność. Są monotonne i ubogie, nawet gdy w głównej roli występuje anioł w seksualnej powłoce Marel Proboz.

Stan depresji psychicznej bohatera pogłębia się. Swoje lęki, brak wyzicia seksualnego odbija sobie na żonie. Zonie skrojonej na miarę bohatera, nieciekawej i apatycznej, zagraniej wspaniale, acz dyskretnie przez Joannę Sienkiewicz. Małżeńskie rozmowy, życie rodzinne, które dzięki autorom podpatrujemy przypominają absurdalny teatr Różewicza, Ionesco... Słowa tutaj nie już nie znaczą, każdy w zasadzie mówi do siebie i o sobie. To objawy hipochondrii... Jeśli ktoś zostaje wysłuchany, to nie znaczy że zrozumiany... I choć małżonek zdegradowany swoją samotnością jest w stanie skumpłować się (pobrać — używając określenia Gombrowicza) i w tym geście widać fałsz. Fałsz sfrustrowanego inteligenta.

Wydawałoby się, że mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową, ale czyż życie wewnętrzne przeciętnej polskiej rodziny tak wiele się różni od tego pokazanego w filmie?

Wystarczyłoby tylko „przeświecić” zwykły blok i życie jego mieszkańców, czyż nie upływa ono w nudzie i w pustce, przed którą często nie można się obronić. Pustka, którą zabija się pogonią za pieniędzmi, perwersją seksualną, a najczęściej topi w alkoholu. To niepokojąca diagnoza Koterskiego. Zwykły mieszkaniec, zwykły blok. Jeśli tak, jaki bóg, jaka religia nie pozwala im oszaleć do końca?

JACEK MACIASZEK

„ŻYCIE WEWNĘTRZNE” Reż. MAREK KOTERSKI, zdj. JACEK BŁAWUT, wyk. WOJCIECH WYSOCKI, JOANNA SIENKIEWICZ, prod. Studio Filmowe im. K. Irzykowskiego.

„Trudno ich lubić”

Rozmowa z MARKIEM KOTERSKIM, reżyserem i scenarzystą.

— Przyjął pan na siebie rolę prześmiewcy ludzkich słabości, przyzwyczajęń i ułomności, a filmy „Dom wariatów” i „Życie wewnętrzne” są tego najlepszym potwierdzeniem. Posądzam pana o złośliwość.

— Określenie złośliwość wywołuje we mnie naturalny sprzeciw. Wobec kogo jestem złośliwy?

— Rzucił pan wyzwanie wszystkim widsom niezależnie od ich poziomu wykształcenia, zarzucając im nijakos. Z przeciętnością budował pan dokuczliwy obraz szarej egzystencji ludzkiej w niespotykanej formie. Podniósł pan problem wstydliwie przemilczany przez innych twórców.

— To tylko połowa prawdy. Przede wszystkim złośliwy jestem wobec siebie samego. Autoironia pozostaje decydującą cechą mojej twórczości.

— Czy to nie kokieteria? Trudno byłoby znaleźć w pana filmach odniesienia do pańskich doświadczeń życiowych.

— Nie zamierzałem sztydzić z innych ludzi. Opisałem tylko jednostkowy przypadek mężczyzny chorego na agresję, brak miłości, na poczucie niesrealizowania siebie, chorego na przewlekły stres i pretensje do całego świata. Wdził pani, ja traktuję sztukę jako narzędzie poznania. Pokazując ekstremalną sytuację staram się razem z aktorami dowiedzieć — flu tak naprawdę stoi nas w jednym szeregu...

Długo myślałem: czy to moje kino nie jest przypadkiem bardzo prywatnym zaskatowaniem własnych problemów... Byłem przekonany, że zrobiłem film o garście ludzi, że jest to przypadek wręcz patologiczny. mogący zainteresować jedynie psychiatrów. Przeżyłem prawdziwy szok po zrealizowaniu „Życia wewnętrznego”, że tak wielu ludzi identyfikuje się z moimi bohaterami.

Prostych odniesień do mojego życia faktycznie brak, ale musiałem zrobić ten film, żeby rozwiązać swój własny problem. Ja zawsze chciałem być kimś, kimś ważnym. Intensywnie pracowałem nad sobą i baczenie obserwowałem innych. Notowałem zaskakujące dialogi, które porażały mnie swą absurdalnością, powtarzalnością, oczywistością komunalną, który często wypowiadamy z zaangażowaniem godnym monologu Hamleta np. gdy mówimy „ale po obiedzie, to ja muszę zjeść coś słodkiego” — tak, jak by chodziło o „być albo nie być”. Moje uwarunkowania na tego typu spostrzeżenia wynikają z samoobrony przed bylejakością w życiu. Nieustannie czułem obcość wobec tych wszystkich dialogów. Ciągłe brzmiały mi w uszach. Nie mogłem się od nich uwolnić. Tak więc musiałem się z tym problemem rozprawić w filmie. Sztuka powinna podejmować problemy trudne do zdefiniowania. Poprzez ich pokazanie możemy wspólnie dowiedzieć się czym są w istocie. Ich wyartykułowanie ujawnia jałowość i ubóstwo naszych myśli, zachowań, odczuć. A to trudno nazwać kokieterią.

Poza tym dotknęła pani ważnej sprawy w swym pytaniu: obydwa moje filmy na pewno dzielą widzów, ale nie według poziomu wykształcenia. Podział ten wynika z zebranych doświadczeń życiowych. Publiczność dzieli się na takich, którym poruszane problemy są bliskie i takich, dla których są obce. Jeden z moich kolegów po objeździe „Domu wariatów” powiedział: „wybacz stary, ale ja miałem inne dzieciństwo, ja tego filmu nie rozumiem”.

— Dlaczego bohater filmowy z „Życia wewnętrznego” jest tak bardzo agresywny i zniewolony wizjami erotycznymi?

— Proszę pani, a jak może być inaczej? Dom w którym żyje Michał pozbawiony jest uczucia miłości czy choćby życzliwości, wieje stamtąd chłodem. Takie życie nie przynosi satysfakcji. Między małżonkami nie ma żadnej więzi ani psychicznej, ani fizycznej. Jedynie łączy ich mieszkanie, wspólna przestrzeń, w której żyją obok siebie, bo nie ma innego wyjścia w dobie kłopotów mieszkaniowych, jakie są udziałem większości społeczeństwa naszego kraju — mówi o tym sam bohater w jednej ze scen. Jego wizje erotyczne są także uzasadnione i normalne, bowiem sfera erotycznych doznań człowieka jest jedną z podstawowych dziedzin w życiu każdego z nas, a tym bardziej człowieka niezapokojonego, zestresowanego tym, że sam nie kocha i że nie jest kochany, że się dusi w betonowej szufladzie, że się dusi w tym kraju, że brak mu powietrza do oddychania zarówno w węższym, jak i szerszym kontekście życia społecznego. I tak skutek staje się przyczyną.

Naukowo zostało udowodnione, że kiedy człowiek ma nadwzrężony system nerwowy, to zwiększa się jego pobudliwość i aktywność seksualna. Michał nie mogąc znaleźć zaspokożenia w ramionach żony ucieka w marzenia erotyczne.

— Pańscy bohaterowie są pozbawieni przeszłości, doświadczeń zawodowych. Obraz rodziny okrojony został do życia domowego. Dlaczego?

— Moi bohaterowie nie są ukazani w procesie, tylko w pewnym stanie. Statyczność sytuacji nie ulega zmianie, ale poddaje się nasyceniu kolejnymi dolegliwościami. Moja wrażliwość kończy się z chwilą zaprezentowania pewnego stanu. Nie czuję się kompetentny do stawiania diagnozy, dlatego tak jest. To zadanie jest ponad moje siły, ja tylko alarmuję, że jest taka sytuacja.

— Czy lubi pan swoich bohaterów?

— Nie, trudno ich lubić. Ja im głęboko współczuję, cierpię razem z nimi, czuję się winny...

— Czy ma pan ochotę dać im w przyszłości jakąś szansę?

— Nie wiem, być może...

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Polska ani się spostrzegła, jak została od południa, zachodu i północy okrążona przez szyskujące się coraz wyraźniej do agresji Niemcy. Wojna wisiała w powietrzu. Na nic zdążyła się ustępstwa Anglii i Francji, których celem miało być „ugłaskanie” szalejącego Führera III Rzeszy — Adolfa Hitlera. Rząd ZSRR wysuwał hasło zbiorowego bezpieczeństwa. W dniach od 12 do 20 sierpnia 1939 roku toczyły się w Moskwie rokowania z przedstawicielami Anglii i Francji, które nie przyniosły rezultatu. Polska nie zgadzała się na to, aby przez swoje terytorium przepuścić wojska radzieckie, a ZSRR nie miał wspólnej granicy z Niemcami i nie mógł prowadzić w takiej sytuacji działań wojennych przeciw Niemcom. Zamiast porozumień z Anglią i Francją Związek Radziecki 23 sierpnia 1939 roku podpisał pakt o nieagresji z hitlerowskimi Niemcami — tak zwany „Pakt Molotow—Ribbentrop”.

Na czele delegacji radzieckiej stał marszałek Klimient Woroszyłow.

On też udzielił wywiadu przedstawicielowi „gazety „Izwestia”, w którym powiedział między innymi:

— „Nie dlatego przerwano rozmowy wojskowe z Anglią i Francją, że ZSRR zawarł układ o nieagresji z Niemcami, lecz przeciwnie: ZSRR zawarł pakt o nieagresji w wyniku tej min. okoliczności, że rozmowy wojskowe z Anglią i Francją znalazły się w ślepej uliczce wskutek nie dających się pokonać różnic w poglądach”.

W wywiadzie tym Klimient Woroszyłow wyjaśnił, że jednym z powodów, dla których nie udało się nawiązać współpracy wojskowej z Anglią i Francją była postawa Polski, która nie godziła się udostępnić swego terytorium. Po podpisaniu „Paktu Molotow—Ribbentrop” 23 sierpnia 1939 roku, w dwa dni później przedstawiciele Anglii i Francji złożyli wizytę Klimientowi Woroszyłowowi, pytając, czy w zmienionych warunkach jest jeszcze sens prowadzenia jakiegokolwiek pertraktacji? Na to Klimient Woroszyłow powiedział:

— „W nowej sytuacji politycznej kontynuowanie rozmów nie miałooby żadnego sensu”.

I dodał:

— „Przez cały czas naszych rokowań prasa i społeczeństwo polskie ustawicznie stwierdzały, że nie pragną pomocy od ZSRR, a że strony Rumunki odpowiedzi nie było w ogóle. Czyż mieliśmy najpierw zdobyć Polskę, by jej móc zaoferować swoją pomoc, lub prosić ją na kolana, by tej pomocy od nas przyjęła? Sytuacja była dla nas nie do przyjęcia”.

W tym czasie marszałek Klimient Woroszyłow był ludowym komisarzem obrony ZSRR oraz przewodniczącym Głównej Rady Wojennej ZSRR.

„7 listopada 1939 r. — pisał Maria Turlejska w książce „Prawdy i fikcje” — marszałek Woroszyłow przemawiał w czasie deflady w XXII rocznicę Rewolucji Październikowej. Mówił, że Armia Czerwona niespodziewanie łatwo wypełniła swe zadanie usunięcia z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi wojsk byłej, pańskiej Polski. Armia Czerwona spełniła swe zadanie: zapewnił pokój, a w razie wojny — pewne zwycięstwo. Wielkie szczęście, że dzięki dalekowszecznej polityce zagranicznej rządu naród radziecki uniknął wojny.”

A jednak ZSRR wypowiedział wojnę Finlandii w trzy tygodnie później.

Wojna ta trwała od 30 listopada 1939 roku do 12 marca 1940 roku. „Wojna w Finlandii — stwierdził marszałek Georgij Żukow — wykazała Hitlerowi słabość naszej armii. Jednocześnie to samo — Stalinowi. Był to efekt lat 1937—1938 i to najbardziej przynębiający”.

Georgija Żukowa uznano za dowódcę, który nie przegrał żadnej bitwy.

Urodził się w 1896 roku. Był uczestnikiem wojny domowej. W 1939 roku został mianowany dowódcą wojsk radzieckich walczących w niewypowiedzianej wojnie z Japonią. Do SDPRR(b) wstąpił w 1919 roku. W latach 1953—1956 był członkiem KC KPZR, a w latach 1956—1957 zastępcą członka Prezydium KC KPZR. Był bohaterem II wojny światowej. Wysłany przez Józefa Stalina na najbardziej niebezpieczne i zagrożone odcinki frontów. Był jego formalnym zastępcą, ale właściwym reżyserem wielu zwycięstw Armii Radzieckiej. Po wojnie Ławrientij Beria usiłował zorganizować prowokację przeciw Georgijowi Żukowowi. Obronił go — z niewiadomych powodów — Józef Stalin. Nikita Chruszczow przyznał, że Józef Stalin wielokrotnie wypytawał go o ocenę Georgija Żukowa. Można sądzić, że bał się go, aby nie zaciął jego wielkości. Na tej zasadzie właśnie Ławrientij Beria szykował prowokację przeciw Georgijowi Żukowowi.

W latach II wojny światowej marszałek Georgij Żukow dowodził we wrześniu i październiku 1941 roku Frontem Leningradzkim, od października 1941 do marca 1942 Frontem Zachodnim, od marca 1944 do maja 1944 i Frontem Ukrainskim, a od września 1944 do maja 1945 i Frontem Białoruskim. 8 maja 1945 roku przyjął w Berlinie bezwarunkową kapitulację III Rzeszy. Do 1946 roku był głównodowodzącym wojsk lądowych i zastępcą ministra obrony ZSRR. W tym roku został dowódcą Odeskiego Okręgu Wojskowego i funkcję tę pełnił do 1953 roku. W latach 1955—1957 był ministrem obrony ZSRR. Zmarł w 1974 roku.

Na początku maja 1940 roku Georgij Żukow został odwołany z Mongolii i stał się w Moskwie przed Józefem Stalinem i towarzyszącymi mu wojskowymi i członkami Biura Politycznego KC WKP(b). Wyszuchawszy relacji z walk w Mongolii Józef Stalin powiedział do Georgija Żukowa:

— „Teraz już macie dostateczne doświadczenie bojowe, obejmiecie więc Okręg Kijowski i wykorzystujecie to doświadczenie w szkoleniu wojsk”.

Georgij Żukow zapytał wówczas Józefa Stalina:

— „Jak należy rozumieć absolutnie pasywny charakter wojny na Zachodzie i jak przypuszczalnie będą się w najbliższym czasie rozwijać tam wydarzenia na frontach?”.

Stalin na to odpowiedział, uśmiechając się:

— „Rząd francuski z Daladierem na czele i rząd angielski kierowany przez premiera Chamberlaina nie zamierzają wniknąć się w poważną wojnę z Hitlerem. Wciąż jeszcze żywią nadzieję, że uda się im nakłonić go do wojny ze Związkiem Radzieckim. Zrezygnowali w 1939 roku z utworzenia wspólnie z nami bloku antyhitlerowskiego, by nie wiązać Hitlerowi rąk w przygotowaniu agresji na nasz kraj. Ale nic z tego nie wyjdzie. Sami będą musieli zapłacić za krótkowzroczną politykę”.

Wszystko wskazuje na to, że Józef Stalin ciągle jeszcze uważał Anglię za głównego wroga ZSRR, gdy tymczasem sojusznik od 23 sierpnia 1939 roku miał niespodziewanie zadać silny cios.

„Kiedy po fińskich wydarzeniach — uzupełniał swoje wspomnienia Georgij Żukow — zostałem wezwany z Chalcin-goł i wyznaczony na dowódcę Kijowskiego Okręgu Wojskowego, Stalin rozmawiał ze mną, bardzo ostro wyraził się o Woroszyłowcie: — Chwalisz się, zapewniał, twierdził, że na uderzenie odpowiem potężnym uderzeniem, że wszystko jest dobrze, wszystko w porządku, wszystko gotowe towarzyszu Stalin, a okazało się...”.

12 marca 1940 roku podpisano umowę pokojową. Ze strony radzieckiej podpisali ją: Władysław Molotow, Andriej Żdanow i Aleksander Wasilewski, a ze strony fińskiej premier Risto Rytty, minister Juho Paasilin, generał Rudolf Walden i profesor Väinö Voionmaa. Do ZSRR przyłączył Przesmyk Karelski z Wyborami oraz zachodnie i północne wybrzeże jeziora Ładoga i wyspy w Zatoce Fińskiej. Półwysp Hanko został wydzielony ZSRR na 30 lat dla zbudowania tam bazy wojenno-morskiej. Tranzyt przez Petsamo do Norwegii miał być zwolniony od cła.

„W wyniku wojny radziecko-fińskiej — pisał w książce „Prawdy i fikcje” Maria Turlejska — ujawnione zostały poważne braki armii radzieckiej w przeprowadzeniu operacji bojowych, wykorzystaniu techniki i w organizacji współdziałania rodzajów wojsk”.

Ze stanowiska ministra obrony ZSRR odszedł Klimient Woroszyłow, a jego miejsce zajął

marszałek Siemion Timoszenko.

Urodził się Siemion Timoszenko w 1895 roku. Był uczestnikiem wojny domowej. Dowodził 2 Dywizją Kawalerii. Do RKP(b) wstąpił w 1919 roku. W 1922 roku ukończył Wyższe Akademickie Kursy Wojskowe, a w 1930 kursy dla samodzielnych dowódców przy Akademii Wojskowo-Politycznej. W wojnie z Finlandią dowodził Frontem Północno-Zachodnim. Ludowym komisarzem obrony został w maju 1940 roku i pełnił tę funkcję do 19 lipca 1942 roku, kiedy zastąpił go Józef Stalin.

W wojnie niemiecko-radzieckiej dowodził od 2 lipca 1941 roku Frontem Zachodnim i Kierunkiem Zachodnim, a od września 1941 roku Kierunkiem Północno-Zachodnim, a w kilka dni później objął dowodzenie Frontu Północno-Zachodniego. W lipcu 1942 roku dowodził Frontem Stalingradzkim, a w sierpniu Frontem Północno-Zachodnim. Na Froncie Stalingradzkim zastąpił go gen. Wasilij Gordow.

Był przedstawicielem Kwatery Głównej Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych ZSRR przy 2 i 4 Froncie Ukrainskim. Po wojnie stał na czele różnych okręgów wojskowych, a w 1960 roku został mianowany jednym z generalnych inspektorów Ministerstwa Obrony ZSRR. Był później przewodniczącym Radzieckiego Komitetu Weteranów Wojny. Zmarł w 1970 roku.

Klimient Woroszyłow w 1940 roku został jednym z zastępców przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych (Rady Ministrów) i przebrał na tym stanowisku do 1953 roku.

Następnego dnia po wybuchu wojny powołana została Kwatery Główna Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych ZSRR, w jej skład 23 czerwca 1941 roku weszli: Siemion Budionnyj, Nikołaj Kuźniecow, Władysław Molotow, Siemion Timoszenko, Józef Stalin, Klimient Woroszyłow, Georgij Żukow. Klimient Woroszyłow był też członkiem Państwowego Komitetu Obrony.

10 lipca 1941 roku Kwatery Główna powołała naczelne dowództwo Kierunku Strategicznego Północno-Zachodniego, na jego czele stanął Klimient Woroszyłow. Jego zadaniem była koordynacja działań Frontów Północnego i Północno-Zachodniego.

Nie wywiązał się należycie z tego zadania.

Na początku września 1941 roku Józef Stalin wezwał do Moskwy Georgija Żukowa. Oto jak on opisał te wydarzenia w swoich „Wspomnieniach i refleksjach”:

Co Roy Miedwiediew napisał o Klimientu Woroszyłowcie w książce „Wszyscy ludzie Stalina” (2)

Marszałkowie

WITOLD BOROWY

„Uważnie przyglądał się mapie z sytuacją pod Leningradem. Wszyscy siedzieli milcząc. Wreszcie Stalin oderwał się od mapy i zwracając się do mnie powiedział:

— Jeszcze raz przedyskutujmy położenie pod Leningradem. Nieprzyjacieli zagarnął Szlisselburg, a 8 września zbombardował Badajewskie Magazyny Żywnościowe. Straciliśmy duże zapasy żywności. Nie mamy z Leningradem łączności drogą lądową. Mieszkańcy miasta znaleźli się w ciężkiej sytuacji. Z północy na Przesmyk Karelskim nacierają wojska fińskie, a niemieckie jednostki Grupy Armii „Północ”, wzmocnione 4 grupą pancerną, prą do Leningradu od południa.

Naczelny dowódca chwilę milczał i znów powrócił do mapy. Któryś spośród obecnych członków Komitetu Obrony Państwa zauważył:

— Referowaliśmy towarzyszowi Stalinowi, że mamy wątpliwości, czy dowództwo Frontu Leningradzkiego zdoła poprawić powstającą tam sytuację.

Stalin spojrzął krytycznie na mówiącego, ale nadal milczał. (...) — Będziecie musieli wylecieć do Leningradu i przejąć od Woroszyłowa dowodzenie Frontem i Flotą Bałtycką.

Proponując to całkowicie mnie zaskoczyło, ale odpowiedziałem, że jestem gotów wykonać zadanie.

— To dobrze — skosztował naczelny dowódca. — Mieście na uwadze, że w Leningradzie będziecie musieli przełączyć nad jeziorem Ładoga, które znajduje się pod kontrolą lotnictwa niemieckiego.

Później Stalin w milczeniu wziął ze stołu swój notatnik i zamasyżował coś napisał. Złożył wyrwaną kartkę i podał mi ją do ręki, mówiąc:

— Tę kartkę proszę wręczyć osobiście towarzyszowi Woroszyłowowi.

Kartka skierowana do Woroszyłowa zawierała polecenie: „Przeładźcie dowodzenie Frontem Żukowowi, a sami natychmiast przyłajcie do Moskwy”.

Z kolei Stalin rzekł:

— Rozkaz Kwatery Głównej w sprawie wyznaczenia na stanowisko zostanie wydany po waszym przybyciu do Leningradu. Zrozumiałem, że za tymi słowami kryje się obawa o powodzenie naszego przelotu”.

10 września 1941 roku z podmoskiewskiego lotniska wystartował samolot, na pokładzie którego udawali się do Leningradu Georgij Żukow oraz generałowie M. Chozin i I. Fieduninski. Wyładowali szczęśliwie w Leningradzie i udali się do Smolnego, gdzie obradowała Rada Wojenna Frontu Leningradzkiego. Po perypetiach z wartownikami, gdyż przybywszy z Moskwy nie mieli przepustek, dostali się wreszcie do Smolnego.

„Przy wejściu do Smolnego powitał nas przedstawiciel dowódcy Frontu — wspomina Georgij Żukow.

— Gdzie jest towarzysz Woroszyłow? — zapytałem.

— Prowadzi posiedzenie rady wojennej Frontu, towarzyszu generale armii.

— Kto tam jest obecny?

— Niektórzy dowódcy armii i szefowie rodzajów wojsk, dowódcy Floty Bałtyckiej, a także dyrektorzy najważniejszych instytucji i przedsiębiorstw państwowych.

Weszliśmy na pierwsze piętro do gabinetu dowódcy Frontu. W dużym pomieszczeniu przy nakrytym czerwonym suknie stole siedziało około dziesięciu osób. Przywitał nas z Klimientem Woroszyłowem i Andriejem Żdanowem, poprosił, by zezwolono mi pozostać na posiedzeniu. Po pewnym czasie wręczył Woroszyłowowi kartkę od Stalina. Muszę się przyznać, że czyniłem to z dużym wewnętrzny niepokojem. Marszałek przeczytał notatkę w milczeniu i z lekkim skłnieniem głowy podał kartkę Żdanowowi, kierując nadal posiedzeniem”.

Po powrocie do Moskwy Klimient Woroszyłow, jako członek Państwowego Komitetu Obrony i Kwatery Głównej, wizytował wojska Frontu Rezerwowego i Frontu Zachodniego. Oba te Fronty 10 października 1941 roku połączono w jeden Front Zachodni.

„Po niepowodzeniach w Leningradzie — pisał Roy Miedwiediew w książce „Wszyscy ludzie Stalina” — i usunięciu ze stanowiska mianowano Woroszyłowa we wrześniu 1942 roku głównodowodzącym ruchu partyzanckiego. Im dalej oddziały Armii Radzieckiej przedzierały się na zachód, tym mniej Woroszyłow uczestniczył w rozwiązywaniu problemów wojskowych. Np. w 1944 r. był szefem komisji, której obowiązki polegały na przygotowaniu nowego hymnu”.

Nie jest to zbyt ściśle, gdyż w styczniu 1943 roku marszałek Klimient Woroszyłow znów był w Leningradzie i koordynował działania Frontu Leningradzkiego i Frontu Wolchowskiego. 12 stycznia 1943 roku rozpoczęła się ofensywa, w wyniku której przerwano blokadę Leningradu. Operacjami obu Frontów: Leningradzkiego i Wolchowskiego kierowali między innymi Klimient Woroszyłow i Georgij Żukow.

W styczniu 1945 roku natomiast marszałek Klimient Woroszyłow w imieniu rządów USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR podpisał

rozejm z Węgrami. Ze strony Węgier, w imieniu Tymczasowego Rządu Narodowego rozejm ten podpisał: minister spraw zagranicznych Janos Gyöngyösi, minister obrony Janos Vörös i sekretarz w urzędzie premiera Istvan Balogh. Później marszałek Klimient Woroszyłow pełnił obowiązki przewodniczącego Sojuszniczej Komisji Kontroli na Węgrzech.

W 1953 roku został wybrany przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i stanowisko to piastował do 1960 roku.

Po śmierci Stalina.

sytuacja znacznie się zmieniła. „Zaraz po śmierci Stalina — pisał Roy Miedwiediew — Woroszyłow wziął udział w naradzie osób zajmujących najwyższe stanowiska w partii i w państwie, na której mówiono o podziale władzy. Na stanowisko szefa państwa radzieckiego — przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej wybrano Woroszyłowa. Woroszyłow poparł Malenkowa i Chruszczowa przy odsunięciu Berii.

Lecz Woroszyłowowi i Chruszczowowi nie udało się pracować wspólnie i zgodnie”.

Nikita Chruszczow chyba niezbyt ufał Klimientowi Woroszyłowowi, gdyż w materiałach XX Zjazdu KPZR można znaleźć takie oto stwierdzenie:

„Stalin bardzo lubił oglądać film „Niezapomniany rok 1919”, w którym pokazano go na stopniach pociągu pancernego i niemal że szablą rażącego wrogów. Niechaj Klimient Jefremowicz, nasz drogi przyjaciel, zdobędzie się na odwagę i napisze prawdę o Stalinie, przecież on wie, jak Stalin wojował. Towarzyszu Woroszyłow! ciężko będzie oczywiście zabrać się do tego, ale byłoby dobrze, gdyby to zrobił. Wszyscy zaaprobują, i naród, i partia. I wnuki będą mu wdzięczne za to”.

Ale Klimient Woroszyłow jakoś nie zabrał się do tego. Nic przynajmniej mi o tym nie wiadomo.

Również Józef Stalin nie ufał mu. Był taki okres, kiedy zabronił mu przychodzić na posiedzenie Biura Politycznego KC KPZR, zabronił dostarczać mu materiały przygotowane na posiedzenie tego Biura. Gdy Klimient Woroszyłow dowiedział się o posiedzeniu, dzwonił do Józefa Stalina i pytał, czy może przyjść. Raz Józef Stalin mu zezwalał, innym razem nie.

„Woroszyłow w latach pięćdziesiątych — pisał Roy Miedwiediew — coraz bardziej popadał w niełaskę na „dworze” Stalina. Na pewnym posiedzeniu Biura Politycznego, po wojnie, rozpatrywano problem rozwoju marynarki wojennej. Kończąc dyskusję, Stalin zaakceptował opinię większości i przytoczył własne argumenty. Jednak nie tylko odrzucił propozycję Woroszyłowa, lecz jeszcze dodał:

Nie rozumiem, dlaczego towarzysz Woroszyłow chce osłabić radziecką marynarkę wojenną.

To złowrobbne zdanie Stalin powtórzył jeszcze dwa razy. Po sebraniu jego uczestnicy na wezwanie Stalina poszli oglądać film „Światła wielkiego miasta”, który Stalin obejrzał już ponad dziesięć razy. W niewielkiej sali projekcyjnej stały stoliki z przekąskami. Nikt z obecnych nie siadł do stolika z Woroszyłowem — siedział sam. Gdy po projekcji zapaliło się światło, Stalin odwrócił się i ujrzał osamotnionego Woroszyłowa. Wstał nagle, podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Ławrientiu — zwrócił się do Berii — musimy lepiej troszczyć się o Woroszyłowa. Mało mamy takich starych bolszewików, jak Klim Woroszyłow. Musimy mu stworzyć jak najlepsze warunki.

Wszyscy milczeli, gdyż trudno było zrozumieć, dlaczego Stalin z tymi słowami i propozycją „troski” o Woroszyłowa zwrócił się właśnie do Berii. Stalin nie tylko dystansował się od Woroszyłowa, lecz niezliczoną ilość razy wyrażał mu w obecności innych członków KC nieufność polityczną, a niekiedy oświadczał, że Woroszyłow jest — angielskim szpiegiem”.

Te niedorzeczności potwierdził Nikita Chruszczow. Powiedział on mianowicie:

— „Wskutek swej skrajnej podejrzliwości Stalin posunął się aż do tak niedorzecznej i śmiesznej podejrzliwości, że Woroszyłow jest agentem angielskim. Tak jest, agentem angielskim. I u niego w domu zainstalowano specjalny aparat do podsłuchiwania jego rozmów”.

W czerwcu 1957 roku.

Nie wszyscy byli towarzysze i współpracownicy Józefa Stalina byli zadowoleni z rządów Nikity Chruszczowa. Potępiony został kult jednostki i jego następstwa. Nie wszyscy czuli się bezpiecznie, gdyż i na nich spadała jakaś część winy za czyny popełniane w czasach „panowania” Józefa Stalina. W referacie wygłoszonym podczas uroczystości siedemdziesięciolecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej Michaił Gorbaczow powiedział między innymi:

„Dużę odwagi wymagały od partii pod kierownictwem N. Chruszczowa krytyka kultu jednostki i jego konsekwencji, a także przywrócenie praworządności socjalistycznej”.

Nie wszystkim starczyło tej odwagi. I tak w czerwcu 1957 roku Władysław Molotow wspólnie z Georgijem Malenkowem i Łazarzem Kaganowiczem oraz Nikołajem Bulganinem, który w tym czasie był premierem, wystąpił na plenum KC KPZR przeciw Nikicie Chruszczowowi. Przyłączył się do nich też marszałek Klimient Woroszyłow.

„Jednak — pisał Roy Miedwiediew — Woroszyłow nie był zbyt wiernym sojusznikiem Molotowa i Malenkowa. Kiedy przekonał się, że Plenum nie poprze decyzji swego prezydium, stanął ponownie po stronie Chruszczowa i w swym przemówieniu na plenum zdecydowanie potępił swych niedawnych sojuszników”.

W komunikacie o grupie antypartyjnej nie wymieniono więc jego nazwiska i pozostał nadal przewodniczącym Prezydium Najwyższej Rady ZSRR.

„Jego praca na tym stanowisku — pisał Roy Miedwiediew — nie wyróżniała się ani blaskiem umysłu państwowego, ani wyistnieniem z jakiegokolwiek intencją. Lecz ludzi, którzy go znali, potrafili czasem zażwiżyć jego — nigdy dotąd nie ujawniające się — skąpstwo. Woroszyłow jakoś nigdy nie chciał przekazywać do skarbu państwa drogocennych podarków, które często otrzymywał jako szef państwa w czasie swoich wizyt za granicą lub z okazji przyjazdów szefów innych państw do ZSRR. Starał się możliwie najwięcej darów zatrzymać dla siebie”.

W nagrodę za lojalność został delegatem XXII Zjazdu KPZR i brał udział w pracach roboczego prezydium zjazdu. Był wielokrotnie krytykowany. „Miał okazję — pisał Roy Miedwiediew — ustyszczyć wiele zarzutów nie tylko pod adresem swoich niedawnych towarzyszy, lecz także pod swoim własnym. Już w sprawozdaniu Chruszczow, mówiąc o antypartyjnej, frakcyjnej grupie i wyliczając jej alijnych uczestników, wymienił nazwisko Woroszyłowa. Niemal wszyscy mówcy wspominali Woroszyłowa, wymieniając członków „grupy antypartyjnej”.

W czasie przemówień Woroszyłow wiercił się nerwowo. Wstał, siadł, potem gwałtownie rzucił jakiś notatnik, opuścił miejsce przydziału roboczego zjazdu i wyszedł z sali. Lecz nazajutrz był na zjeździe i słuchał wystąpień, w których wspomniano często i jego nazwisko”.

Po przejęciu władzy przez Leonida Breżniewa, Klimient Woroszyłow powrócił na polityczną widownię. Na XXIII Zjeździe KPZR w 1966 roku został wybrany ponownie członkiem KC KPZR. W gazetach i czasopiśmie pojawiły się artykuły o nim, a także fragmenty jego wspomnień.

Zmarł 3 grudnia 1969 roku. Pochowany został z honorami należącymi się marszałkowi ZSRR pod krematorium murem. Miasto Ługańsk, gdzie Klimient Woroszyłow zaczynał swoją pracę zawodową jako robotnik w fabryce parowozów i swoją działalność polityczną, ponownie zostało przekształcone w Woroszyłowgrad.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

14 stycznia — **BOGDA MADEJ** — godz. 10—16
21 stycznia — **EUGENIUSZ IWANICKI** —
godz. 10—16

W nowym roku wszystko po staremu. Na osiedlu Zarzewska-Radomska trzeźwi walczą z pijanymi, którzy biją się w sklepie, przed sklepem i wewnątrz na klatkach schodowych. Pawilon tuż przy bloku nr 53 też — jak nas informuje czytelniczka (nazwisko do wiadomości redakcji) — obywatelka gospodarz domu stoi w kolejce po tani alkohol i zamiast sprzątać, prowadzi melinę i awanturuje się, gdy jej rada osiedlowa nie daje opiewu na premię. Kiedyś dyżurował tam dzielnicowy, teraz jest specjalne pomieszczenie dla dyżuranta, ale dzielnicowego nie ma.

Pani IRENA AUGUSTYNIAK donosi, że z ulicy Lokatorskiej przeniesiono do lepszych pomieszczeń na ulicy Myśliwskiej 9, poradnię „D” oraz stomatologiczną. Lokal dobry, ale bez przerwy leje się woda, żeby była ciepła, maszynę się psują, nie ma ich czym naprawić i dr. Bałkowska zaleca ręce, bo terminy przyjęć wydłużają się, a ludzie cierpią na zęby. A jak ktoś zostanie przyjęty późnym wieczorem, to musi wrócić w ciemnościach przez park z obawą.

Mówi się coraz więcej o zachowaniu pokoju i rozbrojeniu i pan M. K. pragnie anonimowo przyłączyć się do dyskusji. Stwierdza mianowicie, że taki np. inżynier elektroniki, zdolny, nagradzany medalami za studia, naśladowany wiedzą, mógłby zrobić coś dobrego dla kraju, bo w II etapie reformy tacy ludzie bardzo potrzebni są gospodarce. Tymczasem tuż po studiach młodzi ludzie z inwencją idą na rok do wojska, wylaczają się z postępu technologicznego. Obronność kraju jest sprawą świętą, toteż pan M. K. postuluje, aby takich młodych zdolnych braci, jak dawniej, na 6-tygodniowe przeszkolenie wojskowe i nikt by na tym nie stracił.

Po staremu, zgodnie ze wzmianką tytułową w naszej rubryce telefonicznej, ludzi szlag trafia. Pana J. T., mężczyźnię starszego wiekiem i znającego się na włókiennictwie, szlag trafił po wejściu do sklepu włókienniczego na ul. Piotrkowskiej przy pasażu Schillera (na wprost „Desy”). Zobaczył tam materiał na jesionkę za jedyną 9050 zł metr. Z szyciem taka jesionka kosztowałaby ponad 40 tys. zł. Tymczasem trzy miesiące temu pan J. T. kupił na Widzewie przy ul. Puskina materiał o wiele lepszy w cenie 3450 zł metr. Panu J. T. nie podoba się takie wchodzenie w reformę i uważa, że rozbieżność cenowa winna: się zażądać federacja konsumentów.

Natomiast pana ZDZISŁAWA MADEJA szlag trafił na rogu Piłkowskiej i Tuwima. Nie dlatego, że remontuje się tam były „Dom obuwia” i zastawia plotem arkady. Położono drewniany chodnik dla pieszych, p. Madej chodził, deski się nie ugięły, a tu nagle przybijają do nich kolejną warstwę nowiutkich desek, prosto z tartaku. Pan Madej szkuje akurat mieszkanie, listwy nie może dostać, więc krew go zalewa na takie marnotrawstwo.

W styczniu pani JANINA CERAN wspomina z bólem serca lipcowy urlop w Bułgarii. Zapłaciła 50 tys. za dwa tygodnie, na pociąg wydała 10 tys. i zamiast w obiecany przez warszawski „Almatu” Słonecznym Brzegu wylądowała w Burgas, gdzie przemysł, chemia, zapalenie itp. Zamieszkała w hotelu, we dwie osoby w pokoju jednociesobowym, a gdy nie chcieli przyjąć trzeciej osoby, straszono ich milicją. Gościnni Bułgari obiecali zwrócić znaczną część kosztów, ale do dziś tak się nie stało i łódzki „Almatu” nie wie, jak to się skończy.

Na początku listopada ub. roku przy ul. Zielnej 7 na Bałutach nastąpił wybuch gazu. Wszyscy lokatorzy mieli poskładać wnioski o przeniesienie do nowych mieszkań. Nowe mieszkanie w blokach dostał recydywista, który wkrótce zmarł. A na I piętrze zostali dwie rodziny i chora psychicznie starszuszka, która nie chce się stamtąd ruszyć. Jedno z mieszkań o pow. 23 m kw. zajmuje pani KRYSTYNA BUKOWSKA z czterociesobową rodziną. Uratowała mieszkanie przed wilgocią i grzybem, ale męczy się w ciasnocie i nie może korzystać z gazu, bo tego drugo jeszcze chyba nie będzie. Czy to jest sprawiedliwe i co na to naczelnik dzielnicy, p. Rogowski?

Są także pomysły innowacyjne niezwykle cenne w II etapie reformy. Otóż kiedy w środkach masowego przekazu zaczęto bić na alarm, że azbest szkodzi, spółdzielnia mieszkaniowa w Aleksandrowie zaczęła na gwałt ocieplać bloki. Kiedy wyszedł zakaz używania płyt azbestowych, należało jakoś zagospodarować zapasy. Jak nas informuje pani ADAMCZYK z Aleksandrowa w pobliżu jej bloku wyremontowane wreszcie kioski spożywcze, objając one płytami azbestowymi żeby zdrowa żywność nie uległa zepsuciu. Dwaj sprzedawcy twierdzą, że nie pobierają dodatku ochronnego dla zdrowia, ponieważ płyty pomalowano farbą olejną i cząstki azbestu nie promieniają. Po co więc niszczyć płyty azbestowe? Wystarczy pociągnąć farbą olejną, najlepiej zieloną...

I wreszcie coś z własnej łapki. Otóż naszej miłej sekretarce, pani Bogusi, jakiś krasnal chciał pomóc w otruciu redaktorów dyżurnych „Odgłosów”. Nabyła ona dla osiadania nam życia dwa kilo cukru w sklepie spożywczym na Kilińskiego przy Tuwima. Jedną torbę była wzbogacona śmietanami, bakteriami i... roztokami. Ekspedientka oświadczyła, że herbatę z roztokami można wypić, wyjęła palcami dwie roztoki, a resztę odesłała do redakcji. Torbę z brudnym cukrem jest do wglądu. Poza tym wszyscy zdrowi.

RYSZARD BINKOWSKI

Czy to prawda, że me-
se — wyjeżdżając po-
wiedzą na wczas —
wynajmą w spółdzielni
„Światowid” człowieka,
który będzie mojego
locom pilnował?
— Prawda. Świadczyliśmy tego ty-
pu usługi firmom państwowym,
spółdzielczym, ale i osobom pry-
watnym także.
— Za stoną pewnie opłata?
— Niewiele ponad 200 złotych
za godzinę to chyba nie tak
znów drogo... A można sobie za-
mówić także kilku „opiekunów”,
również z psem.
— Jesteście jedną z nielicznych
spółdzielni inwalidów w kraju,
która mimo kryzysu i... reformy
systematycznie się rozwija. A za-
czynaście 35 lat temu jako?
— Jako Spółdzielnia Ochrony

Jubileusz „Światowida”

Najpierw pilnowali sklepów na Pietrynie

Mienia „Czułość”, której pierw-
szoplanowym zadaniem była o-
chrona przed włamaniami kilku-
dziesięciu sklepów usytuowanych
przy ulicy Piotrkowskiej. Taki cel
postawiła sobie na początku 28-
osobowa grupa założycielska.
— Zatrudniła wówczas „Czu-
łość”...
— Niecałe 300 osób. Ale rozra-
stała się bardzo szybko, przyby-
wało pracowników, przybywało
nowych branż usługowych. Otwie-
raliśmy kolejne punkty usług ze-
garnistorskich, ślusarskich, ra-
diovych, później — telewizyj-
nych, zabawekarskich i wielu in-
nych.
— Kiedy stałicie się „Światowid-
widem”?
— W 1961 roku, a „międzywo-
jewódzka” spółdzielnia jesteśmy
od 1975 roku, kiedy to objęliśmy
naszą działalnością nie tylko Pa-
bianice i Zgierz, ale całe woje-
wództwo skierniewickie. W sumie
to dziesięć różnych oddziałów,
zatrudniających już prawie
3700 osób.

— Ale prawda też jest, iż fir-
ma kojarzy się przede wszystkim
z działalnością, nawiązywaną do —
parkingową...

— I słusznie, bo stale przyby-
wa strzeżonych przez nas parkin-
gów. A zaczęliśmy, o czym dziś
już prawie nikt nie pamięta, od
pilnowania placu przed
Halą Sportową. Było to w 1973
roku, a pięć lat później urucho-
miliśmy pierwszy kryty (i strze-
żony) parking osiedlowy przy uli-
cy Retkińskiej, przeznaczony
dla 100 samochodów.

— Niczym grzyby po deszczu
pojawiały się następne...

— Dziś działają w Łodzi już 22,
na których pilnowanych jest o-
koło 4 tysięcy pojazdów.

— Ale opłaty za te przyję-
ność są wysokie, sięgają już ty-
siącą złotych...

— Drogo? Nasze parkingi są
jednym z tańszych w kraju. W
Krakowie choćby opłaty miesięcz-
ne dawno już sięgnęły 1300 zło-
tych, w Gdańsku, Poznaniu też
są wyższe średnio o 200-300 zło-
tych.

— Cóż się na te kwoty składa?

— Między innymi to: podatek
od dzierżawionego terenu, opłaty
za energię, różnego typu natęża-
do plac, koszty ogrodzenia, to
wreszcie płace strażników.

— A te ostatnie — wysokie?

— Średnio, pracując około 100
godzin, zarabiają 18 tysięcy zło-
tych, a więc żadne to złote góry...

— Na wielu parkingach znalaz-
ło się miejsce na specjalne na-
jazdy, można skorzystać z urza-
dzeń do rozruchu silnika zima.
A dlaczego nie ma najprostsz-
ch chodby myjni?

— Ogromne koszty, budowa nie-
zbędnych osadników, brak wlas-
nego terenu — to chyba wyjaś-
nia problem najkrócej. Chcemy
zbudować w Łodzi stację obsługi
samochodów dla inwalidów. I
napotykać na ograniczenia i
przeszkody nie do przeskoczenia:
nie ma ponad takiego terenu, u-
zbrojonego. A jak się znajdzie, to
szybko okazuje się, że teren za-
blokowany pod budowę enigma-
tyczną, czyli łódzkie metro.

— O parkingi wielopoziomowe
nie pytam, bo zakrawałoby to
na kłopotliwy dowcip. Wiem, że dba-
liście kiedyś o czystość w bud-
-

gdzie mamy zamiar wytworzyć
między innymi ochronne rekawice
i torby gospodarcze. Nie prze-
chwalając się: jako jedyna chyba
spółdzielnia w kraju przekazała-
my na budowę Szpitala — Pom-
nika CZMP półtora miliona zło-
tych. Na Narodowy Fundusz O-
chrony Zdrowia — kolejne trzy
i pół miliona. A wszystko ze
składek pracowników. Ale są
sprawy, których bez przychylnos-
ci władz miasta nie zrealizujemy...

— Czyżby tej przychylności nie
było?

— Od kilku lat walczymy, jak
na razie bezskutecznie, o możli-
wość wybudowania nowoczesnego
centrum rehabilitacyjno-usługowe-
go na placu Wolności. I pierw-
szą decyzją była odmowna. Czyż-
by naprawdę wstydzili się nas na
placu?

— Słyszałem o miejscu, gdzie
Plac Inwalidów...

— Też słyszałem i dlatego wie-
rzę, że i dla nas znajdzie się
niewiele miejsca vis a vis Naczelni-
ka...

**Z prezesem
Międzywojewódzkiej
Usługowej Spółdzielni
Inwalidów „Światowid”
— ZYGMUNTEM
PIETKIEM — rozmawiał
DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

U W A G A
KANDYDACY NA WYŻSZE UCZELNIE
WOJEWÓDZKI UNIWERSYTET ROBOTNICZY ZSMP
W ŁODZI
organizuje
KURSY
przygotowawcze do egzaminów wstępnych na
POLITECHNIKĘ I UNIWERSYTET.
Zapisy w sekretariacie **WUR w ŁODZI ul. PIOTRKOW-
SKA 233** I piętro, w godz. 8—15 codziennie (oprócz sobót).
Informacje do godz. 15. TEL. 36-14-54.

157/k

**WOJEWÓDZKI UNIWERSYTET
ROBOTNICZY ZSMP
w ŁODZI**

ORGANIZUJE
w roku 1988 następujące
KURSY:

- * diagnostów uprawnionych
 - * legalizacji predkościomierzy, drogomiery, tachografów
 - * obsługi garażowych stacji paliw
 - * kwalifikacyjne i mistrzowskie — na zlecenia
 - * bhp — podstawowe, okresowe dla służb bhp oraz dla nauczycieli i pracowników szkół na terenie całego województwa
 - * kierowników zakładów Małej Gastronomii (na uprawnienia do prowadzenia prywatnych lub agencyjnych punktów sprzedaży)
 - * bukieciarstwa — kwaciarstwa (na uprawnienia do prowadzenia prywatnych lub agencyjnych punktów sprzedaży)
 - * pedagogiczne — dla instruktorów praktycznej nauki zawodu oraz dla wykładowców poza-szkolnych form szkolenia
 - * mistrzów dyplomowanych
 - * palaczy c.o. oraz obsługi węzłów cieplnych
 - * kierowców wózków spalinowych i akumulatorowych
 - * spawania gazowego i elektrycznego
 - * obsługi suwnic
- Zapisy indywidualne i zlecenia z zakładów pracy i instytucji przyjmuje **Sekretariat WUR ZSMP w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 232, I piętro w godz. 9—15 oprócz sobót. Informacje do godz. 15 (tel. 36-14-54).**

156/k

MIĘDZYWOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „S I Ó D E M K A”



Zakład Nadruku i Reklamy
93—213 Łódź
ul. Nowotki 230
tel. 78-27-18

POLECA SVOJE USŁUGI W ZAKRESIE:

- * wykonywania napisów i reklam na plexi, płycie pilśniowej, bla-
sze, na tynkach wewnętrznych i elewacjach zewnętrznych budyn-
ków,
- * malowania napisów na samochodach,
- * wykonywania napisów na szybach,
- * projektowania i urządzania wystaw,
- * malowania tablic i plansz,
- * identyfikacji zakładów i biur,
- * projektowania znaków firmowych, emblematów, symboli graficz-
nych itp.

**ZAPEWNIAMY KRÓTKIE TERMINY REALIZACJI, WYSOKĄ JAKOŚĆ,
KONKURENCYJNE CENY**

158/k



TOTALIZATOR SPORTOWY

23 STYCZNIA 1988 R.
nowe miliony i kilkadziesiąt samochodów
w Jubileuszowych Zakładach Specjalnych

TOTALIZATORA SPORTOWEGO III

Obok milionowych nagród przeznaczają się dodatkowo do wygrania:

- * 5 samochodów osobowych Polonez
- * 7 samochodów osobowych FSO 125p
- * 15 samochodów osobowych Fiat 126p FL
- * 6 magnetofonów Finexja z zestawem kolumn

TAKIEJ SZANSY NIE WOLNO ZMARNOWAĆ!

— Kupony można składać w kolekturach tylko do
PIĄTKU 23 STYCZNIA BR.

— Skreślamy 5 z 45

**Wszystkim naszym sympatykom życzymy w całym
nowym roku szczęśliwego tworzenia.**

**P.P. TOTALIZATOR SPORTOWY
w ŁODZI**

171/k

Proszę się nie niepokoić! Nic o wojsku, nic o tajemnicy woj- skowej czy państwowej. Wręcz przeciwnie. To będzie o dziele niejakego Aleksandra Grahama Bella. Tak, tak! Tego samego, który dawno temu wynalazł telefon. Ten uniwersalny już przy- rząd techniczny służy powszechnie do porozumiewania się na odległość. Żadna więc tajemnica. Nie tak dawno gazety donio- sły, że Japońskie Linie Lotnicze JAL nawiązały łączność tele- foniczną z Boeingiem 747, który szywał sobie spokojnie nad Pacyfikiem. Już niedługo będziemy mogli na ekranach naszych przedmiotów zbytku, czyli telewizorów, oglądać jak jakiś ja- poński przemysłowiec, podróżując samolotem JAL, rozmawia z różnymi innymi przemysłowcami w różnych stolicach różnych państw. Tak, jak teraz oglądamy sobie w filmach wyświetla- nych przez stację naszego luksusowego, czyli przez telewizję, różnych panów i różne panie, które rozmawiają przez telefon zainstalowany w... samochodzie.

Pewien znajomy opowiadał mi o niebywałym urzędzeniu, którym posługują się Szwedzi. Wybierając się na weekend do swojego domu nad jeziorem poprzez telefon uruchamiają auto- mat do włączania ogrzewania w tymże domu. Czego to lu- dzie nie wymyślą?

A my tymczasem...

We wtorek 22 grudnia 1987 roku w kilku blokach na „Czer- wonym Ryńku” zgasło światło. Kobiety wtedy — jak to pow- szecznie powinno być wiadome — sprzątały, są więc rozeżło- niekiedy do nieprzytomności i naraził się takiej... Lepiej nie! I właśnie tego dnia Zakład Energetyczny Łódź—Miasto naraził się wielu kobietom. Jedną z nich wzięła za telefon i postano- wiła zadzwonić do Pogotowia Technicznego Zakładu Energety- cznego Łódź—Miasto, Rejon Południowy, aby dowiedzieć się, czy długo nie będzie elektryczności, bo to określa jakoś jej plany na dalszą część wieczoru. Oczywiście numer podany w książce okazał się nieaktualny. Dowiedziała się właściwego, ale nie pod 913, gdyż tam dodzwonić się raczej trudno. Potrzeba mianowi- cie do tego dużo czasu i dużo cierpliwości.

Poślizg na poligonie!

Gdy już dowiedziała się, jaki jest właściwy numer do Pogo- towia Technicznego Zakładu Energetycznego Łódź—Miasto, Re- jon Południowy: podaje właściwy numer: 74-12-19 — była dokład- nie godzina 20.45. Pan po drugiej stronie urzędnika zwanego telefonem był wyraźnie nie w humorze, był opryskliwy i aro- gancki. Najpierw w ogóle nie chciał odpowiadać, następnie o- świadczył, że on „tu usuwa awarię i nie ma czasu na gadanie”. Myślę, że dyrektor Zakładu Energetycznego Łódź—Miasto będzie tak uprzejmy i poinformuje tego pana, który dyżurował 22 grudnia 1987 roku o godzinie 20.45, że w dyspozytorni Pogo- towia Technicznego nie usuwa awarii, a przyjmuje zgłoszenia i grzecznie odpowiada się klientom ZE Łódź—Miasto. Tego dnia wielu mieszkańców Osiedla „Czerwony Rynek” chciało dodzwonić się pod numer 74-28-19 i... nie mogło. Był stale zajęty. Zrodziło się też u nich podejrzenie, że pan dyżurny odczytywał sobie po prostu słuchawkę. Takie numery też się zdarzają...

Ludzie wierzą jednak w telefon. Przez to urządzenie można rozmawiać z ludźmi z różnych kontynentów. Pokazuje to nam co wieczór telewizja — ten przybytek niepowtarzalnego luksusu. Jej korespondenci, a wśród nich były łodzianin, Michał Wal- czak, który teraz pełni odpowiedzialną rolę paryżanina, opo- wiadając nam przez telefon, co widać na załączonym do DTV obrazku, różne ciekawostki ze świata.

Natomiast u nas...

Pewien młodzieniec w wieku raczej przedszkolnym, a dzieci też potrafią rozmawiać przez telefon, zadzwonił do informacji pod 913 i prosił o numer telefonu... Świętego Mikołaja. Przy- tomna telefonistka powiedziała, że ma zastrzeżony tylko dla do- rosłych. Fakt ten nie byłby może taki bulwersujący, gdyby nie to, że ów pomyslowy młodzieniec dodzwonił się pod 913 przed świętami. Próbowałem wielokrotnie połączyć się z numerem 913 i bez skutku. Może nie mam szczęścia. W „Expressie Ilustro- wanym” napisali, że pani telefonistka z informacji, która pra- cuje już 15 lat, potrafiła dziennie udzielić tysiąc odpowiedzi. Nosi ona służbowy numer 7. Gratulacje dla 7! A czy nie mo- żna byłoby mieć pod 913 więcej takich pan?

Rozumiem zresztą ten nacisk na 913. My po prostu nie ma- my aktualnej książki telefonicznej. Próbuje korzystać z istnie- jącej książki telefonicznej i ciągle mam trudności. Jakiś głos w słuchawce informuje mnie, że numer został zmieniony. Ale nie podaje aktualnego. Skąd go wziąć, skoro nie ma go w książce telefonicznej? Jedyne wyjście: zadzwonić pod 913! Ale skoro wszyscy z tego jedynego wyjścia korzystają, to pod 913 robi się tłok. I nie można uzyskać pilnej czasem informacji.

Otóż idealne organizacji życia w mieście jest taki stan, któ- ry może się przez długi czas — czasem są to dziesiątki lat i więcej — nie zmieniać. Biorę do ręki „Kwiaty polskie” Julia- na Tuwima i czytuję, jak to się niedługo w Łodzi jeździło kolo- rowymi tramwajami. Bal kolorów już nie ma, wszystkie tram- waje są czerwone, a i numery się pozmienniały. Wydana w 1984 roku mapa — „Informator komunikacji MPK” — jest już w dużej części nieaktualna. Pozmienniały się przystanki, pozmienniały się postroje taksówek, pozmienniały się numery telefonów. Niby to oznaka rozwoju miasta, a mam czasem takie wrażenie, że... bałagan. Jakby ktoś usiłował pracować nad tym, aby nie było stulecia, a ludzie żyli w stanie ciągłej frustracji. Komu na tym zależy?

Wydaje mi się, że nasza łódzka telefonia, to przecież jakieś — choćby tylko na polę — nowoczesne przedsiębiorstwo. Pew- nie posiada komputer. Czyż zatem — posługując się kompute- rem rejestrującym wszelkie zmiany — nie może wydawać ane- ksdów do istniejącej książki. Ludzie by nawet za to zapłacili, aby nie być pozabawionymi niezbędnej im informacji. Czyż rze- czywiście nie potrafimy czegoś takiego zrobić? A może się nikomu po prostu nie chce?

Dysponenti od telefonów bardzo dbają o to, aby do czytelników gazet docierała informacja o ich... sukcesach. I oto jedna z gazet doniosła — jako informację własną podał — że teraz 480 rozmów na jednym łączu będzie odbywało się jednocześnie. Do tej pory było tylko 120 i ciągle kogoś słyszałem, jak jednocześnie rozmawiał, kiedy i ja rozmawiałem. Indagowani przeze mnie specjalści z centrali 84... i 81... zapewnili, że wie- dzą o tym, ale nie potrafili usunąć tej usterki. Teraz — biorąc pod uwagę że 480 równa się 4 razy 120 — będę słyszał jed- nocześnie 4 rozmowy. Ale będzie ubaw! Mnie zresztą też bę- dą podśmiewali inni, naruszając tym — dzięki UT — tajemni- cę korespondencji.

Łódź ma być poligonem dla tych jednoczesnych 480 rozmów na jednym łączu. Licho to wszakże poligon, gdyż zdarzają się na nim... poślizgi. Dowiedziałem się, że niezgodnie z planem nie otrzymali telefonów mieszkańcy ulicy Mysłowskiej i Skolej na Osiedlu „Piastów” oraz na Retkini i Kuraku. Negotowa też była w terminie centrala, która miała obsługiwać rejon ulicy Franciszka Żwirki. Na takim poligonie — jak z tego widać — może się wszystko zdarzyć. Wszystko najgorsze. Niestety!

ZENON POROWATY

NR 3 (1555), 16 STYCZNIA 1988 R.



Odkrycie Ameryki

Krażyła niegdyś pośród młodzieżowych lektur, legenda — nielegenda, o jednym z Europejczyków, który posta- wił nogę na lądzie amerykań- skim i to na długo przed Ko- lumbem; był nim nasz rodak Jan z Kolna. Zazdrośni Skan- dynawowie przeczytali odno- sne przekazy historyczne ina- czej, mianowicie w ten sposób, że nie był to Jan z Kolna tyl- ko Jan Skolno, rycerz norwes- ki lub duński wiking. Nie my więc odkryliśmy Amerykę, ale czy naprawdę nie mogliśmy tego dokonać? Przecież Polak potrafi. Czy to tak trudno wy- obrazić sobie odkrywanie Ame- ryki przez chwatorów znad Wi- sły?

Mogło być na przykład tak: Zebrało się kilkunastu chło- paków, wzięli delegację służ- bowe, telewizja im ekwipunek zafundowała — wszyscyćko królowej roboty, jak się pa- trzy — to znaczy jak się pa- trzy, to wszystko idealnie wy- gląda, ale jak się zacznie uży- wać to nic do niczego nie na- suguje. No i powiadają: odkry- jemy te Amerykę i już. A co? Polak potrafi!

Naigrozić, że już gdzieś ko- ło Słupska nastąpiła awaria busoli, właściwie busola była bardzo dobra i działała zna- komicie, tylko wskazówka zg- nięta i nie było zastępczej. Ale co, nasze chłopaki nie poradzą sobie bez głupiej busoli? Sta- nał niejaki Chudy Mateusz na środku kórnego pokładu, a dlatego właśnie on, że był wysoki taki, że do M-3 w ka- peluszu nie wszedł. Stanał i czekał. Jak dawał najkrótszy cień to znaczy, że było połu- dnie czyli z przeciwnie strony północ, a w lewo zachód. I tak sobie jechali ciągle na lewo od Mateusza Chudego, mijali różne kraje i porty, do por- tów zresztą nie zawiiali, bo zamiast paszportów mieli tyl- ko książeczki dewizowe. Bez dewiz. Dewiz nie można było akurat kupić, bo „Orbis” wy- przedał cały zapas na trzy lata naprzód. Płyneli, płyneli, pa- szet z drobitu już się całkiem skończył, sałatka luksusowa była na ukończeniu, wódka też, jeszcze tylko herbata została i przyprawa pikantna do ba- raniny z różną. Wytrzymamy! mówili sobie nabijając fałki włosem z materaców, tyto- niu były pełne ładownie, ale słona woda go zalała, bo ma- larze źle zamalowali dziury w dolnej części kadłuba.

Góry lodowe też były, o- wzajem, parę razy takie dwie ogromne walczyły prosto na sta- tek naszych żeglarzy, no, ciut, ciut i nic nie zostanie. Nie- którzy nawet nie wytrzymy- wali nerwowo i stali z dra- gami na pokładzie, żeby te góry odepchnąć ale cała re- szta chłopaków puszczala sobie gramofon i dawaj wymie- niać postulat, dawaj dyskutowa- ć manipulować, apelować — jak w demokracji. No i ja- kóż dopłyneli.

Amerykę odkryli, zaciągają- li od Indian pożyczkę na kilka- set lat i jak jeden do kraju wrócili. A że tam w gazetach pisa- o Kolumbie — kto by tam środkiem masowego prze- kazu wierzył... Polacy byli pierwsi i już.

Tylko zaraz, co tu trzeba by zmienić. Bo jak to tak: pojechał Polacy cała grupa, za morze i wszyscy co do je- dnego wrócili? Nikt nie po-

prosił o azyl u jakichś boga- tych ciot? Trzeba koniecznie coś zmienić bo inaczej mo- żna by wywnioskować, że oni wcale w Ameryce nie byli, tylko kumple im delegację po- znajomości podstemplowali. A odkrywanie Ameryki, w ogóle wszystkiego, zostawili innym.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Stoją gmachy

Widać je w łódzkim pejza- żu: są wielkie, godne, imponu- jące. Pierwszy z nich, na ulicy Traugutta rzuca się w oczy każdemu przyjeźdźcy, który zmierza do śródmieścia z Dworca Łódź-Fabryczna. Pię- kny, wysoki gmach. A w nim ludzie pracują jak mrówki: za- łatwiają tysiące spraw, wypi- sują tysiące dokumentów. Organizują, naradzają się, mo- zola.

Podobnie w drugim gmachu przy Piotrkowskiej w pobliżu Mickiewicza. Też godny i wiel- ki. A w nim też ludzie zapra- cowani, zamysłeni, zagonieni. I trzeci też przy Piotrkow- skiej, na skrzyżowaniu z ulicą 8 Marca. Wspaniały parter, cieszący oko przechodnia i wie- lopiętrowy, strzelisty wieżo- wiec. A w nim ludzie, jak mrówki.

Stoją gmachy wspaniałe, godne, imponujące...

Rodacy jeżdżą do Turcji — przywożą kożuchy, przywożą, ocalejące kurtki „blue jeans”. Coś tam sprzedają, przemycają w jedną stronę dolary, w dru- gą te kożuchy, te sukienki, te kurtki. Naradzają się — placą wysokie cla, czasem tracą wszystko w komorze celnej. Czasem budzą zainteresowanie władz finansowych, czasem prokuratora. Ale przywożą. A potem, na rynku, w komisach i w butikach są! Są kurtki, są kożuchy!

A w mieście naszym stoją gmachy, wspaniałe, godne, im- ponujące. A w tych gmachach ludzie się mozola, pracują, organizują. itd. itd....

Jadą rodacy do Grecji. Coś tam zawożą, coś przywożą. Ja- kieś skórki, jakieś futerka, ja- kieś tam jeszcze ciuchy i ciu- szatki. Celnicy na nich cza- hają, nakładają jakieś opłaty, w zielonych banknotach. Ale rodacy jadą. A co przywożą, to sprzedają. I chodzą elegan- ci i eleganci w najnowszych ciuchach „made in Greece”, „made in Hong-Kong”, „made in Italy”, „made in England”...

A gmachy wspaniałe im- ponujące stoją w śródmieściu Łodzi. Stoją i ani drgną. A w nich ludzie ciężko pracują, tru- dzą się i zamartwiają, żeby ich wysiłek jak największe przy- nosił rezultaty...

Rodacy jadą do Azji dale- kiej. Do Japonii, do Indii i je- den Bóg wie gdzie jeszcze. Cel- nicy na nich dybia i tam i tu, prokuratorzy piszą akty o- skarżenia. A oni jadą i przy- wożą: sukienki z najdelikat- niejszych tkanin, ciuchy, ciu- szki, buty...

A gmachy stoją. W nich lu- dzie pracują.

Jadą rodacy do braci Wę- grów, do braci Chorwatów i braci Serbów. Do braci Cze- chów i Słowaków. Do Rumu- nów i do Bułgarów. Do za- przyjaźnionych Niemców i do Niemców nieprzyjaźnionych. Przywożą. Ciuchy i ciu- szki, bu-

cki dla dorosłych i dla dzie- ci. Zwłaszcza dla dzieci — u- rocze śpioszki i koszulki, su- kieneczki i skarpeteczki. I chodzą krajowi eleganci doro- śli i całkiem małutcy w zagra- nicznych ciuchach. Bo rodacy przywieźli. Przędarli się przez obstawione granice, opłacili się nieuczciwym celnikom, nie jedli w Budapeszcie i w Ber- linie, w Pradze i Belgradzie. I przywieźli!

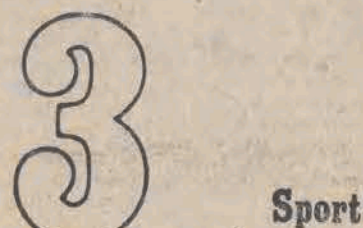
A gmachy stoją...

Rodacy daleko jeżdżą, aż za ocean. Tam pracują w wielkim trudzie i — co tu ukrywać — w pohambleniu niejednokrot- nie. I przysyłają paczki rodzi- nom A w tych paczkach ciu- chy, ciuchy, ciuchy. Pracują rodacy w RFN i w Szwecji, w niegospodniej Italii. Ale ciuchy przysyłają! I w tych ciuchach chodzą sobie eleganci i eleganti- ki. W końcu nie bez powodu mają polskie dziewczyny za- słuzona sławę elegantek...

A na Traugutta, na Piotrkow- skiej, w sercu miasta stoją gmachy wielkie, godne, im- ponujące. W nich setki ludzi pra- cują bez wytchnienia, z samo- zaparciem, z uporem i wy- trwałością.

I co oni tam, do cholery, ro- bia?

ANDRZEJ KAROL



Abandon — akt opuszczenia

Wszyscy zachwycają się pię- kną wiosną, jaką mamy tej zimy. Wszyscy z wyjątkiem rolni- ków i sportowców. Rolnicy boją się nadejścia nagłych mro- zów, które mogłyby wyrządzić szkody roślinom. Sportowcy tęsknią za śniegiem. Podobnie jak turyści, którzy na przeło- mie roku pojechali odpocząć w góry. Wśród nich był też nasz fotoreporter — Grzegorz Gałasiński. Radził mi mu, a- by wziął ze sobą śnieżną ga- śnicę. Mógłby produkować śnie- ga na własne potrzeby. Ale Grze- sz jest uparty, rady nie posłuchał i za karę... ukradł mi narty. Był to — widać — czyn jakie- goś nieoprawnego optymisty, który wierzy, że zima jednak nadejdzie być może wiosną i wreszcie spadnie śnieg.

Ale śniegu nie ma. Nawet w wysokich europejskich górach. Organizatorzy imprez narciar- skich mają z tym wiele kłopot- ów. Przywożą śnieg z wyso- kich partii gór. Drogie to jed- nak i bardzo kłopotliwe. Cza- sem i wysoko w górach braku- je śniegu. Być może świat już zwariował albo jest na najgłębszej drodze do wariacji.

Z kanadyjskiej miejscowości Calgary nadeszła wreszcie ra- dośna wiadomość: spadł śnieg! A więc zimowe Igrzyska Olli- mpijskie odbędą się. Gorzej jest tylko z przygotowaniem do tych igrzysk. Wielu sportowców i te różnych nacji ma bowiem u siebie kłopoty ze śniegiem. Nasze kłopoty są znacznie wię- ksze, bo u nas nie tylko nie

ma śniegu, ale i większych wi- doków na dobre miejsca w tych igrzyskach. Zresztą — jak wykazał plebiscyt „Przeglądu Sportowego” — najlepszymi polskimi sportowcami okazali się kajakarze: Łbik i Dopierała oraz zdobywca najwyższych szczytów świata — Jerzy Ku- kuczka.

Nikt jednak nie odwoła i- grzysk olimpijskich w Calgary i Seulu tylko dlatego, że ma- my kryzys w sporcie. Trzeba się więc i do igrzysk w Korei przygotować. Przy dobrym przygotowaniu możemy mieć szansę na dobre miejsca, choć medali może nam tym razem zabraknąć. Na przykład Marian Woronin — rekordzista Europy w biegach na 100 i 60 metrów. Jeszcze w lutym 1987 roku u- znany za najlepszego sportow- ca miesiąca, teraz nagle jakby gdzieś zniknął. PZLA przestał się nim interesować. Podczas Pucharu Europy w lekkiej atle- tyce miał kontuzję, ale PZLA uznał, że nawet z kontuzją Ma- rian Woronin może brać udział w biegach, aby ratować honor Polaków. Marian Woronin nie poszedł na takie ryzyko i zo- stał szybko zapomniany.

Ale oto jest! Żyje i trenuje. Odnaleźli go dziennikarze „Prze- glądu Sportowego” w śródziem- nomorskiej miejscowości Ma- rignane, położonej niedaleko Marsylii, gdzie ciepło i są dobre warunki do treningów. W miejscowości tej trenować będzie też zimą Jacek Wszoła. Jedni szukają śniegu, inni — ciepła. Tak to już w sporcie bywa.

Wystarczyło jedno połącze- nie międzynarodowe i na dodatek automatyczne, aby w stu- chawce zabrzmiał głos Maria- na Woronina. Nie było go więc tak trudno znaleźć. Trzeba by- ło tylko chcieć. A znaleźć go trzeba było po to, aby dowie- dzieć się, czy liczy na występ w Seulu. Otóż Marian Woronin liczy, ale szanse ma — jak napisano w „Przeglądzie Sportowym” — mniejsze niż prezes, PZLA. Prezesowi, aby pojechał do Seulu nie potrzeba żadnego minimum. Potrzeba żeby był prezesem, to pojeździe z urzędu. A Marian Woronin? Trenuje i przygotowuje się do olimpiady. Nie wie jednak, czy PZLA uwzględni go w kadry olimpijskiej. Jakiś zbyt szybko u nas rezygnuje się z dobrych, utalentowanych ludzi.

Wielkie szanse na spełnienie swego wielkiego zamierzenia stracił kapitan Henryk Jaskuła z Przemysla. Jak powiedział pamiętając w latach 1979—1980 opłynął on kulę ziemską z za- chodu na wschód nie zawia- jąc do portów. Zamierzał doko- nać tego samego, ale w od- wrotnym kierunku, co byłoby wyczynem do tej pory nie no- towanym. Przygotowywał się do tej wyprawy w Polsce, a jacht pływał sobie po morzach i oceanach. I wyprawy już nie będzie.

„Dar Przemysła”, zbudowany z mahoniu przez Stocznię Ja- chtową im. Józefa Conrada Ko- rzennickiego w Gdańsku, za- tonął w odległości 40—50 me- trów od brzegów Kuby w pro- wincji Las Tunas, rozbiwszy się na płytkiej rafie. Jacht poszedł na dno. Uratowano zaledwie kilka lekkich przedmiotów. Nikt z 7 osób załogi nie zgi- nął. Jachtem dowodził kapitan Andrzej Remiszewski. Załoga powróciła do kraju samolotem. Podpisano abandon — akt opu- szczenia, który odbiera nam wszelkie prawa do wraku. Już nie jest nasz i nie mamy pra- wa go wydobyć. A na dodatek nie mamy widoków na zbu- dowanie drugiego.

Kapitan Andrzej Remiszew- ski i inni z załogi staną — jak każde prawo — przed Izbą Mor- ską w Gdyni. Trzeba bowiem wyjaśnić, dlaczego jacht zato- nął, a była godzina 20.05—20.10, wiał wiatr o sile 4 stopni w skali Beauforta. I co oni ro- bili u bezludnych wybrzeży Kuby, gdzie nie ma żadnych dróg?

Wykruszają się nam ludzie, wykruszają się sprzęt, wiedną ambicje. Coś mi wygląda na to, że podpisujemy taki ogólny abandon — akt opuszczenia.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 13

Kobieta przegląda się w lustrze. Mimo smęczonych oczu minę ma zadowoloną. Z wazonu wyglądają paki holenderskich róż. Na przegubie ręki widać złotą bransoletkę. Kwiatów w tym gustownie urządzonej gniazdku jest dużo. Kwiatów, starej porcelany, dywanów. Nie przypominam sobie, czy Gundborg hoduje kwiaty. W radosnym nastroju, w jakim to mieszkanie opuszczałam, nie zwróciłam na to uwagi. Drogo mnie ta lekkość kosztuje.

Lotnisko Arlanda w Sztokholmie, tam moja sprawa się zaczęła. Kiedy wyrwałam się z kleszczy pań z działu julebskiego, odprawa pasażerów do Nowego Jorku już się odbywała, kontrolerka biletów zapomniawszy w pośpiechu przelożyć konwojer bagażu z powrotem na Helsinki, i stało się. Moja torba z neseserem znajduje się w ładowni jumbo-jeta szybującego w tej chwili nad Północnym Atlantykiem.

Ludzie z Arlanda nie próżnują. Czarterowy B-747, być może egzemplarz oblatywany przed oddaniem do eksploatacji osobliście przez mego ojca, zmierzając bezpośrednio do Nowego Jorku. Na lotnisku Kennedy'ego wylądował — licząc od tej chwili — za osiem godzin, czyli o pierwszej w nocy czasu środkowoeuropejskiego, w ciągu trzech następnych godzin — czwartą rano tutejszego czasu — nastąpił przeładunek bagażu na samolot linii SAS odlotujący — via Londyn, Amsterdam — do Sztokholmu, tam przetrzaska bagażu na pierwszy samolot lecący do Helsinek i zguba dostarczona zostanie do hotelu. Kapitan samolotu, Nowy Jork — poinformowani. Za kłopoty spowodowane niedopatrzeniem personelu zarząd lotniska składa Szanownemu Panu swoje very sorry, wszelkie straty, jakie w związku z tym poniosę, zostaną mi całkowicie pokryte. We'll keep in touch with you. Z poważaniem...

Darowałam je sobie, choć Szwedzi to solidna firma. W końcu to nie ich wina, ale moja. Co innego zaprzętało moją głowę.

Lotnisko Kennedy'ego. Główne wrota wjazdowe w Stanach dla politycznie chwiejnych Europejczyków, gdzie co drugi pracownik urzędu imigracyjnego czy celny jest jeśli nie na kółkach FBI, to CIA!

Gdyby mój manuskrypt wpadł tam w czyjeś łapy... Na szczęście bagaż, trzymający tylko przez Nowy Jork, nie podlega odprawie celnej, nie będzie więc otwierany. Nazwisko moje na torbie i neseserze nie będzie nawet cytowane, powinienem być spokojny.

Jestem uczulony na nasze przejęcia graniczne. Im szerzej otwarte na świat, tym moja wysypka silniejsza. Mam o nich pewne pojęcie. Każda z tych wrót ma połączenie z indeksem nazwisk obywateli amerykańskich, którzy w jakikolwiek sposób weszli w kolizję z prawem na terenie USA bądź gdzie indziej, a także obywateli obcych, których działalność polityczna lub jakikolwiek inna uznana została za godzącą w „interesy bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”, zestawionym alfabetycznie, według narodowości i kraju zamieszkania. Obejmuje on miliony nazwisk, pojemnościowa to rzecz, połączona z Identification Division FBI w Waszyngtonie, odpowiadająca w sekundzie za naciśnięciem odpowiedniego klawisza w komputerze terminalu. Moje nazwisko obwidziało jest tam specjalną laurkę. Całe szczęście, że bagaż bezpośrednio z ładowni samolotu przewieziony zostanie do głównej komory transzytowej. Transyt — święta przepustka. Obwarowana międzynarodową konwencją. Jeżeli dla CIA jakakolwiek konwencja ratyfikowana przez Kongres i podpisana przez prezydenta coś jeszcze znaczy. Ale bądźmy dobrej myśli.

Trans-World-Air — nie znam tej linii, nigdy o niej nie słyszałam. Wielkie towarzystwa lotnicze mają po obu stronach oceanu własne terminale; pojedyncze samoloty czarterowe przysiadają, gdzie się akurat da. Marszrutę mego bagażu do terminalu wielkiej linii, jaką jest Scandinavian Airlines System, wyobrażam sobie, nie widzę jednak powodu, aby walkonie z transportowego personelu nazemnego, obsługującego czarterowe przybłądy, mieli zrezygnować z pierwszego śniadania — w Nowym Jorku będzie siódma rano — i gnać z moimi manelami z jednego krańca tego olbrzymiego lądowiska na drugi tylko dlatego, że jakiś roztargniony facet w Europie nie ma się czym gościć. Optymiści z Arlanda nie wzięli poprawki na to, że mają do czynienia z lotem czarterowym, którego organizatorzy, po przywiezieniu pasażerów, używających dzięki ich pomysłowości światła za połowę ceny normalnego biletu, z powrotem do kraju, mają ich gdzieś. Droga do mego bagażu — wpięty do komory transzytowej, dopiero stamtąd do terminalu SAS — potrwa dłużej, powiedzmy... osiem godzin, w sumie dotrę on tutaj nie wcześniej niż po jutrze około południa. Nic na to nie poradzę. Zaostrzyłam się w przyrządzie do golenia, krem, wodę kolońską, szczoteczkę do zębów, przed zamknięciem sklepów zdażyłem kupić koszulę, skarpetki i pidżamę, choć rzadko w niej spłami; podobno wrześnie nocy w Helsinkach są chłodne.

Tylko małą część myśli poświęciłem panu Uusitalo, resztą szukałem po drugiej stronie Atlantyku komory transzytowej i ludzi, którym przypadnie zadanie naprawy błędu popełnionego na lotnisku Arlanda. Dużo dałbym za usunięcie kartoników z moim nazwiskiem z tor-

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

6

LEONARD

by i nesesera. W ruchu tranzytowym rzeczy te nikogo nie interesują, ważne są odcinki kwiatu bagażowego z numerem i portem docelowym, podwiązane do uchwyty przesyłki. Ale na wszelki wypadek.

Nie przyjąłem zaproszenia pana Uusitalo, chętnie będę gościem jego domu, tylko nie dzisiaj! Zamieszkałem, z jego porady, w hotelu Kalastajatorppa. Jak długo nie otrzymam z powrotem oryginału „Orwelliady” i książeczki czekowej, która spoczywa w kieszeni nesesera, nie będę mógł delektować się pieczeni z renifera przyrządzoną po lapońsku nawet przez panią do mu osobliście.

Czas dla mnie stanął chwilowo w miejscu. Rezygnując z kolacji wzięłem przysnć i poszedłem do łóżka. Byłem jedną nogą w krajnie ciemności, gdy odezwał się telefon. Nie miałem ochoty na żadną rozmowę. Domyślałem się, kto to mógł być. Nie byli to David ani Gundborg; do Davida zadzwoniłem po wszystkim, przy Gundborg postawiłem znak zapytania.

Martwe rzeczy bywają uparte. Z zamkniętymi oczami sięgnąłem po słuchawkę. Oczywiście, wszystko u mnie w porządku — zapewniłem pana Uusitalo. Czuję się dobrze, nie mi nie trzeba. Jeszcze tylko jego małżonka. Przycisnąłem słuchawkę do ucha. Miły kobiecy głos przeprosił mnie za męża, który w żadnym wypadku nie powinien był zostawiać mnie samego. Zyczył mi przyjemnego wypoczynku, a sobie gośzczenia mnie w domu możliwie najrychlej. I jeszcze: gdybym czego potrzebował, to chyba wiem, co robić. Mogę dawać o każdej porze dnia i nocy. Córka, syn, wszyscy o mnie wiedzą. Służba też...

Zbudził mnie hałas. Potrzebowałem chwili czasu do przytomienia sobie, gdzie jestem. Światło nocnej lampki, padające w oczy, oślepiło mnie, w ręku trzymałem słuchawkę telefonu, z zewnątrz energicznie dobijano się do mego pokoju. Słuchawka! Zasnąłem ze słuchawką w ręku, blokując linię. W centrali telefonicznej pomyślano, że mi się coś przytrafiło.

Półnagi podbiegłem do drzwi.

— Wiem, telefon! — uprzedziłem kierownika recepcji będącego w towarzystwie mężczyzny w czarnym garniturze, ale bez hotelowego okienka z fotografią i nazwiskiem w kłapie marynarki. Wychylił z półotwartych drzwi, tylko w bluzie od pidżamy i boso, przeproszałem za moją nieuwagę. Nie wiedziałem, czy sprawę uznać za załatwioną, czy poprosić tych panów do środka; byli wyraźnie zadowoleni, że zastali mnie żywego.

— Nic się nie stało — kierownik recepcji mówił płynnym angielskim — ale pan rozumie. — Potrzebna! szarmancko swoją gładko uczesaną fryzurę. — Pan dyrektor Uusitalo prosił o zadbanie o pańskie dobre samopoczucie. Gdyby orkiestra przeszkadzała panu w wypoczynku — ten apartament mieści się nad salą dancingową — może pan wybrać sobie jutro coś w spokojniejszym skrzydle hotelu. Jesteśmy do...

...mojej dyspozycji — domyślałem się. To jakaś osobistość, ten pan dyrektor Uusitalo, nie byłbym pewien, czy jego troskliwość nie będzie kagańcem dla mojej swobody poruszania się. A co do orkiestry... Dopiero teraz wsłuchałem się w popis perkusisty, salwy saksofonistów i solowe wycie trąbki. Ale oto decybele jazzu urwały się, pustkę po nich wypełniły jakieś nietypowe okrzyki.

Musiałem mieć nieszczęśliwą minę. — Pan zapewne o niczym nie wie... — Głowa szefa recepcji wtargnęła w światło drzwi. — Przed chwilą podano wiadomość o szczególnym uwolnieniu przez niemieckich komandosów zakładników z samolotu Lufthansy porwanego do Mogadysz... Co do jednego, wybrała pan sobie? Wszyscy cali, zdrowi, porywacze zastrzeleni, przywódcy grupy terrorystycznej, których wypuszczenie z więzienia miało być ceną

za uwolnienie zakładników, popełnili w celach samobójstwo. Niesamowite, prawda? Mamylicznych gości z Republiki Federalnej, stąd ta radość. Gdyby pan sobie życzył, zajmę się wyszukiwaniem dobrego stolika. Jest dopiero jedenasta...

— Whisky mi chwilowo wystarczy — odpowiedział barmanowi. Chęć się rozejrzeć po sali. Imponująca restauracja ma Kalastajatorppa. A jaka atmosfera!

Sala rozbrzmiewała różnymi językami, ale królował niemiecki. Język ten ma dzisiaj specjalny powód do uctwowania.

Naukowcy nie dąliby rady terrorystom z Mogadysz. Spalić ich zdalnie promieniami lasera wraz z pasażerami — tak, oddzielić plewy od ziarna w tytanowo-duraluminiowej gildzie odrzutowca — nie. Do tego trzeba normalnych ludzi z normalną wyobraźnią. I smykali do przechytrzenia jeden drugiego, zwłaszcza po uprzednim ograniu sztuki podczas uwalniania zakładników przez komandosów Izraela.

Jakiś podochocony starszy pan z potężnym torsem — smoking, cygaro, apertona dumą twarz — ze szklanką w ręku podrywa się z miejsca przy stole. Stuka łyżeczką w przysadzistą butelkę Chivas regal. Prosi swoje rozgadane towarzysztwo o udzielenie mu głosu.

— Ja, bitte, Arnold. Bitte!

Arnold jest rozczulony.

— Meine... meine... Kameraden! To nasz wielki dzień. Kiedy myślę o chłopakach z Mogadysz przypominam mi się... — Oczy zachodzą mu łzami. — „Deutschland, Deutschland — in-tonuje cicho — über...”

Towarzysz, który udzielił mu głosu, ściga go energicznie za pół smokinga w dół, sam wstając, podnosząc szklankę w stronę sali, wznosi toast:

— Anteeksi! Unsere Freunde, anteeksi. Es lebe Suomi-Finland!

— Orkiestra wykonuje tusk. Niech żyje Suomi-Finlandia!

Toast chwytła Finów za serca. Nie pozostają dłużni swoim ryckim gościom. Z krzeseł podrywają się smokingi, w górę wędrują szklanki.

— Klitos! Klitos! Hyvin techi! Onneksi ol-koon!

Wspaniała atmosfera! Mnie, przybyszowi z zachodniego krańca Ameryki, podoba się.

Stupkam o szklankę mego sąsiada przy barze, załatwiającego na miłą Anglikiem. — To the brave German boys! — mówię.

Bloody bastards! — zły się ten. — Już wszystko zapomniałem! Tamta impreza zaczynała w identycznym nastroju! — Rzucił barmanowi zmietny banknot, dopija drinka i, z rękami w kieszeniach spodni, wychodzi.

Pojedynczy głos, nikt poza mną i barmanem z twarzą Slinka go nie słyszy. Na sali gwar. Fortec obsadzonych przez gości z Republiki Federalnej jest więcej. Okrzyki: — Es lebe Suomi-Finland! To Germani! Niech żyją chłopcy z Mogadysz! — Przy barze słyszę też niemiecki. Mówię nim płynnie. Był okres — jeszcze przed pójściem do szkoły — kiedy przebywając stale z matką znałem go lepiej niż angielski; z języka ojczystego ojca niewiele zapamiętałem. Jako pilota transkontynentalnych linii lotniczych, a później szefa pilotów oblatywających w koncercie Boeinga, widywałem go rzadziej i to, czego podczas krótkich pobytów w domu mnie nauczyli, szybko wyparowało mi z głowy. Ale to jego nauki trzymały mnie dotąd z dala od Niemiec niczym od drutów pod wysokim napięciem. Kiedyś obiecywałem sobie pogwałcić to ostrzeżenie.

Temat na sali jeden. Szczegółów akcji nie znam. Bonn podał wiadomość o szczególnym zakończeniu akcji przeprowadzonej przez kompanię specjalnie przeszkolonych komandosów. Trzech terrorystów, mężczyzn, zostało zabitych, czwarty — kobieta — ciężko ranna; kolejny komunikat doniósł o samobójczej śmierci w celach więzienia wszystkich przywódców groźnej grupy Baader-Meinhof. Problem terroryzmu w Republice Federalnej Niemiec, z którym inne kraje nie umieją sobie poradzić, rozwiązał się sam. Blitzlich. Jak nigdzie na świecie.

Trudno wyobrazić sobie tę akcję. Przeprowadzić ją musiano piekielnie sprawnie, mało wle-

żyłem w takie zakończenie. Komandosom należy się uznanie.

Nieufny wobec Niemców Anglik, który wyszedł prawdopodobnie z pełnym pecherzem, wrócił. Zamówił podwójną whisky i duże piwo. Straszny dynamit taka mieszanka.

— Douglas Wilson — przedstawił się. Skłonił głowę w kierunku stolika, przy którym zaintonowano niemiecki hymn narodowy. — Znam ich dobrze. Uganiałem się za nimi na splitfire'ach. — Machnął niedbale ręką — Przeszło.

Bąknąłem swoje nazwisko. Na końcu języka miałem pytanie o mego ojca, też myśliwca RAF-u, słynnego podczas wojny w całej Anglii, ale poknąłem je. To taka sama przeszłość jak jego.

Nie wiem, czy uchwycił brzmienie mego nazwiska. Z białymi jak przedwczesny śnieg na czarnym polu skroniami wpatrywał się we mnie chwilę, jak gdybym przypominał mu kogoś bliskiego, dawno zaginionego. Jego rozwoznione alkoholem niebieskie oczy, przenikające mnie na wylot, były wciąż młodzieńczo uparte, przypominały mi i ojca, i Cullinana z naszej znamiennej nocy w Singapurze. Światło w tunelu? A może mnie się tylko tak wydawało?

Wilson przeniósł ponad moim barkiem wzrok na uczującą salę. Był to wzrok żerującej sowy. — Ich nigdy nie wolno spuścić z oka. Ze tych w więzieniu, co rzekomo strzelili sobie w potylicę, nie opijają, to charakterystyczne dla nich. — Zaniósł się szyderczym śmiechem. — Strzał w potylicę... Wypróbuj tę sztukę na sobie... Jeżeli ci wyjdzie, zapiszę ci w spadku wszystkie moje wojenne blaszki wraz z końcówką konta bankowego. Pierdolona polityka. Nie da! się ogupić! — zakończył wyśmiesz.

Usmiechnąłem się. Było mi go żal, gdy jednym haustem opróżnił szklankę i zakropił kufem piwa. Powinien był wracać do swego pokoju. Wyobrażałem sobie jego samopoczucie po obudzeniu się.

On, widać doszedł do tego samego wniosku.

— Pokój! dwieście siedem. — Starannie otarł chusteczką wazy. — Będę tu kilka dni. Nie wyrzucę cię, gdybyś zechciał mnie odwiedzić. — Klepnął mnie w ramię. — Trzymaj się, chłopie!

Rzucił barmanowi banknot wyciągnięty na ślepo z kamizelki, zsunął się ze stolika. Obróciłem się i popatrzyłem za nim. Z rękami wciśniętymi ponuro w kieszenie opadających spodni, przgarbiony. Jakoś nie mogłem go sobie wyobrazić w splitfire'ze, wywijającego nad lotniskiem zwycięską pętlę, jak było w zwyczajach w jego młodych latach. Widzę go za to dopijającego się w swoim pokoju, rozprawiającego się okrutnie ze swoim odżyłym bezczelnym przeciwnikiem, który jednak wziął nad nim górę.

Jubeł na sali trwał w najlepsze. Przy stolikach niemieckich gości wciąż entuzjastycznie czczono Mogadysz. Uratowani pasażerowie już przybyli do kraju, komandosi wrócą jutro. Już wiadomo, jak będzie wyglądać ich powitanie: bez orkiestry, bez sztandarów, bez mundurów. Europa docenia Niemców, przygarnęła ich a powrotem do rodziny, ale woli ich w dzinsach.

Zastanowiłem się nad kaczem Douga Wilsona. Strzał w potylicę. Zdumiewająca zbieżność wydarzeń. Wyobrażam sobie, że jestem kancierzem Republiki Federalnej i mam rozwiązać problem terroryzmu. Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny: kto kogo? Albo rząd przywróci obywatelom poczucie bezpieczeństwa, albo oni przewrócą rząd. Jestem przywódcą narodu przytykłego ślepo do porządku, gotowego wyrzucić się masła na rzec armat, lecz nie orduungu. Moja armia poradzi sobie z każdym wrogiem, byle nie strzelającym od tyłu. Jest dokładnie taka sama jak obywatel: nie wytrzymuje nerwowo niepewności. Mam więc problem, biorę go na stół i rozpatruję. Jak w sztabie wojsk przed szturmem na pozycję wroga. Po mojej stronie stoją konstytucyjne składniki bezpieczeństwa kraju, po przeciwniej — garka pomyślców. Układ ten nie jest dla mnie tak dobry, jak się wydaje, mam jednak w ręku argument „przetargowy” — całe dowództwo przeciwnika, którego uwolnienie jest ceną za życie zakładników. Nie jest to wbrew pozorom transakcja handlowa typu sto za sto. Jest to unconditional surrender w nowym stylu. Ustąpienie byłoby kapitulacją potężnego aparatu władzy przed garstką ludzi z marginesu. Co zatem postanowiam?

Pytanie za milion dolarów: czym bym się kierował wysyłając do Mogadysz kompanię śmiatników, do więzienia zaś, w którym przebywa czołówka terrorystów, wiadomą dyspozycję? Jaki guzik bym nacisnął — czerwony czy biały?

Naciskam guzik wiadomo jaki. Nic na to nie poradzę. Dougu Wilsonie, w pewnych sytuacjach liczy się tylko siła, możesz najwyżej jutro nie podać mi ręki. Możesz to zdradzić pozostałym na wolności terrorystom, możesz podać im miejsce mego zamieszkania, decyzji nie zmienię. Ordnung muss sein!

Wykonawszy to zadanie żegnaj się z fotel-kancierza Republiki Federalnej Niemiec i wracam do własnej roli. Wracam spiesźnie, bo chce mi się siustu.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane

